MARJA DĄBROWSKA

LUDZIE STAMTĄD

CYKL OPOWIEŚCI

WARSZAWA MCMXXVI KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
NAKŁAD T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE

LUDZIE STAMTĄD

PRACE BELETRYSTYCZNE MARJI DĄBROWSKIEJ

DZIECI OJCZYZNY. Opowiadania dla młodzieży. Wydanie drugie. Nakł. Tow. Wydawniczego. Warszawa 1923 r.

GAŁĄŹ CZEREŚNI. Nowele. Wyd. Związek Polskich Stow. Spożywców. Warszawa 1922 r.

UŚMIECH DZIECIŃSTWA. Nowele. Wyd. Tow. Wydawnicze w Warszawie 1923 r. Odznaczone nagrodą Związku Wydawców w r. 1925.

MARJA DĄBROWSKA

LUDZIE STAMTĄD

CYKL OPOWIEŚCI

WARSZAWA MCMXXVI KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
NAKŁAD T-WA WYDAWNICZEGO W WARSZAWIE

KRAKÓW — DRUK. W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

DZIKIE ZIELE

Rano dodnia Marynka szorowała skopki i bańki przy małym stawie. Było jeszcze szaro. Liście drzew, stojących ponad wodą, wisiały nieruchomo, a tarcie wiechcia o żelazne obręcze budziło odgłos na drugim brzegu. Za drogą w dworskim ogrodzie coś wzniecało w krzakach jakby kaszlnięcia i szeptania.

Podwórze majaczyło we mgle buro i niewyraźnie. Po małym czasie zaczęło się tam jednakże coś rozlegać, i na drogę wypłynął wóz, cicho się snując po szarym piachu i postukując niegłośno. Fornal siedział bokiem, z bosemi nogami zwieszonemi przez drabki, pogrążony w gwizdaniu.

Gdy zobaczył dziewczynę między wierzbami, przestał gwizdać i zakrzyczał w jej stronę:

— Mogłabyś ty kiecuchny barzy podnieść i te giry umyć, kiej u wody stojas, nie s takiemi cornemi chodzić!

Marynka wyprostowała się, żeby zobaczyć kto jedzie, gdyż mówił nie po tutejszemu. Ma się rozumieć — nie był to żaden z fornali, tylko bandos, nazwiskiem, o ile pamiętała, Słupecki.

Jechał widać za Banasiaka, bo jego końmi, a o Banasiaku wczoraj mówili, że na brzuch leży.

Zobaczywszy jak rzeczy stoją, Marynka odgryzła się napastnikowi:

— Ty cyganiaty wytrzyścu, byś ty trzy dni swoje mył, to jeszcze moje bydom bielsze, choć uszargane!

Zaczął coś wołać w odpowiedzi, lecz nie było już słychać, gdyż wóz wjechał na twardą drogę i gruchocząc skręcał koło drugiego stawu ku wiatrakowi.

Chcąc się bardziej zabezpieczyć przeciwko słyszeniu, co mógł do niej mamrotać, Marynka sarknęła coś do siebie, aż zadudniło w cynkowanej bańce i zaczęła śpiewać: — Miałam jednego brata... Zaś rozpędziwszy się, prześpiewała jeszcze kolejno: — Nie dbam, nie dbam, że mnie nie szanujesz..., — Księże, księże... oraz — A pod moją kłaczą, podkowy kołaczą...

Gdy naostatku zaczynała — Mówiom ludzie, żem ładna... — zadzwonili do doju.

Ludzie ruszali się już koło szopy, w szorowni u stelmacha i przy chlewach — mgły się poodwijały i wszystko rzeźwo stanęło w rumianem złocie poranka.

Marynka ścisnęła oczy i przypatrzyła się mostkowi, przez który była droga do czworaków.

— Co ich nie widać? spytała sama siebie.

Dójki wynurzyły się niespodzianie z furtki dworskiego ogrodu.

— Cośta po mnie chodziły do kuchni? spytała najmłodszych, z któremi miała dobrą znajomość.

— Nie, odparły ze śmiechem. — Aleśmy przelazły bez dziure w angryście i zaś sadem.

— Sadowy nie widzioł?

— Uo — on ta bydzie patrzył na dziki angryst — Ale i tak jeszcze cierpki.

Pozbierały bańki, skopki, wiechcie i ruszyły do doju.

W dzwoniącej łańcuchami oborze trwał chrupiący niegłośny hałas żucia, mleka, strzykającego w naczynie i kroków, stąpających po zgnojonej słomie.

Krowy myczały od czasu do czasu a ta, która stała przy samych drzwiach, przestawała niekiedy ruszać gębą i patrzyła sztywno jak blade strugi mleka ciekły przez skręt chłodnika i ze świegotem kapały do naczynia. Na chłodnik dawał baczenie garbaty mleczarz Dyonizy. Przyciągał powązki, gdy dójki zlewały mleko, oganiał muchy, które brzęczały dokoła, zmieniał nagrzaną wodę, a potem siedział i przyglądał się jak wlatywały do obory czyste granatowe jaskółki. Ich szczebiot mocniej się rozlegał tu w brunatnej ciemności niż na dworze. Pomiędzy wiązaniami stropu widać było migotanie ich białych piersi z ceglastym ognikiem na gardle.

— Nastąp się, mówiły od czasu do czasu dójki, i fitu-fitu, fitu-fitu — mówiły bystre jaskółki. Dyonizemu zachciało się spać od tych głosów.

— Co to Marynka dzisiaj nic nie mówi? — Zawdy tak śpiewo — to czymu tera nie? zapytał, by się roztrzeźwić.

— A dy dzięka Bogu, że raz wyć przestała, rzekł zgryźliwie pastucha, rozgrzebując widłami ciepłą zielonkę.

Słysząc te słowa, choć nie miała chęci, na złość zaczęła śpiewać pioseneczkę, niedokończoną nad stawem:

Mówiom ludzie, żem ładna,
a to prowda nie żadna
bo mnie mama o chłodzie
myła rosom w ogrodzie...

Drugie natychmiast zawtórowały:

Mówiom ludzie ci sami,
że jo bardzo z chłopcami...

— Nastąp sie — wrzeszczały w przerwie, a potem zaczynały znowu:

— Nieszczęśliwy tutejszy mosteczek... i Nie chce cie dziewcze — nie chce cie...

Pastucha mówił do swego białego psa — psss — bierz je, pies hycał ostrożnemu susami przez gnój — szczekając na chybił trafił — i to sprzeciwianie się dodawało gorzkiej uciechy robocie.

Gdy po doju myły sobie nogi z gnoju przy studni, Marynka wpadła w niespodziewaną złość na mleczarza Dyonizego.

— Co lejeta te wode, jakby ji w studni brakło! zgrzytnęła. — Chto mo za wos lać?

Tedy chlusnął ze wszystkich sił — spryskując ją po pas, aż zawrzeszczała, co mleczarz powitał cichym śmiechem.

— Jakie tyż ten Dóniży mo biołne te zembiska, jak sie oześmieje, to aż aż... mówiły dziewki, wstawiając bańki na jego szary wózek.

Gdy już ruszyli za wózkiem w stronę dworu, rzekły jeszcze:

— Drugie takie som... — Te Galicjoki co tu robiom — to jeden w drugiego jeszcze barzy bieliste zemby majom...

Marynka przerwała z gniewem:

— Te cyganiate djabły? Jakby sie człowiek z takiem trącił, to by sie jeszcze ubrudził —

Mówiąc to i owo do siebie, wejrzały mimochodem na pozamykane okienice dworu. U pana tylko okno było jak szeroko otwarte i dawał się przez nie widzieć pusty pokój z dawno posłanem łóżkiem.

Wczesna godzina ze swą ciszą uroczystą i surową panowała w kręgu obłych kasztanów i na klombie, zarośniętym ciemnoczerwoną półdziką różą.

Marynka, rozejrzawszy się, narwała po drodze tej róży i dała Stasi Jamrozikównie.

— Na mosz, rzekła dobrotliwie. Postawisz sobie w zbanyszku, to ci bydom ładnie pachniały.

Na ławce przed kuchnią sędziwa kucharka skubała sennie kurczęta. Mały foks stał naprzeciwko, przełykając od czasu do czasu głośno.

Marynka zapytała:

— Jużeśta wydowali Galicjokom?

— Coś ty sie szaleju najadła? Jeszcze nima szóstej. Pani dopiero wstaje.

Ze świeczką w ręku wchodzili w dudniący zmrok piwnicy. Marynka stawiała mleko na kwaśne, lejąc w donice jedwabisty płyn.

Gdy zamykała spróchniałe drzwi na kłódkę, Dyonizy odjeżdżał właśnie do miasta, a bandoska kucharka wołała na nią jak codzień, że idzie już po życie dla bandosów. Życie to Marynka pomagała jej nosić.

Stojąc w ciemnożółtej od wschodniego słońca spiżarni, śród oschłej woni sypanych kasz i miękich

tchnień mąki, padającej na kopankę, spytała kucharkę, gdzie oni dzisiaj robią. Kucharka powiedziała, że sieką rzepak pod dębem.

To samo potwierdziły dzieci pańskie, które już wstawały, żeby tam iść. Marynka mogła dzięki temu wcześniej posprzątać pokoje i o ósmej skoczyła zrobić masło w tejże, gdzie była rano, piwnicy.

Piwnica znajdowała się nieco za dworem w starym budynku, skrytym pod wysokiemi drzewami. Na górze był drwalnik, a pod ziemię wchodziło się w kurzu, oblatującej ze wszystkich stron, cegły. Nad schodkami wisiała pajęczyna brudna i zapruszona, gruba jak płachta — i wisiały nietoperze jak ulęgałki.

W pierwszej piwnicy porobiono z obydwu stron sąsieki, a w nich leżały kartofle, którym o tej porze rosły już białe kły, długie na łokieć. W drugiej był dostęp do okieneczka i Marynka najpierw tam podeszła. Za żelaznemi prętami widać było jak wyrastają z ziemi krzaki bzu — i wielkie kasztany. Tuż za okienkiem z tamtej strony rozpościerał się parzący upał, a tuż za niem z tej strony był ciężki chłód. Marynka oparła się czołem na prętach, prześpiewała za okno: — Moja dziewulu, naucz się robić, bo cie nie pojmie żaden królewicz... i zaczęła wołać — tu-tu-tu — do psów, które miały budę opodal. Psy zaszarpały się i zahałasowały — a ona wtedy nakoniec ze śmiechem poszła chlastać tłuczkiem w śmietanę. Przez wierzchenek kierzanki czuć było zapach tłusty, a zarazem kwaśny i słychać było gęste chlupotanie.

Marynka stawała to od tej strony, to od tamtej, żeby się masło chciało lepiej robić — i śpiewała: —

Rośnie ziele, rośnie na oknie w donicy... Niektóre zwrotki przerywała nieznacznie i nasłuchiwała jak jeszcze przez nieco czasu głos w zimnej ścianie dzwoni.

Masło się zrobiło prędzej niż zawsze — Jeszcze było dość czasu do obiadu i posłali Marynkę pleć do ogrodu.

Tańcowała po drodze między malwami, aż urwała z nich najpiękniejszą sobie we włosy — co napędziło jej na usta chełpliwą śpiewkę:

Jaka taka pękata
a jo sobie nie taka —

i z oznajmieniem tem przykucnęła nakoniec na grządce.

Pleć też bardzo lubiła. Położyła się bokiem w bruździe między zagonkiem, a zagonkiem i wyskubywała z ciepłych grudek dzikie ziele i niepotrzebne chwasty. Trzeba było mocno uważać, ażeby nie załapać pietruszki, albo selera. Do tego najprzydatniej było śpiewać co płaczliwe. Śpiewała więc kolejno — Wszystko się pole zazieleniało, i — Moja miła matuleńko, dodejcie mi rady —

Wtem przy słowach — Ojej — ojej — dodejcie mi rady — załapała garścią najpiękniejsze selery. Wytaszczywszy je z ziemi razem z kępą lebiody — aż zachrupało — rzuciła wszystko w bruzdę i krzyknęła:

— Już jo ci zrobie, jo ci zrobie!, Żeby tak jem co takie spsocić tem cyganom!!

Przez chwilę pełła w milczeniu i myślała, z którą dziewczyną się naradzi, jak bandosom dokuczyć, zwłaszcza jednemu, co śmiał jej o nogach tak powiedzieć.

Paniczowi, który tu był tamtego roku w gościnie i umizgał się do nich, nakładły w siennik sękatego drzewa — ale to była rzecz inna.

Usiadła oparta brodą o kolana, chytrząc po cichu, a lebiody, rdesty i ognichy więdły tymczasem na bruździe i więdnąc, cierpko pachniały.

Ledwo zdążyła się znów zabrać do pielenia, zadzwonili na południowy dój, a zaraz po doju, nim zdążyła pomówić z dziewczynami, losy się inaczej z nią sprzymierzyły.

Nakryła była do stołu i wyszła na werendę wołać dzieci na obiad. Wtedy zobaczyła, że kury znów są w klombie.

Nagrzebały się już widać co niemiara, a teraz siadły i pozasypiały na samym środku, w ciepłym dołku między najpiękniejszemi floksami, naokoło koguta całego w rudych, granatowych i zielonych piórach.

Marynka skoczyła z krzykiem: Kury ha! i weź je ha!

Kury zbudziły się, lecz nie rozumiały na co ten hałas. Przypodnosiły się niepewnie i zasiadały znowu, mierząc wystraszonem okiem w koguta, który wydawał pytające niecierpliwe okrzyki.

Nakoniec kiedy psy zatętniły dokoła — kury pozrywały się i odrazu popadły w szaleństwo. Wyskoczyły z dołka i popędziły na oślep, chrypiąc, piejąc i gdacząc.

Zbłąkawszy się w popłochu, tem wściekłej zawrzeszczały, aż nakoniec trafiły na właściwe zarośla i nurknęły w stronę kurników.

Furtka na kurze podwórko była zamknięta. Śmielsze

kury z rozdzierającym okrzykiem dźwignęły się i robiąc nad siły skrzydłami, przefrunęły płot. Drugie rzuciły się w bok.

Na boku tym, pod szczytową ścianą oficyny w chłodzie pod bzem bandosy jedli obiad. Łyżki dzwoniły cienko w gliniane misy, w których pachniała kapusta kwaszona z kartoflami, oraz maślanka.

Bandosy siedzieli przy stole w koszulach szarych od potu i otwartych na piersi ciemnej jak miedź.

I otóż stało się, że kury, poprzerażane do nieprzytomności i osaczone przez psy, wzleciały na stół. Maślanka chlusnęła — wystraszone ptaszyska rozpryskały jej białe krople — ławy się przewróciły — jedna misa zleciała. Tylko psy uspokoiły się znacznie i zżerały prędko powylewane jedzenie śród powszechnego rwetesu.

Szalejąc z radości, Marynka ujrzała z krzaków jak pstra kokoszka prysnęła maślanką w lica Słupecczaka — i jak skoczyła mu na czarny łeb.

Bandosi krzykliwie ruszyli w stronę dworu, gdyż stamtąd pokojowemi psami poszczuto na nich kury.

Nie — nie na nich poszczuła je Marynka. — Samo się tak zrobiło na jej pociechę. Prędko się stało to, czego pragnęła. Stać tu teraz nie głupia i czekać, aż ją zobaczą i złoją.

Zaroślami, które ją w porę skryły, pobiegła nie na obiad, tylko gdziekolwiek, przed siebie.

Najpierw uderzała się ze śmiechem o drzewa parku, strącając tu i owdzie niechcący, znamię upału, przedwczesny żółty liść.

Potem skoczyła dalej za rów, za podwórze, między stodoły, na puste w tej porze pole,

Tam na kwiecistym rowie zatupała, i głaskana po nogach przez przytulje, zakrzyczała na spiece, tańcząc po dzikiem zielu:

uoi zagrej mi groczyku, a nie żałuj smyczka —
uoi dadzom ci matula, da iak przedadzom byczka —
uonydany, uonydana, nanynanynana
uonynyna nanydana uony dada da a a a —

W napadzie radości rwała wiotkie byliny, mietlice, drżączki, powójki i rozrzucała je naokoło.

Potem stanęła — zakrzyczała swą piosenkę jeszcze głośniej i znów zatańczyła. Zdyszała się, stanęła, znów zatańczyła i znów zaśpiewała, jeszcze głośniej i jeszcze, jeszcze prędzej. Potem nastało milczenie i w polu odzywał się tylko jeden ptak cienkim głosem, oraz pasikoniki.

Trzeba było jednakże wracać. Marynka rozejrzała się pilnie i cichaczem zmierzała w stronę dworu. Dotarła nakoniec do kuchni, gdzie kucharka zaczęła ją straszyć...

— O dostaniesz ty hałas, o to, żeś nie przyszła, dostaniesz. Julka musiała obiad za ciebie wydać i ze stołu pozbierać. Bez coś tak zrobiła? Mosz ty rozum?

— A tak. Bez nic. Niech majom, odparła krnąbrnie i zabrała się odrazu do pomywania. Czekała, że ją zawołają i zacznie się, jak mają w zwyczaju, powtarzanie jednego i tego samego dokoła Wosiu po sto razy. Nie wołali jednak — zebrała tedy pozmywane rzeczy i poniosła odważnie do stołowego pokoju. Nie

było nikogo. W otwartych drzwiach werendy wróbel ćwierkał przenikliwie. Na stole stały niedojedzone wiśnie. Wzięła sobie z garstkę i przez werendę wróciła do ogrodu, na przedpołudniowe miejsce. Tam pieląc ze skrzętną niewinnością warzywne grządki, śpiewała nienazbyt głośno:

Kazali mnie kury paść
a jo na nie ciu-u-u.

Gdy nastał zmrok, a bandosy tymże porządkiem co zawsze przyszli do swego stołu pod bzami, Marynka zwinęła się z mlekiem i uwiesiwszy się między konarami bzu, dobrze w zieleń zaszyta, wołała do jednego z nich:

— Ty czorny gnojku — nie ostawiła ci ta bestra kokoszka na łbie jakiej pamiątki. Poiskaj sie, może co najdziesz!

Uczynili jakby nie były powiedziane do nich żadne słowa. Rozczarowana wróciła do dworu i gdy zaczęła sobie słać łóżko, usłyszała, że ktoś wszedł do kuchni.

— Kto tam? spytała kucharka, przerywając różaniec.

Marynka wyszła ze stancji na kuchnię i stanęła oko w oko ze Słupeckim.

— Niech bandzie pokwalony!

— Na wieki.

Podszedł blisko. Powiedział, że u nich jest dzisiaj granie przed kuchnią i czyby nie przyszła. Rzekł to pocichu — jakby w sekrecie.

— Co nimom przyńść — odparła bez wahania, gdyż iść na tańce była to rzecz zwyczajna.

— No to dali, przyzwał nagląco.

— Marynka — chto ta po nocy przylos? zaskrzypiała już z pod pierzyn kucharka.

Marynka poczuła się w nieprzyjemnej spółce, i wstydziła się przed starą o tem co mówić.

— Nic, nic, odparła mrukliwie.

Wyszli razem, a gdy się znaleźli w ciepłych zmrokach skoczyła między jaśminy.

Nie uskoczyła daleko. Słupecki okazał się chybszy — i przytrzymał ją, aż zajęczała.

Przytrzymał i nakierował na ścieżkę tak, że musiała iść.

— Puść mnie — mówiła całą drogę. — Puść mnie.

— Na co? pytał z głupia frant. Nie kces ze mno potańcować. Co to ja nie ładny?

Odwróciła tembardziej głowę, aby nie wejrzeć na tę niegodną urodę. Puścił ją dopiero, kiedy już ludzie widzieli, że nadchodzą. Teraz nie mogła uciekać, bo by się wydała na pośmiewisko. Myśleliby, że dzika.

Dobrze — będzie więc tańcowała z tym chłopaczyskiem. Należy jej się to za karę, skoro dała się zdurzyć słowem bożem. W ustach takiego nic nie jest święte. Ale już ona jemu też obmyśli, żeby po tańczył. Mało mu jeszcze, że mu psy obiad zeżarły — będzie miał co więcej.

Lecz w miarę jak tańczyli, serce jej truchleć zaczęło. To nie był taniec — to było katowanie człowieka. Ręka Marynki zsiniała od uścisku pięści Słupeckiego. W sobie czuła się opasana nie ramieniem,

a łańcuchem z gorącego żelaza — od którego żebra chciały popękać.

Uścisk nie sfolżał nawet, kiedy muzyka grać przestała.

— Dali, siędnij, to wytchnę — charknęła wtedy zgoniona.

— Mogemy postać — odparł bez pośpiechu i przytupywał na miejscu.

Gracz obtarł pot i widząc taką gotowość, rozciągnął znowu mieszki harmonji.

Taniec przedłużał się. Inni dwakroć, lub trzykroć pozmieniali się, pooddychali — a oni wciąż się kręcili. Marynka spociła się aż do wierzchniego odzienia i nie dyszała już, lecz chrapała, świszcząc przez nos, a Słupecki coraz to dwoił prędkość. Nakoniec nie wytrzymała i spróbowała się wytargać z objęcia pełnego nienawiści.

Stracił krok może na moment, zachwiał się, gdyż była mocna, lecz nie puścił. Przeciwnie — ścisnął ją tem zacieklej.

— By nie to, że na oczach — to bym ci... Jo i chłopu poradze — zachrypiała pocichu.

Roześmiał się. Sam też sapał. Krople potu z jego twarzy upadły Marynce na lica. Stęknęła głośno. Inni spostrzegli, że się coś święci, porzucali własną zabawę — patrząc jak tamci parują niby żelazo w ognisku zanurzone.

— Tończ, tończ
małe dziwcze —
tończ, tończ

judzili jedni, a drudzy do niej:

— Nie dej sie, Maryś — nie dej sie bandochowi.

Gdy znowu jęknęła, zaczęli wołać:

— Co on ji robi! Słupecki! Ostaw dziewuche.

— Huknij go, Jędrek!

— Nie grać. Przestać ta z graniem!

Harmonja rozdarła się ryczącemi akordami i zamilkła.

Słupecki puścił Marynkę, stańczoną prawdziwie że do upadłego. — Odleciała, taczając się aż do ściany i upadłszy pod murem, zaczęła rzęzić jak człowiek uduszony. Słupecki stał blady przy płocie i obu rękami obcierał twarz. Wstrząsał się raz po razie jakby płakał.

Rusocińskie chłopaki rzuciły się ku niemu z wygrażaniem. Ludwik Unisławski ich wstrzymał, mówiąc wzgardliwie z głębi swoich doświadczeń:

— Poodźta. — To ta jeich sprawa. — Jest ta o co się wadzić. Pies ta ze sukom sie nie pożrom — nie bojta sie...

Dziewuchy poodciągane przez kochanków, zostawiły Marynkę.

Dźwignęła się z pod muru jakby wstała z ciężkiej choroby i zaczęła iść ku dworowi.

Słupecki dogonił ją i spytał:

— Tero wis, tko mocniejsy? Tero wis. — Ty złe dzicie.

W odpowiedzi na słowa te usiadła na kamieniu i zapłakała. Podchodził natarczywie to z tej to z tamtej strony — ale za każdym razem odpychała go nogą i pięścią. Tedy dał spokój. Zaczął odchodzić — i po drodze oberwał z krzaka liść, a krzak wstrząsnął się głośno w nocnej ciszy.

Marynka przestała płakać. Po chwili krzyknęła:

— Nawróć się!

Nawrócił się i przyszedł. Powstała przerażona wszystkiem, co się zrobiło i nagle skoczyła w jego ramiona jakby w przepaść.

Gdy się wywlekli oboje z pomiędzy zarośli, miało się już na dzień. Dwór stał cicho w zawoju mlecznej drogi, w rozprysku gwiazd, świecących jeszcze biało nad stromym dachem.

— Gdzie śpis? zapytał Słupecki.

— Przy tamtem oknie, rzekła pocichu i nagle poskarżyła się:

— Jeszcze mieć byde sprawe o te kury.

— Niek im Pan Bóg da zdrowie — odparł ciepło i oboje zaśmieli się.

Marynka nie miała jednak sprawy o kury, ani nazajutrz, ani potem. Gdyż było właśnie zapowiedziane, żeby kury wyganiać z klombów. A prócz tego tej dziewczynie robota paliła się w ręku. Teraz w żniwa dobrze mieć taką, co znajdowała czas, żeby i w ogrodzie co zrobić, gdyż o dostaniu kogo z pola do ogrodu, nie można było marzyć. — Lubiono także jej śpiewki

— Przynajmniej wesoła, nie chodzi ciągle z nadętą gębą — a jak śpiewa to wiem, że w ogrodzie owoców mi nie zjada — mówiła pani.

Miała więc tylko to jedno przykre, że ciągle z Kielczakami zaczynała. Pan był o to cokolwiek zły.

— Dziewucha ma z osiemnaście lat i żadnego zastanowienia; jeszcze się od nich doigra.

Lecz po namyśle państwo przyznali razem:

— Lepiej, że z nimi zadziera, niżby miała do nich latać i zadawać się z którym, jak inne.

Tak. Dosyć już wszyscy mieli tych nieproszonych dzieci, które się ciągle rodziły, umierały, potem straszyły.

Następna sprawa z bandosami wynikła zresztą nie z powodu Marynki. Przyszli się poskarżyć, że im do izby gdzie spali, z kurników smród bardzo leci.

Trzeba było zajrzeć do kurników, które leżały na drugim końcu budynku. W sionce koło stancji oprzętki pani natknęła się na coś i szerzej otworzyła drzwi, żeby zobaczyć. Z za stromych schodów, które wiodły na strych, wyzierał siennik.

— Co to za siennik tu leży?

Oprzętka rzekła śpiesznie i głośno, wchodząc do pustego kurnika:

— Sprzątać się sprząta — ale na takie gorąco — zawdy bydzie czuć kole kurów.

Pani ponowiła pytanie:

— Co to tu leży?

Oprzętka węszyła duszną wilgoć, odwlekając jeszcze odpowiedź. Nakoniec rzekła razem z echem:

— To ta tegu Janka...

— Co za Janka?...

— Ady ten — jak sie nazywa, Słupecki, śpi tu z Marynkom ze dworu.

Teraz i pani wkroczyła pośpiesznie do kurnika i badając zgnojone klepisko, wszczęła alarm na zapuszczenie i brudy.

— Przy wszystkiem trzeba codziennie być samemu,

inaczej ani do głowy komu przyjdzie, żeby co zrobić, zasmuciła się.

Po chwili spytała przeraźliwie zdumiona i prawie uduszona od niemiłej woni:

— A temu... Słupeckiemu, tu nie śmierdzi?

— Jemu nie śmierdzi — rzekła stara z pogardliwą zazdrością. I rada teraz z odwrócenia rozmowy, dodała:

— Jak się tu na noc zdybiom, jak sie ścisnom — to ta o świecie nie wiedzom.

W godzinę po tej ważnej i zdumiewającej rozmowie, Marynka spytała panią, czy może nie przyjść do obiadu. Julka od dzieci za nią poda i wszystko zrobi, a ona pójdzie pomóc bandoskiej kucharce zanieść obiad na pole. Kielczaki robią tak daleko, że nie mogą przychodzić na południe.

Prosiła o to już kilka razy i zawsze miała pozwolone. Na nikogo nie można się było gniewać, kto służyć chciał sprawie żniwa.

Lecz teraz można było wątpić, czy to pomaga sprawie żniwa — czy nawet Marynka wogóle ten obiad nosi.

Ma się rozumieć, nie nosiła go wcale. O ile dostała takie pozwolenie, to nawet doju swego częstokroć nie skończyła. Mleczarz Dyonizy za nią podajał, a ona biegła na pola, gdzie sprzątali. Jeżeli było zawczas, to odpędzała dziewuchy i sama pobierała za Słupeckim ostatnie garście. Ludzie zmagali się i zwijali w szklistym szeleście — a kiedy niekiedy, pili wodę, postawioną w cieniu gruszki. Gdy nastawało południe, Marynka patrzyła, jak Słupecki je obiad — zaś potem szli oboje gdzie precz.

Zapuszczali się w niepokoszone jeszcze zboże — i tam w palącem jak spirytus powietrzu, przy bylejakim rowie napadali na siebie jak zbóje. Całowali swe twarze, słone od potu, gnietli i rwali sobą wiotkie przytulje, szarpali w ciosach miłości płatki cykorji, a gniewne przyduszone trzmiele wybijały się z pod nich, dudniąc w splątanej trawie.

Mimo, że tak było i że pani do południa już to i owo było wiadome — pozwolono jej dziś jeszcze «zanieść obiad» — gdyż trzeba się było wogóle namyślić nad tą rzeczą. Odeszła, śpiewając po cichutku i namiętnie:

Powiedziołeś, że mnie weźniesz
ino z pola żytko zerzniesz...

Popołudniu miała być w ogrodzie i obcinać truskawki. Nie było jednak słychać, aby śpiewała.

Niezadowolona z siebie i wiedziona osobliwą ciekawością, pani wyruszyła, żeby zobaczyć, co się tam dzieje.

Szła ostrożnie słoneczną stroną przez warzywa i kwiaty. Marynki nie było ani przy jednych truskawkach, ani przy drugich. Wobec tego pani zanurzyła się w stary ogród, bardziej zacieniony i chłodny. Nie rosły tam kwiaty, ani ogrodowizny. Jedne drzewa rozpościerały swoje gałęzie po trawnikach — inne były olbrzymie jak drzewa w puszczy i roniły swój drobny owoc z niedosiężonej wysokości.

Naprzeciwko cukrówki, pod którą leżały poroztrzaskiwane gruszki, lepkie od syropu, w cieniu zdziczałych malin spała Marynka — ogromna i wspaniała — z wyrazem słodyczy na różowem obliczu. Naokoło były porozrzucane ogryzki cukrówek.

W skwarnej ciszy dawał się słyszeć z drugiej alei szewiecki młoteczek sadowego, a młody chłopak sadowych krążył podejrzliwie w pobliżu. Niekiedy mówił do swego psa: — Na tu na... — co słychać było cienko i blado w piekących blaskach gorąca.

Pani narazie stała w milczeniu zaskoczona pięknością śpiącej dziewczyny. Była to piękność niesforna, jasnowłosa i mimowoli potężna.

Lecz co ma być w gospodarstwie zrobione — zrobione być musi — i Marynkę trzeba było przebudzić.

Szarpnięta i zawołana zerwała się odrazu przytomnie i rzeźko, jak dziecko.

— Usnęłam zdziebko? zapytała nieśmialo.

— Nie zdziebko, tylko już czwarta. — Co ty sobie myślisz wogóle?

Dziewczyna wstała w milczeniu i poszła do truskawek.

— Zbałamucilaś się — zbałamuciłaś się — mówiła pani, towarzysząc jej aż na miejsce pracy.

— Żebyś mi dziś przynajmniej była na czas u doju — dodała na zakończenie długich przemówień.

Marynka nie była jednak na czas. Kiedy o siódmej wieczorem dzwonili, błądziła właśnie między stawami na drodze, po której taczały się wozy ze swym olbrzymim jak dom złoty ciężarem. Zaprzęgano po parę koni i wszyscy, kto żywy, wozili zboże, gdyż miało się na burzę.

Marynka czyhała śród słomy, zwieszającej się z przydrożnych lip, od których wiało skwarem. Gdy Słupecki nadjeżdżał, biegła za nim, wyciągając z woza kłoski, i jadła ziarnka, które on zwoził. Na tej zabawie

zobaczył ją rządca, zezwał, wygnał do doju — i naskarżył we dworze.

— Robi się niemożliwa — rzeczywiście niemożliwa — rzekła pani — ale cóż ona winna, zakochała się jak nieprzytomna, trzeba z nią po dobroci. — I nazajutrz przy maśle zaczęła z nią w tym duchu roz mowę.

— Czy ty wiesz, głupia dziewczyno, co ciebie czeka? — mówiła.

Lecz Marynka nie chciała przyjąć żadnych ostrzeżeń dla swego dobra. Gorszyło ją zabardzo mówić o swem kochaniu z kimś ze dworu. Pani napomykała wyraźnie o tej rzeczy, a Marynka przejęta za nią wstydem, powtarzała tylko uparcie — aby przerwać:

— Jo ta nikumu nie wadze.

Zato z ordynarjuszkami i z matką kłóciła się nieraz zażarcie o tę miłość. Baby wciągały ją do czworaków i nauczały, że ma tak nie latać za chłopakiem.

— Jak bydziesz zanadto po jego woli — to ani sie obejrzysz jak ci powi: — pódziesz — jakby psu.

Odpowiadała, że przenigdy nie powie. Na to dały jej niemało wiarogodnych przykładów jak oni prędko mieli dosyć takiej, co im nazbyt gorliwie służyła — i jak chłopa trzymać należy za łeb zdaleka, a zdaleka.

Ze łzami szeptała na to:

— Choćby mi kazał precz iść, to z jego nielubienia jeszcze wiency pociechy lo mnie, jak z drugiego nie wiem jakiej miłości.

— Masz głupiom — wyrokowały wtedy.

We dworze przerażono się jeszcze bardziej temi

konszachtami po chałupach. Między dworakami są rozmaici ludzie. Jeszcze zacznie co ze dworu wynosić. — Już i tak ginęły jakieś rzeczy.

Zaczęło rosnąć przekonanie, że Marynka jest nietylko tłuk, ale i poruchliwa.

— Wszystko można zrozumieć, mówiło się coraz częściej — ale nie wytrzymamy z nią długo.

Namyślano się, by ją odprawić. — Niech sobie idzie w pole robić, wkońcu i dla dzieci nie jest dobrze na to wszystko się patrzeć — a choćby słyszeć.

Marynka, jakby nie wiedząc, że koło niej tak już krucho, przyszła w porze tych namysłów do pana prosić o zasługi — i żeby jej pozwolili iść jutro na odpust do Brudzewa.

Tylko co przy wypłacie o to samo prosił Słupecki.

— To z nim chcesz iść? — spytał pan, otwierając niepewnie i z namysłem szufladę.

— Tak, z nim, odparła i hałaśliwie chrząknęła.

— Naco ci tyle pieniędzy? Nic nie chcesz oszczędzić. — Na wesele ci będzie potrzeba. Cóż to — o weselu nie myślisz?

Zaczęła milczeć z nieprzyjaznym uporem.

— Żebyście mi do wieczora wrócili.

— Co nie mamy wrócić — krzyknęła, zachłystując się.

— Co wam się tak zachciało? W największe żniwa...

— Jutro święto — przypomniała nieśmiało, a po chwili dodała:

— Nigdy nigdzie nie chodzimy. — Nic człowiek nie oboczy...

— Dobrze — dobrze — przerwał pan niezadowolony.

Nazajutrz, zanim się ściemniło, popowracali wszyscy, którzy chodzili do Brudzewa, oprócz Marynki i bandosa.

Po kolacji zaczęto na nich wyglądać z gniewną zawiścią.

Przy kładzeniu się spać we dworze stwierdzono:

— A Marynka jeszcze nie przyszła.

W nocy niektórzy ludzie słyszeli, że psy mocno szczekają koło kapliczki przy szosie.

— Przyszli — mruczeli ci, których to obudziło i zasypiali z ulgą.

Rano pokazało się, że nie przyszli — i coś cierpkiego zawadzało każdemu w sercu. Ludzie mieli złość do tych dwojga za ich lekkomyślność i szczęście.

Dopiero koło podwieczorku Marynka i bandos ukazali się zdaleka na szosie.

Żniwa były jeszcze wszędzie na gwałt. Kosili na trzech polach — na dwóch żniwiarkami, na trzeciem ludźmi.

Marynka i Słupecki jak państwo, nic się nie śpiesząc, stanęli koło pola. Grabie żniwiarek cięły żółtemi zębami modre niebiosy. Naręcza pszenicy ślizgały się przez niebieską platformę, a suchy terkot sunął brzegiem szeleszczącego zboża. Wielki napis MACCORMICK skakał czarnemi literami po ścierniu, na którem odgniatały się w zielonej koniczynce wzorzyste ślady żelaznych kół żniwiarki.

Włodarz ukłonił się przybyszom aż do ziemi:

— Kłaniam się jaśnie państwu, krzyknął, i zwrócił się do ludzi:

— Dali powiążta jaśnie państwa, może ta trząchnom sakiewkom.

Nieżyczliwy śmiech pochwalił tę złośliwość.

Kochankowie postali nieco przez honor, a potem prędszym krokiem ruszyli ku czworakom.

Naprzeciwko mieszkania Marynki usiedli pod topolą i poskładawszy węzełki, obcierali spocone twarze.

Matka wyszła przed sień i przysłaniając oczy, krzyknęła pytająco:

— No?

Podeszli bez pośpiechu.

— No co? Przyszlimy.

— Ale kiej? wrzasnęła.

— Jachto kiej? Bo to mało droga. Zgrzali my sie jak nie wiem co. Dalibyśta mama czegu sie napić. Nie poszlista na pańskie?

— Adym wyglądała, żeby was przed drugiemi zobaczyć.

Wciągnęła ich do chałupy — zamknęła drzwi i załamała ręce. Już zostało zapowiedziane, że Marynka ma się we dworze nie pokazywać. Włodarze jej też nie chcą w pole, bo mówią, że ona tylko patrzy, gdzie się położyć — a robić jej się nie chce. Słupecki ma zaraz odjechać w swoje strony.

Cała ta mowa nie była im do smaku.

— Bez co tyle hałasu? — mówili, wzruszając ramionami. Że się człowiek trochę zabawił. — Żeby

my co komu zrobili — ale czy to im ubydzie, że ta chto jeden do żniwa raz nie przyszed. Żeby na małem — tak, ale tu?

Lecz gdy matka nie ustawała, popadając w coraz to większą rozpacz — spochmurnieli, a nakoniec sami zaczęli nalegać, żeby poszła do dworu za nimi prosić. Gdy matka prosi — kobieta siwa — rzecz się inaczej wyda.

Nie chciała o tem słyszeć. Jeżeli żyją jak psy, niech jak psy idą wiatru po polu szukać. Sami się rządzą — to niech się rządzą.

W takim razie mówi się — trudno —. Rozpakowali węzełki i pokazali co sobie kupili na odpuście. On jej glinianego kogutka, kwiaciatą chustkę, wstążki, paciorki i atłasowy fartuch w róże. Ona jemu spinkę do koszuli, czerwony fontaź i dewizkę do zegarka. Pokazał jak ją nosi — zaczepioną o dziurkę i zatkniętą do pustej kieszeni.

Matce podobał się ten towar — lecz mimo to chwyciła się za głowę:

— Ileśta na to wydali? — Wom dać grosz do pazurów! Wom dać grosz!

Zobaczyła jasno, że gdy ich samych zostawi, pójdą na dziady. Trzeba ich przy sobie mieć i opiekę nad nimi rozciągnąć. Tedy zmieniła swe chęci, i kiedy zmierzchało, ruszyła mężnie do pana.

Komornicą była tylko, coprawda, lecz wdową po fornalu, co służył tu lat piętnaście — i nigdy o nic nie prosiła.

Na pana trzeba było chwileczkę pod oknem czekać. Otwarty lufcik skrzypiał w tchnieniach wie-

czoru. Skrzypiał tak długo, aż serce upadło w starej matce i zapomniała, co sobie po drodze wymyśliła, że powie, aby ich obronić. Przestraszyła się bardzo, gdy pan wszedł do pokoju i zdaleka od biurka zapytał w stronę okna:

— Co tam?

Zaczęła przedstawiać sprawę.

— Nie o mnie chodzi, ale o te dzieci, żeby nie zmarniały, powtarzała i mówiła co chwilę: Co jo to chciałam powiedzieć?

— No tak. No co? No więc? Jakie dzieci? No więc? przerywał ciągle pan. — Zbita z tropu temi słówkami tłomaczyła się z trudem.

Nie prosi o to, by Marynkę przyjąć zpowrotem do dworu, lecz niech jej włodarze dadzą chodzić w pole — gdyż inaczejby nie wyżyły. I o Słupeckiego śmie prosić, żeby go pan nie wyrzucał, żeby go nawet na dobre zgodził — to może tę Marynkę pojmie. Dodała płacząc: — I tak już jest na wstyd podana i dziecko mieć z nim będzie.

Pan podniósł krzyk. O niczem nie chciał słyszeć.

— O to mi nie chodzi z kim kto śpi — tylko żeby robota była zrobiona. Czy oni przestali rozumieć, co to są żniwa? Co to jest, jak deszcz wisi? Że każde ręce co zbędą, każdy dzień, co go kto zbałamuci, to jakby kto chleba ukradł.

— Co ukrad, odkrzyknęła zmylona, gdyż przez płacz mało słyszała. Nic nie ukradli. — Ale żeby niewiem co wzieni; żeby sie jedno z drugiem nożami pożgali — to by nie taki był hałas. — O to mniej ludzie pomstujom, jak sie kto nienawidzi — ino tego ścierpieć nie mogom, jak się drudzy kochajom.

— A że nie na czas przyszli — to i świętemu sie zdarzy — zakończyła niespodziewanie i pojednawczo.

— Co świętemu, gdzie świętemu?

— W taki upał, na taką drogę — jąkała, obcierając łzy, i wciąż nie mogła sobie przypomnieć, jak ich miała usprawiedliwić.

Pan wychylił się do połowy przez okno i zaczął krzyczeć, czy ona wie, jak daleko jest do Brudzewa.

Siląc się na spokój, zaczęła rozważać:

— Od figury do Helenówka bydzie wiorst może ze dwie. Od Helenówka zaś do tamtygu krzyża bydzie ze trzy.

— Co za trzy? — zacietrzewił się pan.

— Od krzyża, mówiła w natchnieniu, do krzaczków, kole Borkowskiej granicy. — ze dwie. Od krzaczków do ty kapliczki kole Piątku tyż ze dwie, a zaś od Piątku bydzie jeszcze ze dwie mile.

— We łbach wam się pomieszało! Tam wszystkiego niema dwóch mil — oto jest wasza droga.

Zaczęła poraz drugi, a w miarę obliczania droga do Brudzewa rosła i wydłużała się. Gdy nakoniec stara wyraziła podziw, że na dzisiaj zdążyli, pan zamknął okno.

Wtedy postawszy jeszcze śród bladej nocnej pogody, zezwała od ostatnich Marynkę i Słupeckiego, przez których wstyd jeść musi na stare lata. Nagle przypomniała sobie. Miała powiedzieć, że wuj pod Brudzewem był chory i że u niego się zatrzymali. Ale przypomniała zapóźno.

Wróciwszy do chałupy, zastała Marynkę i Janka

w swojem łóżku. Gdy usłyszeli, że nic nie wskórała, wyleźli, ubrali się i zaczęli jej skromnie posługiwać. Zadumali się we troje nad swym losem. Jedyną ulgą stało się to wszystko, co powiedzieli na dwór. Nie pożałowali mu słów. Tyle tylko, że pośmiać się z nich można niekiedy, lecz zrozumieć się z temi panami na żaden sposób niepodobna. — Może to nawet dobrze, że Marynka tam służyć nie będzie. Są takie, które się z nimi użyją — jak Julka Kaczmarków, którą wzięli do dzieci. Ona tam wszędzie jakby u siebie w domu — i tu jej dobrze w chałupie i tam. Przerobiła się prawie na pannę — ale Marynka nie taka. — Ona tam była pomiędzy nimi jak jakie dzikie ziele. Ma się rozumieć, — kłopot jest, że im nie chcą darować — trzeba myśleć teraz co robić. Uradzili jechać w Kieleckie i tam się pobrać, a potem emigrować do Prus — albo gdzie.

— Niechta wszystko zabierom. Niech ta żyć nie dadzom — co zrobiom? Zabróniom to drogi we świat? Abo siebie samego człowiekowi zabierom? Nie zabierom — mówiła gorąco Marynka.

— Rząd gorzy zrobi człowiekowi jak do wojska go pogna, na Kapkaz albo gdzie — a i tak nic nikomu nie bandzie. Dadzom ludzie rade kozdej rzecy — dopełnił Słupecki te słowa pełne odwagi.

Odwaga jednak narazie nie była potrzebna, bo rzecz się wyczerpała niedługo. Do chałupy Kuźniaków, gdzie Słupecki na dobre już kwaterował, przyszedł włodarz i spytał szorstko, czy chcą iść do roboty. Gniew pana przemienił się na to pytanie, tak jak wzgardliwa niechęć Marynki przeobraziła się była w miłość.

Ma się rozumieć poszli. Po drodze Marynka prześpiewała: — Lniane włosy, lniane włosy, a oczy niebieskie — oraz —

Nie dumej sobie dziewucho, nie dumej sobie,
chociaż ci jo ograniczny, wiem jo o tobie.

Tę pieśń podejmowała kilkakroć na nowo. Była to ulubiona śpiewka, którą Janek nęcił ją zawsze do siebie.

W tydzień potem żniwa były skończone i zaczęli postanawiać wesele. Słupecki wybierał się w swoje strony na jakie dziesięć dni. Musiał dostać pozwolenie od rodziców, gdyż był niepełnoletni.

Pan chętnie zgodził się na ten wyjazd, bo dwór miał dosyć zgorszenia i, owszem, popierał ten ożenek.

Po jego odjeździe — Marynka chodziła na warztę do stodoły, gdzie śpiewała od rana do nocy:

Hej, bywaj, bywaj nadobny Jasiu,
dawnom cie nie widziała..

Stodoła ze swemi blademi krajobrazami w otwartych na przestrzał wrotach, pełna była huku maszyny, szelestu słomy, suchego kurzu. Piec lokomobili stał przed stodołą tuż obok starego kieratu, którego szare drągi zarosły dzikiem zielem.

Brązowe płaszczyzny maszyny dygotały między sąsiekami, huk pieca natężał się i ściszał na przemiany. Snopy odłamywały się z żółtej bryły żyta, a maszyna łykała je, wywalając słomę na odpolną stronę stodoły i tryskając z trzech paszcz zdrojami ziarna.

Głos ludzi podniesiony do krzyku topniał w rytmicznym zgiełku. Nieustającego śpiewu Marynki nikt prócz niej samej nie słyszał. Stąpając po gnącem się zbożu, myślała:

— Może do ty pory przyjechoł.

Lecz Słupecki nie wracał. Minęło dziesięć dni, i minęło dwadzieścia. Im dłużej go nie było, tem więcej mieli ludzie Marynce do powiedzenia. Ubolewali, że ten Słupecki nie powróci już więcej, że zresztą przyszło na to już nie jednej, o ile się nie chciała szanować. — Jędrek Grabowski, któremu odmówiła się dać, rzekł jej, że jeśli będzie miała dziecko, to pójdzie chyba za żydowską mamkę do miasta.

Bo tu niech nie myśli, że ją który weźmie. Nie, że wianeczek utraciła, ale, że wzgardziła tutejszymi chłopakami dla tego przybłędy z pod Galicji, dla tego pana na pięciu prętach. Na to ona odrzekła, że ma ich wszystkich za nic i że wolałaby «z kiem drugiem» wianek na ostatniem gnoju, na wyrku stracić, niż z nimi na jedwabiach i przy ołtarzu. Pocieszona w swej boleści temi słowy czekała dalej cierpliwie, wychodząc wieczorem do kapliczki przy szosie. Pomału zrobiło się tak, że wychodzili i drudzy.

— Co tam tych ludzi tak siedzi przy kapliczce? pytała pani stróża, wracając z nadwieczornego spaceru z gośćmi.

— Tak ta chodzom patrzyć, czy ten Słupecki nie idzie.

Nie szedł. Zebrali chmiel, wykopali kartofle i buraki — i nadszedł dzień odjazdu bandosów. Słysząc ich wesołe hałasy kiedy na wóz siadali, Marynka zapłakała. — Było to jakby zrywała się ostatnia nitka po której mógł tu przybyć.

W tydzień potem przybył zdrożony i nie bardzo wesoły. Ona zrazu nic nie widziała. Przez dzień cały nuciła:

A już mi go nie zganicie,
bo go kocham nad swe życie.

Narwała kaliny i ustroiła się w nią. — Kiedy i tego nie zauważył, przestała śpiewać i zapytała, co mu się stało. Może mu było markotno, że został sam w obcej stronie bez swoich?

— Nie. —

— No to co? —

Powiedział, że nic. Tedy ponownie zapytała, co? — Pomilczawszy, wyznał, że tam w domu pokonać musiał niemałe trudności — zanim rodzice się zgodzili — zanim papiery dostał.

— Bez co? pytała spłoszona.

Bez to, że mieli tam dla niego upatrzoną dziewczynę, jedynaczkę na sześciu morgach. Musiał się ze wszystkimi pożreć, a i takby nic nie sprawił, żeby nie ksiądz. Ksiądz mu pomógł, bo powiada, dziecko tam będzie miał.

— Przez te głupio miłość postradałem los. Bo nos je syścioro na dwie morgi gruntu — temi słowy zakończył swoje wyznanie.

Szli wtedy z roboty przez dworski ogród, ku dziurze w dzikim agreście — gdyż tak było bliżej. Przez płot, wynurzający się z grubej zaspy opadłych liści, dawał się widzieć ogień w kuźni — i słychać było bicie młotem: w żelazo — cieniej, a w kowadło grubiej. Liście zsuwały się z drzew i padały na ziemię, mlaszcząc cicho.

Pierwsze chęci Marynki były takie, żeby zakrzyczeć i zapłakać. — Lecz po chwili zrobiło się w jej sercu mocno inaczej. Uczyniło się tak jakby

niecna sprawa z owa dziewczyną — która niech się udławi swemi sześciu morgami — była ich wzajemnym wspólnym kłopotem.

Namyśliła się i rzekła rozważnie:

— Jeżeli sie zgodziemy na ordynarje — tutek, abo gdzie, to poczekaj — ile tyż bydziema mieli?

Odparł ponuro, że jeszcze żaden ordynarjusz nie dorobił się sześciu morgów gruntu.

Zaprzeczyła, że tak mówić nie można, gdyż dorabiają się niekiedy. Ale żeby było pewniej, a też prędzej — można zrobić inaczej.

Wynurzyła się ta sama myśl, którą mieli już dawniej, kiedy wrócili z odpustu. — Marynka wyraziła ją krótko.

— Pódziema do Prus. Tam sie ludzie roz dwa dorobiajom. Możno już na wczesną wiosne pojechać. Dziecko się urodzi w lutym — nie — w marcu. Jak je odkarmie, to sie je u mamy ostawi, i przyjade do ciebie. Może sie ta i bez zime jako robota nojdzie, to ostaniemy te pare lat. Ani się obejrzysz jak potem przyńdziemy nazod i pobudujemy tu gdzie dom — i grunt bydziemy mieli jak Dąbek z Poklękowa — co tu był pierw za parobka — a tera jaki pan. Jak do kościoła idzie, to trzy zygorki na siebie kładzie. Wszystko z Prus.

Ta wiadomość rozproszyła przygnębienie Słupeckiego.

— Trzy zegarki! — wykrzyknął.

— Ty mos głowe dziecuchno, dodał z uznaniem.

Zaczął sam szukać czarnych stron tamtego związku.

— A tam, jakby sie familija zaczena wdawać —

nie byłoby mi słodko — a jesce z takom zonkom nie bardzo ładnom — co mnie do nij do łózka nie ciągnie.

Marynka zastrzegła się niepewnie:

— O urodę ta nie tak idzie — jak o to, czy porzonno — dobro — gospodarno.

Poznał po wszystkiem co mówiła, że ich miłość rozległa służyć im będzie do nowych rzeczy, do budowania domu i gospodarzenia.

— Tak mi lekuchno na sercu — rzekł gwałtownie, a gdy schyliła się, aby przeleźć żywopłot, pociągnął ją wstecz na wonne szmerające listowie, gdzie sobie sprawili zawsze tak samo pożądane wesele.

To zaś, które nakazywały obyczaje, a Bóg uświęcał — zbliżało się też nieleniwie. — Tak jest. Wesele miało być w Rusocinie jeszcze przed zimą.

Druchny szykowały pazłótka, a młodziani chustki i dyscypliny. W takim rynsztunku w ostatni czwartek poszli do dworu i po ludziach zapraszać.

Marynka nie mogła wytrzymać przy robocie i zdaleka śledziła ich jak szli czarni i wymuskani po drodze koło pańskiego ogrodu. Spadłe liście jeszcze nie były kruche, leżały warstwa na warstwie mokremi żółtemi deseniami. Z ich obrusa złotego występowały drzewa, rozrzucając po niebie gałęzie lekkie i puste, pełne bolesnego szczękania kawek, brzmiącego jak luźny dźwięk łańcucha. — Weszli w bramę — widziała ich jeszcze pod kasztanami — teraz musieli już wkraczać do pokoju pana. Gdziekolwiek przyszli, wszędzie tak samo jednym głosem mówili:

— Przechodzą nasze nogi przez wasze progi,

abyśmy wos prosili na ten akt weselny, na wesele, na wesele, to jest nie tak na wiele i na czas krótki, na sądek wódki, na beczkę piwa i na chleba trzy pieczywa, na dwa rżanego, jedno pszennego, na kapłona warzonego, na pare kuropat, żeby młody pon — młode panne dopad...

Zapraszająca mowa przedłużała się, a gospodarze dworu słuchali w milczeniu, cierpliwie aż do końca. Oprócz młodzianów do dworu poszła jeszcze matka prosić — czyby wesele nie mogło przyjść potańczyć do stancji koło kuchni — tam gdzie Marynka spała, kiedy służyła. U niej w mieszkaniu zabardzo ciasno. Pan pozwolił. Ma się rozumieć — wszystkie wesela tam tańcowały.

— Ładnej żeście się panny młodej dochowali — ani tańcować pewno nie będzie mogła — zażartował niedbale.

Stara wyprostowała się, duża i siwa i rzekła surowo:

— Panu Bogu o czas nie idzie, bo je wieczny — ino o rzecz. A rzecz jes — jak być powinna.

Tak też myśleli wszyscy i ludzi naschodziło się na to wesele jak rzadko bywa na które.

Prawą miłość dziewczyny i młodzieńca święcił tu ksiądz i nad prawą tą miłością zabrzmiały odwieczne pieśni, których nie poważy się nikt zaśpiewać w żadnym zwyczajnym czasie.

Marynka śpiewająca — milczała teraz pogodnie — i płakała jak płakać powinna każda, gdy o północy kobiety zajęczały nad nią jej ostatni panieński śpiew:

Wy stążeczki stwijejcie sie
ty czepyszku ostwijej sie...

i gdy wysoki głos skrzypiec brzmiał z drugiaj izby starą pieśnią, niemającą początku ni końca:

O chmielu — chmielu — ty bujne ziele...

A gdy pieśń ta minęła — nadeszła po niej późna jesień — i oto siedzieli po robocie razem z matką w jej komorniczej izbie, myśląc cierpliwie o latach, które przyjdą.

Z marzeń tych dźwignęło Marynkę wspomnienie kapusty.

— Gdzie mota, mama, ten wielgi nóż? — spytała.

— A na co ci?

— Bośta te kapuste na zagonkach ostawili, a tu sie jakby na mróz miało. Wezne te kapuste i wytne.

Zagonek przyznany komornicy w drodze łaski, był ich całem bogactwem.

— Po nocy bydziesz ciąć?

— A kiej ta robić lo siebie, jak nie po nocy?

— Pockej — to ci pomoge — rzekł jej mąż.

— Weźta opałke i wnet przychodźta, bo zaro poliwke nastawiom.

Ostra noc późnojesienna rozpościerała swą czarną pogodę nad chałupami, a lekkie gwiazdy skrapiały ciemność.

Przez żółte okienka widać było ludzi, jak pochylają się nad nędznym stołem, i w towarzystwie swych wielkich cieniów chodzą po izbach.

Przekroczywszy drogę, małżonkowie zgięli się nad surowo pachnącą ziemią i wyłamując z pod noża zimne kule kapusty, obierali je z pierwszych liści, a liście skrzypiały i trzeszczały im w palcach.

ŁUCJA Z POKUCIC

Tego samego dnia, którego Władysław Nowacki odjechał z innymi na wojnę japońską, jego żona, Łucja, powiedziała, że świat się nad nią skończył i że niema już życia.

— To to już nie jes życie, mówiła, gdy ją kobiety pytały, co u niej słychać.

W niedzielę zawinęła córkę Zosię w kraciastą chustkę i poszły do Rusocińskiej kolonji, która jest odległa o trzy wiorsty od Pokucic, a o dwie od Rusocina.

— Poczekaj, mówiła Łucja do dziecka. Mama ci chustkę poprawi. Żeby tata był, to by ci kupił nowom chustke. A tak to musisz chodzić w stary.

— I sukienke — dopełniała Zosia, i zostawała w tyle przy jeżynach. — Matka oglądała się i naglila.

— Pódź — Pódź — Pódź — Jużeś sobie rence uwalała. O przyrnom ci babusia, przyrnom.

Ich osamotnione głosy roztrącały się dźwięcznie śród pustych gałęzi i oślepiającego blasku, jaki bywa na drodze, gdy liście spadną w piękną pogodę.

Domy Rusocińskiej kolonji, schowane za niskiemi żywopłotami z ligustru, były pogrążone w szumie ol-

brzymich srebrnolistnych topoli. Teraz liście topoli stały się szare, i sypiąc się z drzew, pędziły po drodze jak myszy. Zosia puściła rękę Łucji i biegła naprzód, kopiąc opadłą zieleń.

— Daj mamie ronczke. Już my przyszli do babci. Żebyś sie ładnie przywitała — strofowała ją Łucja, otwierając znajomą furtkę.

— Dawnoś tu nie bywała, rzekli starzy Bogacze.

Łucja zaczerwieniła się. Tak jest, nie była w domu rodziców już ze dwa lata. I wogóle od czasu ślubu z pięć razy przez siedm lat. A teraz przyszła.

Ma się rozumieć przyjęli ją uczciwie i dziecku nadawali wszystkiego. Lecz jak tylko skończyli obiad, ojciec natychmiast poszedł do takiej porządkarni, którą miał przy stodole i tam przy czemś pozostał.

— Co oni ta majom? pytała Łucja.

— Może ta poco poszli, wymówiła się matka. Łucja popatrzyła uważnie. Drzwi porządkarni były otwarte i widać było, że wszystkie narzędzia i statki leżą w niedzielnym porządku, a stary Bogacz siedzi sobie poprostu na deskach.

— Weź dziecko — póńdziemy sobie do sadu — zwróciła matka rozmowę na milsze rzeczy.

Ogród pachniał śliwkami, które naumyślnie długo trzymali na drzewach, żeby powidła były słodsze.

Łucja naodpoczywała się pod drzewami, pochodziła z czułością po starych kątach, zajrzała do świń, a potem do komory — i znowu do ogrodu.

Ze łzami w oczach, krocząc śród nagietek i turków, zarastających ogródek, rzekła:

— Mocie, a mocie tu wszystkiego.

Wtedy ojciec, który był w porządkarni i zdawał się nic nie słyszeć, zawołał gorzko w stronę ogródka:

— Mogłaś mieć tyż tak samo, mogłaś — toś wziena i za dziadoka sie wydałaś.

— Lo wos dziadok, a lo mnie święty — krzyknęła porywczo.

— Patrzcie jom, jak się nauczyła. Święty toby w ołtarzu był, a nie u ciebie pod pierzynom — zgromiła ją matka.

Nie mieli zamiaru jej takich rzeczy mówić, przecież widzieli, że była skłopotana. Lecz gdy zaczęli, domówili się prędko do wszystkiego, co ich bolało.

Przypomnieli jej, że ona, gospodarska córka, nie chciała iść za mąż po ich woli. Że wzięła takiego ciadracha z dworaków i jeszcze, żeby gdzie służył, ale w Pokucicach, na takich dziadach!

Skoro go sobie na muzykach u ludzi wytańcowała, to niechże dalej tańczy. Robiła jak chciała, więc niech ma. Oni mogą jej tylko powiedzieć: z Bogiem. Teraz ją owszem wspomogą, lecz żeby im tu nie przymawiała, i nie myślała, że jej się co należy, bo była złą córką. Tak. Złą córką.

Że jej się co należy? Łucja nie poto przyszła. Ona przyszła zobaczyć, czy jest dla niej na świecie jeszcze jakie życie.

Jeśli przez to ma słyszeć źle o tym, co jest na wojnie i może już na świat nie patrzy, to sobie zaraz pójdzie.

Nieduży dzień jesienny uchodził, pachnąc jabłkami, zimne rosy padać zaczynały na ciemniejący świat, a u Bogaczów kłócili się coraz głośniej. Nie w ogro-

dzie już, ale na podwórzu przy drodze, a potem przy furtce, gdzie ojciec i matka stali razem z Łucją, ciągle krzycząc. Łucja stała z jednej strony, a oni z drugiej, trzymając się pięściami za żerdki.

Teraz wypomnieli jej, niemal płacząc, że starsze córki powydawali niewinnemi pannami, a ona najmłodsza chrzciny w kwartał po ślubie wyprawiła. Czemu im tak zrobiła?

Na takie słowa Łucja chwyciła dziecko, odtrącając węzełki, koszyczki, które jej matka wtykała do rąk i zaczęła odchodzić.

— Miodu nie weźniesz? Ogórków nie weźniesz?— jęknęła Bogaczowa.

— Nic nie wezne — krzyknęła z gniewem.

Wtedy umilkli i zmrok natychmiast się zwiększył.

Teraz ludzie widzieli, siedząc w posprzątanych mieszkaniach przy oknie, albo stojąc przy furtce, jak Łucja szła z płaczem przez szumiącą drogę, a szare liście pędziły z nią razem na spotkanie olbrzymiej, szkarłatnej zorzy.

Kiedy wróciła do domu, było już ciemno. Ktoś wstał z ławki na przyzbie i podszedł do niej. Myślała, że to kto od Jamrozików, którzy mieszkali z nią przez sień.

Lecz ów uchylił czapki, mówiąc:

— To jo. Chodziłem do gminy i dali mi lo wos list.

Był to Michał Ziąb, syn Pokucickiego włódarza. Nietylko przyniósł list, ale go zaraz sam przeczytał, gdyż Łucja nie umiała. Władysław pozdrawiał wszystkich, pisząc, że jadą wciąż dniem i nocą — lecz dokąd — nie wie.

Dodawał na końcu: «żebyś aby miała wszystkiego

doma dość lo dziecka, i trzymaj Zosiuchne ciepło, bo zima idzie».

— Zima idzie — powtórzyła trwożnie Łucja. A jo tu jeszcze ani kapusty nie zakwasiłam. Trza u kogo szatkownicy poprosić, bo nasza do niczego.

Michał siedział, milcząc i gryzł patyk. Nakoniec rzekł:

— Przyniese od nos — co mota gdzie szukać.

Łucja myślała, że przyniesie ją jutro, albo kiedy. Lecz nie, przyniósł ją zaraz. Posiedziawszy, obiecał przyjść którego dnia, poszatkować.

I oto w izbie Łucji stał znowu mężczyzna, pogrążony w pracy dla tego domu. Seledynowe i białe skręty kapusty z tępym odgłosem, podobnym do żucia wywijały się przez szatkownicę, kawałki głąbów pryskały na boki z krzepkich rąk, a nozdrza wciągały zapach warzywny i surowy.

Łucja pierwsza usłyszała wtedy, że na drodze ktoś krzyczy.

— Cichono bądźcie, rzekła do Michała, który przecierał ostatnie łby.

Przestał natychmiast i nastawili uszy.

— Coś się stało — rzekł Michał.

Gdy to mówił, drzwi się otwarły i dała się widzieć nieprzyjemna purpurowa zorza, wiejąca zimnem. Ktoś zajrzał i krzyknąwszy: — Krowy ludzkie sie wzdeły! — poszedł dalej.

Ma się rozumieć Łucja nie była jedyną, której krowa dnia tego padła. Zdechło ich pięć, w tem dwie, należące do rezerwistek.

Tak późną jesienią wygnali je przy rosie na koniczysko!

Nazajutrz wszyscy spoglądali na dwór, szukając w nim wątpliwego ratunku. Pod bystrem słońcem i czystem niebem stał zapadnięty, rozgrodzony, zasypany ulewą liści, sam jakby goły i cały w pręgach dzikiego wina, jak w strugach krwi.

Olbrzymie pudło karety podjeżdżało, błyskając oknami, i wywlekając zwolna swe koła z chrupiącego listowia.

W Pokucicach zawsze stało wszystko na ostatnich nogach, lecz teraz, kiedy państwo wyjeżdżali za granicę ze swą umierającą na suchoty panną, zrobiło się jeszcze gorzej. Ludzie wiedzieli dobrze, co teraz nadchodziło. Niezałatane dachy. Urwane ordynarje. Niezapłacone dniówki.

Rządca zaraz przy pierwszej wypłacie wziął od ludzi kwitki i długo coś z niemi robił na biurku.

Potem wychylił się, spojrzał w niebo i westchnął.

— Niema pieniędzy — powiedział i zamknął okno, a gdy ludzie wciąż stali — otworzył je znowu.

— Pojutrze dostanę z cukrowni, rzekł i zamknął je znowu. Wtedy poszli, rwąc po drodze suche gałązki i trąc je w palcach na proch.

Po niejakim czasie wrócili, a gdy rządca się ukazał, podnieśli sprawę o mleko za padłe krowy.

Nikt nie miał wielkiej nadziei, że dwór będzie wydawał mleko jak się należy, a najmniej mogły się tego spodziewać rezerwistki. I tak uważano je za ciężar dla majątku.

Lecz Michał Ziąb dopilnował przez ojca, żeby rezerwistki nie miały krzywdy.

Łucja nie zabiegała o to, gdyż umiała kurczyć

swoje potrzeby. Ale skoro stało się lepiej, dźwignęła się na duchu, jak dźwiga się każdy, kto dozna od ludzi pomocy.

Wtedy przyszli do włódarza Ziąba dobrzy ludzie i rzekli:

— Michałek z Łucją łóżeczko sobie ściele, to nie dziwota, że o mliko lo Zosiuchny stoi.

Stary przeraził się, gdyż najpierw chciał Michała żenić z Szymanderówną z Rusocina, a powtóre był w przyjacielstwie z Władysławem.

— To parszywe ploty, rzekł.

Lecz jeśli to jest prawda? — Czyż nie musiało tam jedno iść za drugiem? Gdzie Michał najczęściej jadł? U Łucji. — Gdzie bezustanku teraz przebywał? Czy w domu dużo go teraz widzieli? Komu chodził ciągle we wszystkiem pomagać? Może Jamrozikom? — Z kim wysiadywał po nocy, kiedy ciemność zbliża obcych do siebie.

Aby starego w rzeczy tej upewnić, pokazano mu raz jak Michał niesie słomę z podwórza do domu Łucji.

— Kazała mu przynieść słomy — na łóżko — mówili ci, co słyszeli.

Szedł zanurzony głową w złocisty snop, a jasne źdźbła wymykały się i wlokły po ziemi. Podwórze było już śniade i słońce świeciło na nie wązkim pasem z pomiędzy stodół jak w pokoju. Ciężar Michała pałał mu nad głową, a syk słomy, wznoszący się i cichnący w miarę jego kroków, ogarniał go czemś ciepłem i poufnem i Łucja na to patrzyła.

Gdy oboje rozpostarli na słomie płachtę zapragnęli w samej rzeczy na tej płachcie razem spać i nie

wtedy gdy ludzie mówić zaczęli, ale teraz właśnie po-raz pierwszy tak uczynili.

Michał, chodząc, stąpał rozważnie i pewnie i to się Łucji podobało. Oprócz tego jej młody kochanek mówił mało, tak samo jak i ona, to też nigdy nie doszli do rozmowy o tem, co zrobili. Były między nimi same proste słowa, dotyczące codziennej roboty, lub wypoczynku.

Krzątając się około domu, z którego Michałowi nie chciało się nigdy wychodzić, mówili do siebie niegłośno:

— Idziesz?

— Przyszłaś? Podź, naniesiemy drewek.

— Michaś — zajrzyj ta do kapusty, czy sie zburzyła?

— Zajrze. — Siądź sam, Łucyś, siądź kole twojego chłopca. Miło ci je?

I nic więcej. Lecz Łucji nie było więcej trzeba. Żyła znowu tem, czem żyć nauczył ją Władysław. Potężny młodzieniec huśtał ją w uściskach do snu, a we dnie był dla niej dobry. — Myślała, że tylko Władysław tak potrafi — ale okazało się, że z drugim też można żyć w szczęściu i radości.

Ma się rozumieć popełniało się grzech, lecz ile razy Łucja wejrzała na olbrzymią i dobrotliwą postać Michała — tyle razy odwlekała zamiar spowiedzi i pokuty w niewyraźną przyszłość.

Tymczasem zrobiło się tak, że przyszłość ta zaczęła ją trwożyć z innej przyczyny.

Stary Ziąb niby niczemu nie wierzył, lecz rozwijał ożywioną działalność. Widziano go, jak chodził do Rusocina i jak chodził po coś do Rusocińskiej kolonji.

Wesele Michała z owczarzówną z Rusocina zaczęło się po tem szybko zbliżać, a młody Ziąb nie mógł się oprzeć, gdyż znał swoje obowiązki wobec życia i rodziców.

Jednocześnie rodzina Bogaczów dawała znać o sobie potajemnie okrężną drogą.

Ludzie z Pokucic stali akurat nad kopcami swoich kartofli, śród krajobrazu całego w siwych rzęsach szronu — w mrozie przedwczesnym, zjadliwym i bezśnieżnym. Nie mogli się byli doprosić, żeby im dano zawczasu wykopać kartofle. Kopali je dopiero na pierwszych mrozkach. Dołując w strachu i na gwałt, coś widać źle porobili. Nie ogacili też jeszcze kopców. Kartofle zmarzły.

Był to ciężki dzień, z którego człowiek chciałby dokądś nawrócić, z którego chciałby się wycofać w jakie lepsze czasy.

Łucja kręciła się przy swoim dole z płaczem zmarzniętym na twarzy, gdyż prócz tego Michał miał iść dzisiaj na swoje smowy z owczarzówną.

Fury ze ściółką nadjeżdżały żałobnie, a obrośnięte mrozem konie potykały się na grudzie.

Lecz między furami szedł ktoś i Łucja rzekła:

— Czyto nie Stachu Kucza idzie drogom?

— On! On! — dodała i patrzyła jak błądził niepewnie.

— Tutej, tutej! krzyknęła, widząc, że pyta się ludzi.

— Na wieki wieków, odparła na jego powitanie. Kartofle nom zmarzły, dopowiedziała smutno.

— Chto ta bydzie mioł dobrze, jak na dziadach służy — rzekł przybyły.

Tak jest, był to Stachu Kucza, który przyszedł się dowiedzieć jak Łucja daje sobie radę.

— Co z Jadwisiom słychać? zapytywała o siostrę, gdyż Stachu był bratem jej szwagra.

— Zdrowa, dzięki Bogu, odparł i zaraz dodał:

— Jo nie z Rusocińskiej Kolonji ide. — Jo od kwietnia w samem Rusocinie służe.

— Razem z Waszem bratem? Z tem Józefem, co tam jes za włódarza?

Gdy wstąpili w ciemne progi Łucji — powinowaty gość powiedział, że nie trzeba się martwić ani kartoflami, ani też krową, która zdechła. Ale że trzeba się wynieść z tych Pokucic.

Nigdy, a nigdy. Łucja oparła się mocno. Tu jej dobrze i nie będzie niczego szukać po świecie.

Stachu Kucza popatrzył na nią w milczeniu — i ścisnął usta, jakoś tak, że ją to mocno stropiło. Namawiał dalej, ażeby stąd wyjechała. Tu będzie coraz gorzej. Że niewymówione? Ale wymówić można kiedy chcąc. — Co traci? Ten korczyk ordynacji, którego jej i tak nie wydadzą. A co już tu właśnie natraciła — jakie nieszczęścia ją spotkały! bo nieszczęściami teraz okazały się i krowa i kartofle. Ma czekać czego gorszego? Nie tu się świat kończy. — Dlaczego się nie zgodzić choćby do Rusocina. To jest przynajmniej dwór, gdzie można się mieć nieostatnio. Oni są gospodarscy synowie, a jednak służą tam razem z bratem, zanim ich ten, co ma Jadwisię Bogaczównę z ojcowizny wypłaci.

Łucja zaczęła mówić bardziej nieśmiało, że jeszcze nie wie, że za nagle to na nią spadło.

Na to Stachu rzekł ostro, że trzeba korzystać póki Józef Kucza tam służy — jako że on we dworze wszystko wskóra, co zechce.

— A on już niedługo odchodzi — bo sobie kupił grunt pod Rychnowem.

— Dużo sobie kupili? — spytała Łucja, aby zyskać na czasie.

Zamiast odpowiedzi na to pytanie, Stachu popatrzył na nią krzywo i rzekł twardo.

— Drugi by skakał do góry, jakby mu przyszło z takich Pokucia na co lepszego wyjść, a wy jeszcze grymasicie.

Okropnie przykro było się sprzeciwiać. Łucja nie czuła w sobie sił do tego — lecz przecież usłuchać także nie było można.

Gdy siedziała tak ze skłóconem sercem — za oknami w jesiennym zmroku zaczęła się rozlegać i przybliżać muzyka. — Gracze szli na smowy Michała Ziąba.

Łucja sponsowiała i ku zdumieniu Kuczy, zalana łzami, przystała nagle na wszystko.

Wtedy wyszło na jaw, że w Rusocinie we dworze było już o niej powiedziane — więc niema co, trzeba się stąd zabierać.

Mimo takie postanowienia i mimo smowy Michał Ziąb przyszedł nazajutrz. Łucja struchlała tak, że zapytała go tylko, czy lubi ją jeszcze. Paląc papierosa, odparł zdziwiony, że ma się rozumieć. Tedy, gdy go wkońcu zadeptał, dała mu się posilić miłością. — A gdy poślubiwszy przed samym adwentem owczarzównę, zaczął po niejakim czasie znowu przychodzić, doznawała z nim nadal szczęścia, aż do Nowego Roku.

W Nowy Rok — naglona przez Kuczę, który sam po nią przybył — odjechała nakoniec do Rusocina, żałując bardzo, że dała się na to złapać — i płacząc za Michałem.

Wjechali w obręb parku jak między wieże, — tak wielkie tam były drzewa, tak wszystko zimne i wysokie — żółte — bezśnieżne — w blasku słońca i mrozu.

Oficyna tylko , gdzie Łucja miała mieszkać, śród kurników, była niska, tak niska, że zdawała się nie stać, a leżeć pod czarnym dachem.

Olbrzymie kasztany odgradzały ją od parku i głaskały dach zwieszonemi gałęziami.

Gdy tylko Łucja weszła, na progu malutkiej izby stanęły natychmiast kury i przypatrywały się na jednej nodze, kurcząc i rozkurczając pazury drugiej. Łucja wygnała je.

W izbie było zimno, jak na dworze — a naokoło milczenie obcej strony. Stłuczone okienko świegotało w podmuchach północnego wiatru, w których noc nadpływała falami ciemności. Zosia bała się tego i płakała.

— Mama, zapolta lampkę! Mama, lampkę — szlochała, nurzając lepką od płaczu twarz w kolanach matki, i bodąc ją głową. Łucja głaskała ją, sama przerażona i niepewna.

— Pocożem tyż tu przyjechała — jak tyż to tu wredno — mówiła z goryczą. Gdzie twój tatuś, gdzie — pytała dziecka.

Poczuła się związana z tą jedyną na świecie istotą — z małą Zosią i pełna czułości zakołysała je w ramionach.

— Nie płacz dziecuchno. — Zjadła byś co, zjadła? Poczekaj mama zrobi kolację.

Zaczęły szukać drewek, zapałek — nie wiedząc, gdzie co jest.

Potem z lampą w ręku Łucja krążyła od kąta do kąta.

Dotykała pytającą dłonią każdego miejsca, każdej ściany, jakby chcąc napoić tę obcość sobą — a grube cienie tobołów przemieszczały się po ścianach.

— Okno trza zakleić, rzekła — dziurska pozalepiać — wszystko narządzić, wysprzątać.

— I jak żyć, tak żyć — dodała.

Nagotowały sobie jeść — a potem się nacałowały, naopowiadały sobie bajdów, i poszły spać pocieszone ogniem, strawą i sobą.

Okazało się teraz, że Łucja lubi chodzić koło drobiu.

Także i około świń.

Lubiła to jeszcze kiedyś na Rusocińskiej kolonji, w domu rodziców.

— Ile my tam tego mieli, mówiła z pychą, gdy ją pytali, skąd się na tem zna.

— Jakie tam u nos było gospodarstwo — ho, ho — chwaliła się z łuną na nieładnej płaskiej twarzy. — Krowy dawały tak, że syr na syr zachodził.

Zapytana jeszcze o to, lub owo — mówiła smutno i powściągliwie.

— Potem my tyż źle nie mieli — ale już nigdy tak. — Krowe my trzymali aby jedne — to było tak, że mliko mlika nie widziało.

— Mówi się — trudno — dodawała.

I zlawszy do wiader pomyje, zasypawszy je ospą, szła do świń śród mrozu, tnącego jak szkło.

Ściany były żółte od słońca, śniegi ostro niebieskie. Drzewa obszyte sacią, jaśniały puszystym blaskiem na granatowych niebiosach.

Po jęczącym lodzie stawu biegali chłopcy, a w obleczonych na biało trzcinach, błąkał się zimorodek, jak skrawek tęczy w śniegach.

Łucja postawiła wiadra, szczękając nosidłami. Żelazne pałąki stuknęły w obręcz, a lodowata cisza rozgłosiła daleko te dźwięki.

W zjadliwym zmroku chlewów świnie chrząkały i wybuchały krótkiemi kwiknięciami.

Niektóre leżały blade, tłuste, olbrzymie, stękając pytająco.

Inne potrosze siedziały i wyglądały zatroskanemi oczami z pod białych rzęs, a uszy kiwały im się rączo na ociężałych łbach.

Przytem też coś mruczały, marudziły, nukały. Ich płaskie, okrągłe nosy ciągle się ruszały z góry na dół i ryły coś po powietrzu.

Obrzydły bełkot pomyj postawił je wszystkie na nogi.

Żarły, włażąc raciami do szarego sosu, w którym czwalały się pacyny ospy, ziemniaki i obierki.

Łucja trącała świnie wiadrem, gdy wywalały jedzenie na ziemię.

Pomimo zimna stała wciąż, gdyż przyjemnie jest patrzeć, jak stworzenie żre.

Najadłszy się, maciorki wystawiły z niesmakiem ryje, wydając chrząknięcia, podobne do czkawki.

Wtem prążka czerwonego słońca zakradała się do chlewa i przemykała przez ciemne belki.

— Jaki to krótki ten dzień, mówiła przerażoua Łucja i wybiegała spojrzeć na purpurowe blaski, w których kąpał się wieczorny śnieg.

— O żeby tyż ty nocy nie było — żeby tyż nie było — wzdychała z oczyma ciepłemi od łez.

Nie mogła narzekać, żeby ludzie o niej nie pamiętali, bo pamiętali, chociaż i w obcej stronie. Była taka, że zawsze ktoś u niej siedział, zawsze ktoś przyszedł dowiedzieć się, co u niej słychać.

Lecz w nocy nikt nie przychodził, i było jej tak zimno spać, i było jej tak smutno spać.

Żeby skrócić te wielkie godziny osamotnionej ciemności, chodziła zrazu do Kuczów — lecz musiała tego zaprzestać, gdyż poznała, że ją nieradzi widzą. Ma się rozumieć — przecież trzymali ze starymi. Wszyscy tam byli nieradzi, oprócz tego najmłodszego, Stanisława, zwanego Stachu.

Lecz o tym Stachu Kuczy źle mówili. Naprzykład, że żył z dziewczyną, która u nich była za posyłkę, z taką małą piętnastoletnią Manią. Że tę Manię bił, że żonę bił też, i że zawsze było koło niego gorące piekło — a w domu sodoma i gomora.

Łucja tego nie uważała, gdy u nich była. Owszem, żona Stacha patrzyła na niego bardzo mięko, a ta Mania uwijała się między nimi śpiewający, jak żywe srebro.

Stachu nie był też taki dumny i chętnie Łucję odwiedził dwa, lub trzy razy.

W rozumieniu chłopów Stachu Kucza był wałkoniem do niczego, nie liczył się. Jedynie taką sprawę

można mu było powierzyć jak wtedy z Łucją w Pokucicach, gdyż kobiety widziały w nim Bóg wie co. Każdej zdawało się, że jest więcej niż sobą, gdy się ze Stachem zetknęła. Że jest ładniejsza niż jest, i więcej zdolna do kochania — i każda chciała tego dowieść.

I wiecznie go im było brak. Oto był dopiero co, a już spotkawszy go, Łucja prosiła.

— Przyszlibyście kiej, Zosia tak się z wami bawiła.

— To z wami póńde — mówił, zawsze gotowy.

Przyszedłszy nabredził, narozpowiadał rozmaitości, hojdał Zosię — i tak nawyprawiawszy znów odchodził, spiesząc się zawsze.

Łucja miała serce całe w zadrach i myślała: do kogo tyż tak leci — do kogo tyż tak leci.

Lecz pomimo te niepokoje bardzo przy nim poweselała, zrobiła się głośna, lubiła się naśmiać z hałasem.

Tak ją ośmielił, że wkońcu zapytała:

— Powidzta, czy to moje stare kozali wom przyjść po mnie do Pokucic — żeby mnie tu wywieść?

Siedziała na ławie i czekała uważnie odpowiedzi.

Roześmiał się.

— A bo wom tutek źle? Źle wom tutek? — pytał, gasząc papierosa o ścianę.

Sprawił temi słowy, że wejrzała na niego z przeraźliwym zachwytem — co wnet pojąwszy, wziął ją za rękę, na co rzuciła się w tył do ściany. — Nie pamiętała w tej godzinie, że jedna noga ławy wypadła i tylko tak jest wsadzona. — Kraknęło i ława się wywaliła, a Łucja zemknęła się Stachowi Kuczy do kolan. Ustały pomiędzy nimi śmiechy, Stachu dźwignął ją z ziemi i potężnie do serca przycisnął.

Chciała się jeszcze wyszarpać.

— Nie śpisz to z drugiemi? broniła swej wolności.

— A tobie co, s kiem śpie — spytał chrypiącym głosem i zrozumiała, że jej nic do tego, co czynił — byle tylko z nią chciał być i nie zostawiał jej samej na świecie.

Nie zostawiał jej samej od tego czasu.

Zakochali się okropnie w ciągłych radościach, dziwiąc się, że mogą być tak wymyślne i bez umiaru pożądane. Łucja patrzyła na Stacha jak na jaki ogrójec wiecznego uradowania — które nie kończyło się nigdzie. Ponauczał ją pieszczot, którym oddawali się długie godziny, z twarzami palącemi jak głownie. — Zosia wtedy biegła do dworskiej kuchni, gdzie jej dawali jeść przez litość — świnie wtedy kwiczały z głodu — wiatr wywiewał z pod blachy na stancję obziębły popiół — a we dworze mówiono:

— Łucja z Pokucic oszalała.

Posyłali po nią, żeby dała jeść świniom. — Lecz zastawano już tylko pustą, nieuporządkowaną izbę ze skopanem łóżkiem.

Łucja i Stachu zanurzali się wtedy w płowe obszary nocy. — Przez ostre puchy śniegu, mimo czarnych zarośli, w których gwizdał wiatr, szli na tańce do Chojnackiego.

Sklep Chojnackiego znajdował się w budynku, który stoi daleko od folwarku, na zakręcie drogi do Tykadłowa.

Nie była to już dawna karczma, tylko sklepik, do którego we dnie dzieci latały po pierniki. Lecz

dom był po starej karczmie, szary i lekki, gontem kryty, a w ganku mający dwa białe pękate słupki.

Dom był ten sam, i gdy noc nadchodziła tętnił od głosu bębna i tąpania hulatyki.

Ma się rozumieć do starych Bogaczów doszło to, co Łucja wyrabia. Poraz drugi chcieli byli ją ocalić od niecnoty, wyrywając z Pokucic i znów się nie udało. Byli skostniali i starzy. — Córki z których zamęścia byli dumni — bacznie patrzyły, kiedy im ziemia oczy zasypie. Od tych spojrzeń starzy ziębli i mocniej czuli zbliżanie się grobu.

Rozgrzewała ich tylko pełna nienawiści, gniewu i obrazy miłość do Łucji. Ta najmłodsza Łucysia, ta maluchna Łucysia, w co się to między dworakami obróciła!

Pojechali na targ, na ktorym nic nie kupiwszy, wałęsali się po kolorowych straganach zgrzybiali i pełni czarnej myśli. Zwlekli do zmierzchu. — Wstąpili na nieszpory, w skropioną rzęsistem światłem czarną nawę fary.

Po żółtym, ulicznym śniegu świsnęli w niebieskie przedmieścia — z pomarańczowemi oknami na granatowych domach, i stanęli dopiero na siódmej wiorście przed sklepem Chojnackiego.

Patrzyli długo w okna — aż rzekli:

— Ady je.

Przez chłopca, który wyszedł z głębi wywołali Łucję. — Długo nie wychodziła, widać nie chciała. Jednakże wkońcu wyszła.

Podchodziła zdumiona, pytając kto to, i co się stało, aż nagle poznawszy, odskoczyła.

Wzniosła wysoko głowę, a w świetle okna widać było, jakie uczucia nią miotały. Nie mogła stać prosto, potykała się trochę — była nieco pijana.

Lecz każdy ruch jej głowy, naprzekór chwiejności oznaczał głupowatą pewność siebie, właściwą ludziom pijanym. W śmiechu, którym się zaśmiała, była nieprzyzwoita poufałość i nieopatrzna pycha namiętności.

— Widzisz jom! Zabieraj się do domu, krzyknął ojciec.

— Łucja, coś się ty upiła? Matki nie poznajesz?

— Co się pytosz? Nie widzisz, że ledwo stoi?

Ojciec zepchnął matkę za siebie.

— Do dómu, krzyknął. Do dómu!

— Co to, to nie! Co to to nie. — Łucja mówiła, jąkając się i ze śmiechem.

Wtem schyliła się i niepewną garścią usiłowała nabrać śniegu. Rzuciła tym śniegiem na konia.

— Jedźta sami! Jedźta sami! Jo sobie — a wy sobie. — Jedźta sami!

— Że tyż niskąd pociechy na tem świecie. — Gdzie ino aby iść — samo zmortwienie, a zmortwienie, zapłakała matka, obzierając się na mętne zmroki.

Łacja oparła się nieprzytomnie na saniach.

— Mama — krzyknęła popatrzywszy zbliska.

— Zabirasz się z nami, czy się nie zabirasz, mówił stary ojciec, dławiąc się z płaczu i wściekłości.

— Jedźta sami! — mruknęła groźnie.

Sanie szarpnęły i odjechali porywczo, śród pisku płóz. Łucja upadła w śnieg.

Podniosła się i rzucała za nimi śniegiem, póki nie skręcili na Starą Wieś.

Wtedy krzycząc uderzyła w drzwi, żeby jej otworzono, gdyż nie mogła znaleźć klamki.

Drzwi odskoczyły, a hałas tańca i muzyki upadł na chwilę w śnieg i natychmiast cofnął się do wnętrza.

Lekki szary dom, nabity ciżbą, taczał się dalej półpijany śród mroźnej nocy, a złote szlaki okien, jak wstęgi płynęły przez blady śnieg.

*
*   *

Na przedwiośnie tańce się nieco urwały i po Wielkanocy ludzie niedzielami tylko hulali u Chojnackiego.

Lecz gdy zimne wody wiosny zaczęły szarpać zmurszałą trawę i myć namiętnie korzenie drzew, rosnących ponad rowem — upodobania miłosne Stacha Kuczy i Łucji stały się jeszcze gwałtowniejsze i niełatwe do zaspokojenia.

Musieli im czynić zadość tak szybko i ciągle, jak szybko i ciągle przebrażała się ziemia, napadnięta przez porywcze najście wiosny. Nie było miejsca na folwarku, gdzieby nie można ich było zdybać na rozpustnych zabiegach.

Wzbudzili oburzenie, jakie budzą wszystkie uczucia obezwładniające. Miłość ich porównywano jedynie do innej pożogi, która przeszła niedawno przez Rusocin — do miłości Marynki Kuźniakówny i Słupeckiego. Lecz tamta była jednak miłością świętą — miłością młodzieńca i dziewczyny. — A tu? Dzieci obojga na to patrzyły!

Zosia Łucji coprawda najczęściej uciekała teraz z domu z drugiemi dziećmi, z małymi chłopakami.

O zmroku śród śpiewającej zieleni dzieci te siedziały nad rowem, gdzie bystra woda świegotała.

Kozikiem stukały w gładką zieloną korę jędrnego pręta i mówiły:

Uliń mi się piszczałeczko,
Bo cię wyćpię za płot,
Podziabie cię czarna kura,
Jarzębiaty kokot.

Mokre, białe drewno wyślizgiwało się z kory, a z wątłegc zielonego flecika o gorzkim zapachu, płynęło ubogie miękie nagwizdywanie, trochę niedołężne — świeże i młode.

Łucja wtedy włóczyła się po krzakach, po sadzie, nad stawem i potrząsając gałęźmi, z których spadały lepkie obłóczki pąków, zwoływała na noc kury śpiewem równie ubogim, pełnym ostrożnej prośby i troskliwej namowy.

— Siedzieć, siedzieć. Siedzieć, siedzieć. — Siedzieć, siedzieć.

Była smutna, gdyż właśnie w tym czasie zaszła w ciążę i nie wiedziała, jak będzie z dzieckiem.

Urodziło się akurat w Trzech króli. Był to syn i dano mu imię Kacper.

Zaś w miesiąc potem, w początkach lutego przyszedł list od Władysława żołnierza. Wędrował długo i wkońcu ktoś go przyniósł z Pokucic.

Z tym listem Łucja poszła do dworu.

— Kto tam przyszedł? — spytała pani w drugim pokoju.

— To jo.

Pani, zobaczywszy Łucję, przypomniała sobie o świniach.

— Czy ten karmnik żre?

— Nie tak bardzo,

— Podsypujecie mu ospy?

— Podsypuję.

— Ospy?

— Ady ospy.

— Codzień mu trza podsypywać. — Codzień, a codzień.

Łucja położyła list na lśniącym brzeżku stolika.

— Chciałam prosić wielmożnom paniom — bo sama nie poradze — rzekła cicho.

— Aaa. — Dobrze, dobrze. — Dlaczego nie mówicie odrazu. List? Z Japonji? To od męża?

Pani przypatrzyła się stemplom i spróbowała przeczytać po cichu.

Było dosyć trudno czytać, bo pismo rozłaziło się bardzo niezgrabnie.

— Więc pisze tak, rzekła wkońcu.

— Najpierw: kochana żono, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków, odpowiedziała poważnie Łucja.

Pani czytała kolejno pozdrowienia dla różnych ludzi, zdziwionym głosem, gdyż nikogo nie znała.

— ...Pozdrawiam Ziąbów Jana i Janowom z synem Michałem...

Zaczerwieniona Łucja objaśniła, że to są nie tutejsi ludzie. To są ludzie z Pokucic. Usiłowała się uśmiechnąć, lecz skrzywiła się tylko.

Pani czytała dalej, ściskając troszkę zęby i ze łzami w oczach od wstrzymanego ziewania.

Lecz na ostatniej stronicy urwała i podjęła na nowo głosem porywczym i nieswoim. Były tam następujące słowa:

— Niech się wszyscy ostanom w zdrowiu, czego i tobie życzę, najukochańsza żono, ty miesiączku pozłocisty, do chtórego piszę listy, ty oczuchno nienapatrzone, pyszczuchnu śmiejący, bo cię tak kocham, a kocham, żebym twoje nożuchny mył i ten brudek z nich pił. A teraz ci powiem, że cięgiem tego dnia wyglądom i ty nocy, kiej się do dom powrócę. Bo mi sie tu śniło, żem przy tobie siedzioł i do ciebiem gadoł, a ty mi aniżeś sie nie oześmiała, rączkeś mi swojom sjena, mojomś mi strząsnęła, jakbym to nie ja był. Żebyś wiedziała, co ja doznał, com ja wiedzioł, kiejem w tem śnie kole ciebie siedzioł, to wspomnieć serce płacze i ciało boleścieje. Ale już tyż da Pan Bóg, że i ja się powrócę, bo już stąd wszystkie plenne wyszli i ja dzień dnia na odjazd się spodziewam, a czy się powrócę, czy się nie powrócę, Panu Bogu ciebie oddaję, żeby cię mioł w swoi święty opiece, i Zosię córuchnę naszom także tyż, i podpisuję się jako twój ukochany mąż, żebyś mu chtóremu wierna była, a byś nie była, to żeby cię ciemno godzina ogarnęła, i żeby się pod tobom, niezbednicom, ziemia rozstompiła.

— To on w niewoli, rzekła pani natychmiast, gdy przebrzmiały słowa listu. A jego żona tutaj... A jego żona...

I pani patrzyła na Łucję. Na tę, o której nogach tak pisał mąż.

Nie było widać tych zdrożnych nóg, lecz miałby co pić zapewne gdyby je umył. Stała w olbrzymich butach, w kożuchu, w szkarłatnych blaskach kominka nad ramionami, niby rubaszny anioł z jasełki w swych purpurowych skrzydłach.

Wyglądała prawie jak chłop, nie ładna, za wielka, dziobata. Lecz jednak miała w sobie coś anielskiego.

— Mówią, że codzień warkocze spuszczacie jak dziewczyna i latacie na muzykę — rzekła jeszcze pani, spoglądając na nos Łucji długi i ostry, a jednak nie odejmujący jej twarzy wyrazu bezradnej dobroci.

Łucja wstrząsnęła głową.

— Nie codzień, rzekła, mrużąc oczy zalane łzami.

— Dzieci zamykacie na kłódkę i lecicie. Tak mówią.

— Więcej ta ludzie mówiom, jak co jes — rzekła wyniośle, patrząc w okno.

— Więcej mówią? A Kacperek? To nie ludzie mówią! — krzyknęła pani.

Łucja trzymała list kątem ściśniętej dłoni, a jednocześnie zdawała się chcieć urwać sobie prawą ręką palec lewej.

Od tych zabiegów list wymknął się i świsnął po podłodze.

Podniosła go natychmiast i stropiona uśmiechnęła się swym rozdzierającym uśmiechem, nieprzyzwoitym, a dziecinnym.

Pani potarła czoło i schyliła się nad stolikiem, wpatrzona w okładkę książki.

Z oczu Łucji płynęły teraz, śród ciągłego uśmiechu kropliste łzy.

— Niema co płakać, rzekła pani.

— Niema co płakać, rzekła poraz drugi, prawie z tkliwością.

Łucja zaczęła naraz mówić.

— Niech uczyniom, szlochała, te co na człowieka godajom. Niech uczyniom, by można było bez tego wyżyć. — By nie było miłe, co miłe. — By się można było czem drugiem tak samo cieszyć.

— Co takiego? spytała pani, otwierając szerzej oczy.

Łucja zamilkła, i już na nic nie odpowiadała.

Postała chwilę — poczem z westchnieniem pocałowała panią w rękę i odeszła.

Malutki dzień zimowy ginął w objęciach olbrzymiej nocy. Szalona cisza mrozu panowała nad wsią. Cisza wieczoru w śniegach. Wszystko zamknięte na głucho wśród czterech ścian w odrobinie ciepła i wypoczynku.

Po pustych obszarach parku, po pustych obszarach podwórza błąkało się rumiane światło zachodu, trwając chwilę to tu, to tam. Zdawało się, że to ktoś sobie świeci i czegoś szuka na fjołkowym śniegu, w gałęziach splątanych, jak czarne nici — na sinych ścianach obory.

Wtem zadmuchnęło się to światło i krótkotrwała ponsowa zorza zgasła. Gwiazdy zjawiły się niepostrzeżenie jak myśli.

U Łucji w domu było ciemno i zimno. Bardzo zimno. Światło dnia cofało się zewsząd, nawet z pod okna. Bieguny kołyski ruszały się nieco i lekkie sapanie śpiących dzieci trwało w kwaśnej ciemności.

— Tak pociemku siedzicie?

Nikt nie odpowiedział. Łucja namacała głowę Zosi. zwieszoną ociężale przez poręcz kołyski.

— Tak go we śnie kołyszesz? pytała. Adyś ty zimna córuchno, jak lód. Czegoś ognia nie zapoliła?

Zosia mówiła niezrozumiałe słowa płaczliwie i gniewnie, padając bezwładną głową na ręce i na pierś matki.

— Tatuś przyjedzie. Tatuś do nos przyjedzie. Nie śpij — nie śpij! prosiła matka. Zosia obudziła się.

— Gdzie tatuś? spytała trzeźwo.

— Już niedaleko. — Dali, pomóż mamie. — Dej lampke, dej.

Łucja odszukała zapałki. Strzelił gryzący, fjołkowy płomyk, docierając wątłym blaskiem ledwo gdzieniegdzie i kołysząc zmrokami.

Teraz dźwięknęło szkło — zapachniała nafta, knot wysunął się z pomiędzy blaszek.

— Ostrożnie kładź szkło — przestrzegła matka — i Zosia kładła je z namaszczeniem.

Języczek pary pomknął po szkle w górę, a błogie ciepło dotknęło małej sinej ręki.

— Podej mamusi gałązków, podej; napolemy ogień.

Jedna zapałka zgasła — druga też. Nakoniec płomyk musnął gałązki, lecz natychmiast zadymił białym dymem i uciekł.

— Nie chce się palić, rzekła Łucja — a Zosia powtórzyła to samo, skacząc na jednej nodze i podtrzymując sobie ręką piętę drugiej.

— Nie skokej — bo się obalisz na kolibkę i dziecko mi obudzisz. Zobacz lepi czy ta w piekarniku nima drzazgów.

Były. Podpalone całą wiązką zapłonęły różowym

i żółtym ogniem, mięko a cicho. — Łucja, przyczaiwszy się cokolwiek, wsunęła je pod chróst. Białe iskry wzleciały trzeszcząc i wartkie płomienie z hukiem skoczyły wgłąb komina.

Różowe migoty zatańczyły po ścianie, słodkie migoty, w których blasku dudniącym każde miejsce ziemi staje się domem.

Łucja obierała kartofle — płacząc mimowoli i ukradkiem. Kartofle obracały się szybko w jej rękach — a łzy płynęły gorzko po twarzy, i serce jej było ciężkie.

— Zosia — na masz — obierz jeszcze parę, jo zaprawie poliwkę.

Oddała robotę dziecku, a sama rozrobiła mąkę z maślanką, bełkocząc drewnianą łyżką w garnuszku.

Było to kwaśne, było to pachnące i gorące.

Zosia schyliła się nad miską, rozżarzona. — To dobre, mama — to dobre — rzekła. Chciała dać wyraz szalonej radości i zaczęła, plącząc się opowiadać, że «jak mamy nie było, to bestry kokot chciał tu wliźć». — Nie mogła skończyć od śmiechu, lecz nikt jej nie wtórował.

Łucja spytała nagle: Nikt nie przychodził? — Kucza nie przychodzili?

— Nie — rzekło dziecko i snuło dalej rzecz o kogucie.

— Jak się ty żegnosz — lewom rękom? — przeraziła się Łucja, ściągając Zosi sukienkę.

— Mama — pońdę do wos spać. — Do łóżka.

— Nie mosz to skrzynki. — Idź na skrzynkę. — Gdy Łucja to mówiła nieśmiało, twarz jej zalała się

krwią, a ręce gestem obudzonego szału, szorstko pchnęły dziecko na skrzynkę.

Poczem zamknęła izbę na kłódkę i wyszła. Noc była w księżycu, jakby wyrobiona z czego złotego i szklanego.

Mróż przylgnął do twarzy Łucji.

* * *

W pośrodku nocy światło księżyca wpadło do izby, gdzie były dzieci. Brylantowe okienko jaśniało, a mróz rzucał igły po ciężkiem powietrzu. Zosia obudziła się skostniała, bo stare rzęchy, któremi była okryta, zesunęły się za skrzynkę. Obudziła się przytomna i przerażona. Myszy chrobotały skrzętnie za matki łóżkiem i przy kuchni, a mały Kacperek matyjasił, kichał, krztusił się w swej kołysce.

— Mama — wyjąkała Zosia, zduszonym, nocnym szeptem.

— Mama — podjęła jeszcze z ciężko bijącem sercem. Odpowiedziała jej przykra cisza, wiejąca od łóżka, na które się nikt nie położył.

Gdy dziecko ze szlochem stęknęło — Matka! — kogut za drzwiami odparł krzykliwie: kko-ko-ko!

— Cicho dzici, cicho, prosiła Zosia brata, a kogut w sąsiednim kurniku znów odpowiedział, nieco łagodniej tym razem: — kko-ko!

— Cicho dzici, cicho, rzekła Zosia ponownie, lecz nadarmo. Kacperek wrzeszczał już, a kogut krzyczał także i kaczki zaczęły pogadywać.

— Trzeba wstać do dziecka, a ty mamy nima, a nima — rzekła Zosia głosem napuchniętym od płaczu.

Lecz trzeba było jednak wstać — i Zosia wstała. Z przestrachem dotykała przedmiotów, które były tak odrażająco zimne, że aż mokre.

Włosy się jej zjeżyły, a kolana tłukły o poręcz kołyski. Złowroga bladość nocy, która była pierwej tylko na twarzy, rozpościerała się teraz na rękach, stała za plecami, groziła z boku. Szybciej, niż można to uczynić przytomnie, Zosia doszperała się cukru zawiniętego w szmatkę. Znalazła flaszuchnę z lekką wódką i chciała kapnąć — ale ma się rozumieć chlusnęła sobie na palce, które zmarzły jeszcze bardziej. Szukała troskliwie małej buzi. Kacperek uspokoił się natychmiast i z bezgraniczną ufnością ssał, wykonywując pod kraciastą poduszką niepojęte susy radości.

Zosią miotały burzliwe siły. Nieposłuszna i zbuntowana skoczyła do łóżka matki i nasłuchiwała drżąc.

Kroki matki głuche i skrzypiące, jęły się wkrótce rozlegać koło domu, jakby ktoś chodził po jego ścianie. Łucja hałasowała długo i niezgrabnie u kłódki przy drzwiach.

Nakoniec weszła. Weszła sama. Potykała się o wszystko, zrzuciła sito.

Zosia poruszyła się, szepcząc: Mama.

— Śpij córuchna, śpij. Śpij! Śpij! — mruczała Łucja, hałasując coraz to mocniej.

Rano Łucja wstała, mówiąc:

— O Matko Boska, jaki jo tyż paskudny sen miałam.

Nie powiedziała jednak jaki.

— Mama, Kacperek tak płakoł w nocy. Tak płakoł. Tak płakoł, — zdawała sprawę Zosia.

— Coś mu dała? Dałaś mu cukru pocycać.

— Yhy — odparła Zosia tonem, który mówił, że to się rozumie samo przez się.

— Lepi mogłaś mu dać mlika, tam było ździebko we flaszce.

Wszczęły się codzienne zabiegi wstającego dnia, takie same wszędzie, gdziekolwiek są pod dachem cztery ściany i krzątający się w nich człowiek.

Pod okienkiem całem w złocistych skrach, Zosia uwijała się raźno z Łucją, tupiąc drewnianemi trepami.

— Pomogej, mamie, pomogej, musisz od małości robić, zachęcała ją Łucja, wyciągając z kołyseczki Kacperka.

— Płakałeś, ptaszuchno. — Płakałeś, kruszyneczko w nocy? Płakałeś, płakałeś, płakałeś — powtarzała te same słowa, jak powtarza je prosta pieśń, dla wyrażenia siły uczuć.

Podrzucany rękami matki, Kacperek zamachał piąsteczkami, lecz nie uśmiechnął się.

Łucja obnażyła swą ciepłą, jasną pierś i przytuliła do niej ciemne, zmarznięte liczko.

Karmiąc go, poczuła, że przestał ssać.

— Jak mi to usnął. Zosia, popraw mu kołyseczkę, popraw — rzekła małym głosem, śród ciszy, jaka nastaje w domu, gdy dzieci śpią.

Ułożyła go i co żywo zesiekała kartofle dla świń.

Przed wyjściem zajrzała do dziecka, które stało się teraz czerwone.

— Jak to się opił, rzekła, i nagle przestraszyła się.

— Ady mi to dziecko chore! krzyknęła.

Tak było rzeczywiście. Kacperek chorował dwa

tygodnie i nie wiadomo na co. Nie chciał jeść i stał się podobny do szarej kukiełeczki, z czarnemi, jak mały grosik, usteczkami, przez które oddech wyskakiwał tak dziwnie, jak gdyby dziecko ciągle łkało.

Nosek jego był siny i zimny. Białka w oczkach zrobiły się tak samo sine, jak były źrenice i strasznie było patrzeć na te granatowe oczy.

Jednak przychodzili wszyscy i patrzyli troszkę.

Łucja nie mówiła do nikogo ani słowa. Nikt też nie wiedział, że pewnej nocy była u starej Trzepaczki i że spaliły z nią list Władysława na czerwonem suknie.

Lecz popioły nie dały się rozrzucić, wracały ciągłe do stóp Łucji i tak leżały. Łucja poczuła się osaczona ze wszystkich stron. Stachowi Kuczy druga dziewczyna miała już niedługo dziecko rodzić. Nawet nie dowiedział się, czy Kacperkowi nie lepiej.

Nie było też lepiej, było gorzej. W dwa tygodnie do dworskiej kuchni przyszedł mleczarz Doniży, dźwigając czapę śnieżycy na swym garbie i rzekł:

— Umarło to dziecko tej Łucji z Pokucic.

— Umarło?!

— Umarło.

Zadymka świstała po polach, gdy wypadł pogrzeb Kacperka. Do kapliczki szli za trumną różni ludzie, ale dalej nikt nie mógł wytrzymać. — Jakiś czas szedł jeszcze ojciec Kacperka, Stachu Kucza. Potem został po drodze u Chojnackiego.

Teraz widać było w tumanie śniegu tylko wózek Dyonizego, który wiózł trumnę — i Łucję.

W skowycie wiatru, łykając śnieg, śpiewała:

Smutku, smutku mej żałości
nie moge mieć wiadomości
gdzie mój pierwszy nocleg bydzie,
jak dusza z ciała wynijdzie.

Wracając z pogrzebu, Łucja słyszała jak u Chojnackiego ktoś krzyczał:

— Oj wesoło tu da to tu — oj wesoło tu da to tu.

Nie był to głos Stacha Kuczy, lecz on znajdował się tam także.

Krzykiem i płaczem tej rzeczy nie odgoni — zresztą — wraca Władysław. Mój Boże, ile się trzeba było nalatać, natańczyć, napodlić, nacierpieć, żeby mieć przy sobie na krótko — tego, albo tamtego. A oto miała takiego ulubionego, który mógł był być z nią zawsze. I poczuwał się do tego wiernie, jak nikt na świecie. Był kiedyś w domu, wszędzie wisiały jego rzeczy na ścianie, chodził, starał się — a teraz go nie widać — i trzeba się radować, że jeszcze nie powrócił.

W samej rzeczy Władysław zdawał się czekać aż umrze mały Kacper — tak długo nadciągał i tak powoli.

Najpierw, ma się rozumieć. widziano go w Pokucicach i do Łucji to doszło.

Wtedy padła w trwodze na kolana i odmówiła wszystkie pacierze, i odmówiła koronkę, i odmówiła różaniec. — Inne gorzyj robiom — pocieszała się — i nic.

Nadszedł zdumiony, szary, olbrzymi, w papasze, smagły na twarzy i wychudzony.

Myślał, że wróci do domu, który był dla siebie

i swojej kobiety ustanowił — tymczasem wstępował w obce progi, i zrazu nie czuł się tu panem. Pytał a pytał: — Toś ty tu? Tu cię nalozem?

Drżącą ręką Łucja podsunęła mu ławę.

— Czemużeś wiency jak bez rok nie pisała? — dowiadywał się i wciągał sobie na kolana dziecko, darząc je szorstkiemi uściśnieniami.

Odpowiedziała mu, że przecież pisać nie poradzi.

— A przódzi żeś napisała? Chto ci przódzi pisoł, to ni móg?

— Między obcemi nie śmiałam prosić.

Z wielkoduszną naiwnością uznał to za wystarczające i zrozumiałe.

— Takaś tu była samiuchna? — rzekł, wodząc za nią przejrzystemi, źbiczemi oczyma, i dodał wspaniałomyślnie.

— Zrazu mi było markotno, żeś ty tu. — Aleś ty dobrze zrobiła. Tu będzie lepij.

Sztywność powitania. wywołana przez zdumienie i przestrach zaczęła topnieć. Dziecko w objęciach ojca, przeciągało się raz po raz, przezwyciężając nieśmiałość.

Zaczęło nawet coś odpowiadać szeptem i skinieniami głowy, nie śmiąc wciąż podnieść oczu. Władysław puścił dziewczynkę, by wypatroszyć swój toboł.

Okazało się, że przywiózł Łucji chustkę z różowego jedwabiu, haftowaną w nieznane białe kwiaty.

Cichaczem zawdział jej tę piękną rzecz na ramiona, gdy nie widząc, stała przy kuchni nad garczkami.

Wejrzawszy w skrawek przejrzadełka, Łucja zobaczyła, jak ciężka materja spływa z niej, niby różana woda i jak nad tem iskrzą się jej szafirowe oczy.

Wdzięczność za strój wzbudziła w niej nagle gorący strumień chęci, który żłobił sobie błyskawiczne drogi przez odrętwienie zgrozy.

Znalazłszy w sobie jednakie czucia, spoili usta i przytulili się do siebie. W uścisku stopniały wszystkie grzechy. Szczera radość, poczucie zupełnej wierności i nieodpowiedzialne zapomnienie, — owładnęły rozżarzoną Łucją.

Słysząc, jak śmieli się do siebie — Zosia nabrała też śmiałości — a gdy Łucja wyrwała się do kipiących ziemniaków, dziecko zaczęło ojcu zwierzać się z tem i z owem, ze wszystkiem, co tu się działo. Odwoływana gorączkowo przez matkę, dziewczynka znów nadchodziła i dalej opowiadała. Jej szczebiot mieszał się z grubemi prostemi pytaniami ojca. Naturalnie powiedziała nakoniec, że mieli tu takiego małego Kacperka.

— Kogośta mieli? — zapytał Władysław strwożony.

— Kacperka — synka — i śród naiwnych uśmiechów Zosia pobiegła i pokazała, stukając trepkiem, gdzie stała kołyska tego chłopca.

Bardzo krótko trwała cisza, która teraz nastała, lecz dość długo, żeby przerazić małą. Zosia uderzyła nagle w dziki płacz.

Wtedy Władysław powstał i przyciągnął do siebie córkę. Usiadł z powrotem. Wziął krzyczące wniebogłosy dziecko między swe kolana i mówił prosząco:

— Nie płacz — Niee płacz. — Niee płacz.

I to trwało długo. Tak długo, aż głowa małej dziewczynki przestała się rzucać po jego piersi w strasz-

nych łkaniach. Wtedy ojciec zaczął się cały ze swą córeczką kołysać z boku na bok — i nucić:

— Ny ny, ny-y
— ny ny, ny-y
maluchne
dzieciątko.

Nucił coraz ciszej, aż zasnęło z twarzyczką lśniącą od łez, śród poczepianych na ubraniu ojca złocistych włosów.

Nowacki wziął na ręce swe dziecko i położył je na łóżku.

Rozejrzał się. Tylko na moment podniósł oczy na Łucję. — Ściągnął z niej różową chustkę. Przedarł ów jedwab na pół. I przedarł go na cztery części. I przedarł go na osiem. Rzucił te kawałki i zeszargał je nogami po ziemi.

— Tak tyś stretowała moje serce — rzekł, chrapiąc.

Nałożył z powrotem wszystko w czem był przyszedł i, myląc się ruszył, najpierw do drzwi kurnika — skąd rozległo się trwożne gdakanie.

Mruknął: cholera — trafił na właściwe drzwi i wyszedł.

Od wszystkiego tego Łucja zajęła się nagle jak od straszliwego pożaru. Zrozpaczona, pokonana, wzbudziła w sobie szaloną miłość, wspartą o strach, lecz tem silniejszą, dociągnięta do wyżyn, na jakich nigdy nie bywała.

Nic nie biorąc na siebie, skoczyła w ciemną noc, w ciężki łomot wiatru pod czarnemi chmurami.

Biegła, zgubiwszy trepy z nóg, cierpkich od

mrozu i zapadała w śnieg, który ranił ją po pas dotknięciami gryzącego zimna.

Lecz biegła wciąż, krzycząc: Władziu! i krzycząc: Władziu! i krzycząc: Władziu!

Nakoniec chwyciła go za rękę. W milczeniu wyrwał ją i kroczył dalej.

Chwyciła go za drugą, lecz wyrwał ją także.

Było tam śród ciemności, wichru i śniegu takie mgnienie, że Łucja zwątpiła. Któryś jej krok stąpnał mniej rączo, zachwiała się.

Lecz pchnięta niezwalczoną nadzieją, wytężyła ostatek sił, zabiegła mu drogę i upadła mu do nóg w milczeniu.

Temu strasznemu wysiłkowi miłosnego cierpienia nikt się nie oprze. Można dużo rzeczy brać za miłość, lecz gdy ona przychodzi naprawdę chociaż na chwilę — nikt nigdy się nie omyli.

Władysław podniósł Łucję, i trzymając ją w dyszących objęciach mówił tylko: Coś ty narobiła — Coś ty narobiła.

Tak jest. Darował jej zupełnie, lecz, gdy się znaleźli w ciemnej sionce przy mieszkaniu, stracił przytomność. Łucja poczuła jego pięść pod brodą i usta jej się skrwawiły. Pamiętał jednak o dziecku i głusząc hałas, zaciągnął ją po schodkach na zimną czarną górę. Tam zaszamotali się w strasznej bójce — aż znów upadła mu do nóg i ulegli swym dzikim chęciom, silniejszym niż cierpienie.

Lecz gdy nazajutrz wstali, okazało się, że żyć ze sobą nie mogą.

Mleczarz Doniży, zajrzawszy do nich zrana, od-

szedł niezauważony — i powiedział innym, żeby tam nie chodzili, ale że trzeba dać baczenie, gdyż tam jest piekło. — Zosia, płacząc, siedziała w dworskiej kuchni.

Oni zaś kłócili się całe godziny. Wspaniałomyślna miłość, jaka ich ogarnęła wczorajszego wieczora, nie starczyła na dzień. Wyszargali ją w obelżywych słowach.

W końcu domówili się znów do nieprawego dziecka. Władysłał wypominał jej swą wierność i swoją krzywdę — a Łucja rzekła:

— Mnie było gorzej. Mnie dziecko umarło. — Wtedy musieli się rozejść. Umarły Kacperek stanął pomiędzy nimi i osądził.

Władysław Nowacki, będąc już w drodze, stał jakiś czas daleko za wsią w szarudze roztopów i ściskał pień wierzby. I pytał:

— Żeliby ludzi podpaliła, żeliby zarznęła kogo, czyby jej darował? Tak — darowałby jej, a nawet na katorgę by z nią poszedł

Lecz tego, że z nim obłudnie żyła, że z drugim noce trawiła. — Nie. — Każdy wie, jak to jest, bo każdy może to zrobić. Każdy zna ten grzech, jak żaden inny i sobie go nie da wyrządzić.

Straszne było iść znów samemu w czarne topniejące śniegi i na ten wiatr, który bez wytchnienia podnosił gałęzie wierzby, podnosił je znowu, i podnosił je znowu.

Lecz Władysław był na wojnie i jest do złego przyzwyczajony. Tedy poszedł.

* *

*

Już teraz Łucja nie mówiła, że świat się nad nią skończył, że nie ma więcej życia.

Gdyż ono było.

Gdyż były dnie, w których świeciło słońce, lub chmury pędziły po niebie, i były noce, w których ciężki sen zlepiał powieki.

Była wiosna jasno-zielona, i było lato ciemno-ogniste.

A przychodzi na człowieka czas, gdy nie pozostaje mu nic więcej, i czas ten przychodzi sprawiedliwie.

Przez lato Łucja milczy, ale robi swoje, służy dobrze jak nigdy i zamiary, żeby ją odprawić, upadają powoli.

Uśmiech błąka się równie często jak pierwej na twarzy Łucji, lecz uśmiech ten jest bolesny. Twarz jej zmieniła się także, a nos wyciągnął się jeszcze bardziej. Barki się pochyliły. Oczy zblakły.

Dobrzy ludzie donieśli jej, że Władysław jest w Hamburgu, i że się tam zeszedł z jedną Niemką. Tak się odmienia kolej rzeczy.

Mimo to, mówiono, że Łucja coś knuje. Że jakoby zamierza puścić się w podróż — jechać do męża.

Na jesieni zapytano ją o to ze dworu.

— Ano może odeńde i pojadę.

— A gęsi? — zaniepokoiła się pani — Przecież gęsi nie podskubane. Nie wymawialiście na święty Michał, a ja tu przecież na wasze miejsce nikogo z rękawa nie wytrząsnę.

Gęsi rzeczywiście trzeba było skubać, bo już gubiły piórka na zroszonych i zapajęczonych ugorach.

Oczekiwano też na przybycie handlarzy gęsi z ich wielkiemi hakami. Jesień rozpraszała już wszystko, a liście ociekały zewsząd w złotym nieładzie.

Po paru dniach szarugi, powabna zieleń zesunęła się w kolorowych strzępach na ziemię i w strzępach tych brodziły drzewa — pełne rozczapierzonych gałęzi, pozaginanych jak sękate pazury.

Wieś stała naga i odkryta — po wilgotnym szafirze nieba snuły się chmury różowe, i popielate, powiewne jak dym.

W przejrzałym ogrodzie dzwonił przenikliwie jesienny ptaszek, i głos jego brzmiał ostro w tym braku cienia, pełnym złamanych badyli i upadłych twarzą na ziemię słoneczników.

Śród pustki, z najdalszej łąki słychać było głos gęsi, wołający uparcie:

Geg! Geg! Gege! Gege!

Bieliły się olbrzymiem stadem, jak żagiel w rudej toni na płasko rozpostarty.

Zapędzono je do kurnika i na podwórku między chróstem, a kupą gnoju, śród bladych godzin krótkiego dnia, skubano je.

Gęsi usiłowały wywinąć z pomiędzy kolan swe giętkie łby. Gdy im się to udało, obróciwszy w tył szyję, patrzyły na swe rozłożyste piersi, po których latały czerwone ręce. Lecz mimo bólu i strachu, czarne oczy i marchwiane dzioby nie straciły ani chwilę wyrazu śmiesznego zadowolenia.

Nie wszystkie dziewczyny umiały dobrze skubać, niektóre powyrywały gęsiom lotki.

Biedne stado chodziło teraz w opłakanym stanie.

Piersi ptaków były potarmoszone do gołej skóry, do krwi nawet — i wiele z nich nie mogło utrzymać swych skrzydeł. Z niezmąconą pogodą podciągały je sobie na grzbiety, a skrzydła obsuwały się znowu.

Łucji było żal na to patrzeć.

— Jakby mnie chto wzion i pazury powyrywoł, — mówiła do pani.

— Ona jest dobra, opowiadała o tem pani we dworze. — Takie kobiety są zawsze dobre — dodawała nieco pochopnie.

Łucja nie lubiła teraz siedzieć u siebie w domu — gdzie Kacperek umarł, gdzie tak straszne rzeczy się porobiły.

Była rada, kiedy ją pani wzięła na wieczory do darcia pierza. Zabierała ze sobą Zosię — brała dla niej gałganki, patyczki — żeby dziecko miało się czem w kącie bawić, i szła do dworu. Siadały w długiej stancji przy stole, na którym pieniła się puszysta góra pierza.

Było ich sześć. — Z wyjątkiem Łucji wszystko podeszłe w latach dwórki. Nażyły się, nasłuchały, napatrzyły — i gadały o wszystkich sprawach pogodnie i bez osłonek. Życie było już dla nich jak ogród w listopadzie, gołe, i była w niem ta sama ostateczna piękność. Wiedziały, co dzieje się pod każdym dachem wsi we dnie i w nocy, a pobłażliwe i wyrozumiałe na wszystko, uważały, że nieco pokuty każdemu zrobi dobrze.

Nawodziły myśl Łucji na rzeczy ciche i pobożne.

Śpiewały koło niej odwieczną pieśń adwentową

i usiłując nadać melodję swym bezdźwięcznym głosom, wołały:

— Błąkał się człowiek śród okropnej nocy,
wołał i nikt go nie wspomógł w niemocy.

A gdy mrok czynił godzinę coraz to cięższą — dołączał się strwożony głos Łucji. — I głos ten brzmiał śród starych jak dzwon pośród kołatek.

Białe gwiazdy zaczynały migotać za oknem po wiekuistem niebie. Przynoszono lampę.

Śpiew się łamał — wdzierały się w niego rozmowy.

Oto Wypyszka miała list z Prus, od syna. — Pisał, że pracuje w porcie w Hamburgu. Dalej, — że namawia siostry, by tam jechały do niego.

— W taki tam świat jechać...

— A daleko tyż do ty Hamburgi — spytała, wstrzymując oddech Łucja.

— Jak Olek jechoł, to jechoł coś ze dwa dni.

— O matko — A jo myślała, że to trza jechać z dni dziesięć! — wykrzyknęła Łucja.

— Ady to nie tak daleko! Nie tak daleko — zaszeptała z radością i ze łzami.

SZKLANE KONIE

Nad wieczorem, jak zwykle, przyszedł ktoś do kuchni dworskiej, mówiąc:

— Paterka znów się upiół.

Doszło to zaraz do pokojów i pani rzuciła z gniewem szydełkową robotę na stół. Kłębek spadł miękko i elastycznie, a szary kot podbił nitkę łapami i ściągnął wszystko na ziemię.

— Weź no tego kota i podnieś robotę. Ah, żeby ten Paterka tak nie pił — wzdychała pani, łamiąc ręce i przeciągając się ze znużonej rozpaczy.

— Pije, a pije — mówiła Julka. — Zwijana bawełna wydawała pomiędzy jej palcami lekki szept.

— No to co? — spytał pan i nadchodził ze swego pokoju, ciężko i powoli, najpierw jedną nogą, a potem nie można było się doczekać, żeby postawił drugą.

— Czy się kiedy upije, jak ma jechać? On u mnie jest zawsze trzeźwy.

Zapadło milczenie pełne niemiłej treści. Zdawało się, że obrażono pana.

— Tam ktoś stoi pod oknem u wielmożnego pana — podjęła Julka.

W istocie w oknie, które było widać przez pokoje, ciemniała postać, zaglądając to w jedną szybę, to w drugą. Pan odszedł bardziej rączo.

— Co tam? — zapytał i otworzył lufcik, niecąc echa między podwójnemi szybami.

— Z Paterkom się coś zrobiło — wszedł do pokojów gruby, obrzmiały głos razem ze srebrnym chłodem nadbiegającej nocy.

— Wiedziałam, że tak się skończy! — krzyknęła pani.

— Ci ludzie nie mają litości nad sobą.

Stało się to już z godzinę temu, lub może ze dwie. Jeszcze jak było jasno.

Stangret Ignacy Paterka szedł pijany ze sklepu Chojnackiego do stajni.

Szukał nogami ziemi, to po bokach, to ku górze, a znalazłszy ją nagle nie tam, gdzie się spodziewał, potykał się, i tupiąc, biegł parę kroków, jakby wyskoczył z pędzącego woza. To znów stąpał chyżo wpoprzek drogi, lub kiwał się nad rowem — jak człowiek zasypiający.

Tak minął wszystkie czworaki — czyniąc osobliwe starania, ażeby przejść prosto koło swojego domu.

Gdy zbliżał się do kuźni, ręce jego zaczęły niezwyczajnie rozgarniać powietrze.

Wtedy Paterczyna wybiegła z domu, gdyż widziała go. Gdyż widziała go zawsze, jak szedł. Gdyż czuwała i poznała, że mu się coś stało.

Nieprzytomny Paterka zdawał się wiedzieć, że te ramiona rozerwą się nad nim w złej godzinie, gdyż zwalił się w nie odrazu, mówiąc:

— Kajśta działi moje uoczy?!

Paterczyna ugięła się i wyprostowała pod ciężarem.

— Ignac! Ignac! Coś ty sobie zrobił! — zawołała. I zawołała to po raz drugi — i wtedy ludzie usłyszeli.

Zrobił sobie to, że nagle oślepł. Gdy go kładli do łóżka, rzekł też jeszcze:

— Zimno mi — a potem gorączkowo zasnął.

— Żeby może ten ksiądz z Tykadłowa mu co poradził — westchnęli ludzie.

Inni byli przeciwni księdzu.

— On sam już latoś na ostatnich nogach — mówili.

Zresztą ze dworu posłano już po doktora do Stawiszyna. Okazało się, że Paterka ma nerki chore z przepicia, a oczy z nerek.

Oburzenie ludzi nie miało granic. Gdzie nerki — a gdzie oczy? — Doktór — mówili szyderczo.

Dwór wysłał Paterkę do okulisty. Wrócił stamtąd, widząc potrosze — ale pełen wzgardy.

— Tam coś takiego robiom z człowiekiem — opowiadał.—Poprzecinajom, poprzecinajom coś w uoku, a jak człowiek kichnie, abo co, tu mu uoko samo wyskoczy. Jednemu jak kichnoł, to aby tak plusło bez sale, jak ryba.

Wieść ta opowiedziana została wszystkim po kolei, a potem dotarła do dworu, budząc tam tysiąc wątpliwości, a także strach — zwłaszcza wśród dzieci.

Paterka przez przez parę dni łaził po stajni, macając rękami, niedowidząc i złoszcząc się. Uparł się,

że pojedzie z państwem — lecz, zajeżdżając przede dwór, chciał wjechać w zamkniętą bramę. Wtedy rzucił lejce, zostawił tak wszystko na drodze, klnąc, poszedł do domu, i położył się do łóżka.

— Ady ogień od ciebie idzie — wystraszyła się żona.

Przychodzili go nawiedzać. Wszyscy a wszyscy. Codzień przychodziła córka Nastka, wydana za Adama Grabowskiego. Także i ze dworu przychodzono. Przysyłano mu różne rzeczy do jedzenia.

Ludzie pytali się wzajem:

— Byliśta u Paterki? Leży, jak jaki król.

Mówili to przyjaźnie, ale kwaśno.

Przy łóżku chorego była ta sama cisza, jaka bywała zawsze około jego grzechu.

Paterczyna była już starsza kobieta — i u nich w domu było tak, jak powinno być w domu — a tysiąc razy lepiej niżby mogło być przy takiem piciu. Czyściutko, uprzątnięte — wszystkiego mało, ale wszystko na porę. Paterczyna nie wyzywała męża — nigdzie nie obnosiła swej klęski.

Lubiła słuchać, gdy mówiono, że ma dobrego syna, który nie pije — biednego ojca szanuje.

— Chto, jak chto — ale już aby moje dzieci pić nie bydom — chwaliła się wtedy i skromna trzeźwość młodego Pietrka jaśniała w jej sercu jak skarb niepodejrzany.

To wszystko właśnie ludzi jątrzyło. Żeby tam było piekło i jawna zgroza, wystarczyłoby na to zwyczajne potępienie uczciwego sumienia. Ale tak — czaiło się w tem coś zdrożnego. Wszeteczne rozprę-

żenie żyło tu pod opieką ładu, pokoju, wyrozumiałości. Zezwalano tu na cudzy grzech. I jeszcze się chełpiono, jak Bóg wie czem — że nie wszyscy w rodzinie piją. Kto to pojmie?

Gadano ciągle o tej rzeczy, — aż naraz odwróciły się serca i zaczęto ciężko wzdychać.

Gdyż Paterka czekał cierpliwie, aż przejdą mu nieznane, a zażarte bóle. Zaś nakoniec odział się cały w sine plamy i, płacząc rzewnemi łzami z bólu i z żalu za życiem — umarł.

Kto teraz będzie stangretem?

— A kaci mi do tego? — mówił każdy, lecz wszyscy mieli tę rzecz na myśli.

Praca strangreta nie była w uważaniu.

Inni ludzie przez nieporozumienie losów schylali się nie nad swojem polem, lecz jednak schylali się nad polem, sprawiając, że wszystko na niem rosło i dojrzewało. I rosło także i dla nich, i ostatecznie naród miał z tego co jeść. Lecz, żeby siedzieć na koźle, z batem w tulejce koło nogi — żeby psykać na spaśne, nierobiące konie — to było śmiechu warte.

Mimo to, gdy takie miejsce jest wolne, niepokój udziela się wszystkim. Zawsze ma to swój urok, że się człowiek nie spracuje, chodzi wystrojony — więcej świata zobaczy.

Wiadomo też było, że włódarz, stangret i może jeszcze polowy — ci jedni mogą czasem do czego swojego dojść.

Że Paterka, co mu w ręce weszło, topił w gorzałce, to przecież nikt inny by tak nie robił. I, odrzekając się głośno, po cichu wszyscy liczyli możliwości.

Najwięcej nadziei mógł mieć Ludwik Unisławski. Najpierw on właśnie zastępował teraz Paterkę, a potem — dwór kochał się w Unisławskich. Niema co mówić — piękni ludzie, nawet ten garbaty Doniży.

Tymczasem — ani Unisławski — ani nikt. Zupełnie ktoś inny.

Każdego dnia spodziewano się, że pan furmana wyznaczy.

— Dziś ta chyba powi — rzekli raz włódarze, wkraczając do dworu na dyspozycję.

W oknie, na którem leżały garstki zboża, widać było jeszcze nieco dnia.

Lecz kąty pokoju znikały pod grubym cieniem, który połykał meble. Pokój był jeszcze sam sobą, tylko na środku w małym kręgu resztek jasności.

Włódarzy też powoli wchłaniał zmrok. Z początku widać było wszystkich — potem zniknęli Kucza i Posiłek i z cienia wyglądał tylko pisarz.

Kożuchy ocierały się sztywno jeden o drugi. Niekiedy stuknęła laska. Suwali butami, przekładając ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Czasem któryś z nich kaszlał ciężko, jak koń.

Stary pan siedział, milcząc, i rozważał plan roboty, a pola za polami toczyły mu się w oczach. Nie umiał tego planu zrobić przedtem. Musiał do tego słyszeć, jak za nim w kącie koło szafy stoją, pokasłując, włódarze.

Nareszcie stary pan rzekł:

— Nie pada?

Postąpili nieco naprzód:

— Chmurzy się — odrzekli.

— Trzech pojedzie włóczyć.

— Trzech nie skuńczom.

— A czterech skończy?

— Prendzyj cztyrech.

— Dużo tam zostało?

— Bydzie z półtory.

— Unisławskiego jutro wziąć do buraków. Trza kończyć z burakami i brać się do młocki. Jak pięciu dwa razy obróci, to te buraki zwiozą.

— Unisławskiego? — spytali, wyciągając szyje.

— Unisławskiego.

— To trzech ma włóczyć?

— No trzech. Kto był wczoraj z burakami na kantorce przy wadze?

— Ja, — rzekł pisarz.

— Niech pan jutro zostanie — niech stelmach jedzie z nimi. Wyjadą o czwartej.

— I niech pan mi przyszle tu Pietrka Paterkę na południe.

Cisza.

Z głębi domu ktoś nadchodził. Wniesiono lampę i głosy rozległy się donioślej.

— On sobie przy koniach dobrze radzi?

Z nieokreślonych stęknięć zdawało się wynikać ostrożne potakiwanie włódarzy.

— I tak wogóle — trzeźwy?

Włódarze brnęli dalej z większą pewnością — zadając sobie półgłosem pytania.

— Ma się rozumieć — zdecydowali wkońcu.

— Na weselu Wikty Graboszczonki, to go widzieli, że się napił z kieliszek — podjęli za chwilę. — Ale na weselu, to ta na weselu — to ta tego...

— To ta na weselu — zakończyli tryumfująco.

Wrócono do ważniejszych rzeczy.

Gdy nakoniec mówili: Dobranoc — stary pan rzekł:

— Zaraz — i zaczął długo kaszlać. — Wreszcie rozkazał, kaszląc ciągle:

— Więc pan mi przyśle Pietrka Paterkę, a Unisławski niech jedzie z burakami.

Tak więc tego dnia wiedzieli wszyscy, że na stangreta wyznaczy pan Pietrka Paterkę.

Tego się nikt a nikt nie spodziewał. Pietrek miał osiemnaście lat, a wyglądał na mniej. Dotąd chodził z rebiatą — czasem robił za ojca, jak się ojciec upił. Myśleli, że mu pan da fabrykę, że się nauczy za fornala. — Ale stangret?

— Widzieliście wy, ludzie?

Lecz byli tacy, którzy udawali, że się nie dziwią.

— Gdzieby on ta był bez Paterki? — mówili o starym panu. — Ady toć u niego zawdy było tylko: Paterka — Paterka — Paterka. — No to mo. Jeden umar — drugi nastoł.

Przypomniawszy to sobie, ludzie się uspokoili.

Pietrek był dosyć zgrabny, szczupły, trochę na twarzy zbyt okrągły, podobny do dziecka. Oczy miał mocno niebieskie — ładne — tylko takie śpiące.

Gdy się uśmiechał, patrzył w przestrzeń i ściskał szczęki, co mu nadawało pozór drwiącej skrytości.

Na koźle siedział jak chłopczyk, powoził ostrożnie z wyrazem skupionego przestrachu na młodocianem obliczu.

Nikt nie wie napewno, czy tak było lecz wy-

glądało tak, jakby swą nową godność uważał za zniewagę.

Prawdopodobnie myślał o stangretach to, co wszyscy, lecz uległ pokusie, i nie śmiał się wymówić.

Lub też należał do ludzi, którzy każdą rzecz przyjmują z niezadowoleniem, jako niewłaściwą dla siebie. Dlaczego? Może przez to, że im ze wszystkiem niezgrabnie? Pietrkowi naprzykład nie było zgrabnie z furmaństwem.

Nie umiał dobrze — lecz nie można powiedzieć, że tak samo nie umiałby czego innego.

Zresztą nieprzychylne usposobienie Pietrka przejawiało się w sposób dla każdego niezbity, a mimo to nieuchwytny. — Nie dało się nawet o tem nic mówić.

Wszystkie swoje czynności spełniał potulnie. W stajni przebywał nie zamało — żadnych złych skłonności nie objawiał.

Stajnia była nieduża i schludna. Nie taka zgnojona, jak fornalska: miała czystą słomę pod końmi, a przez całą długość (długa i wąska) wyłożona była płytami z kamienia.

Panowało w niej ruchliwe milczenie — jak zwykle w stajni.

Koni było pięć. W głębi, zawsze napół pociemku stał duży belgijski ogier, używany głównie do rozpłodu — wiecznie krytykowany. Mieli mu dokupić taką samą klacz do wyjazdu na złe drogi. Zachowywał się cicho i ciężko. Niekiedy zahałasował swym łańcuchem i zatupał gniewnie. Koło niego poprzedzielane drągami, uwiązane były kasztany do wyjazdu.

Smagały się nerwowo krótkiemi ogonami po zadach koloru pięknej miedzi. Cięły owies jak sukno i wydmuchiwały, parskając, plewy. Pieściły się łbami. Czasem wznosiły się i przestępowały drąg — bliskie połamania nóg. Często rżały krótko, warcząco, grubo, z głębi siebie. Koło nich niemłoda już wierzchówka, szronka, chrupała obrok uważnie, mądra i szlachetna. I skromna przytem. Kasztanka gryzła ją niekiedy ukradkiem w uszy. Potem była pusta przegroda, a niedaleko drzwi ziewał ciągle skarogniady wałach, wierzchowiec starego pana. Czasem kaszlał

Mały źrebak w zagrodzie podbiegał, gdy się wchodziło, i stawał nagle pełny zmieszanej figlarnej zalotności.

Nad wieczorem, albo wogóle gdy przyjechali, Pietrek poił konie, a podkowy kołatały po bruku, jak przerywana palba.

Uskromiwszy się z robotą, siadał na skrzynce z obrokiem i patrzył.

Raz, kiedy tak siedział, było mu smutno.

Śnieg, jak nie padał, tak nie padał. Zimny kurz prószył w oczy. Świat za otwartemi drzwiami był cały jak ze zmarzłego popiołu. Drzewa i budynki płowe, ściśnięte z zimna. Między stodołami ciemniała chmura nad pasem rudej przykrej zorzy.

Na wysokich topolach okólnika, w gałęziach cienkich, jak włos, kwiliły ptaki szczyrki, obsiadłszy te gałęzie, niby ruchliwe, czarne liście.

Kamienie w stajni zgrzytały od końskich stąpań na miejscu, i z tym odgłosem w uchu Pietrek zdrzemnął się trochę. Przyśniło mu się, że mu kazali prze-

pędzać wszystkie cugowe konie przez dwór, tak, żeby przez jedno okno wskakiwały, a przez drugie wyskakiwały. Czynił to z niesmakiem, ze wstydem, ze wzrastającą w sercu nienawiścią, wobec wszystkich patrzących państwa, wobec ludzi, którzy się zeszli.

Wtem zerwał się, słysząc, że go ktoś woła.

— Stoj — krzyknął nieprzytomnie.

Drzwi były zawalone ogromną postacią pana.

— Dlaczego śpisz? pytał stary pan podejrzliwie.

Pietrek otarł ręką twarz, zdumiony. Była mokra. Widać płakał przez sen.

— Pojedziemy jutro — rzekł pan. — Założysz do karety.

I tak było wciąż: Pojedziemy — przyjedziemy. Podsypiemy obrok. Wyszorujemy powóz. Uśniemy. Pojedziemy. Czekamy. Zajedziemy. Czekamy. Nie było to źle — tylko zadużo tego czekania. Zadużo tych miejsc na świecie, które służą tylko do czekania i do drzemania.

Tym razem, tak jak zawsze, ustawili konie w hotelu Victoria. — Pietrek dostał strawne i poszedł co zjeść.

Spadł nakoniec ów pierwszy śnieg, lecz był niezdarny — i zaraz tajał, stukając po rynnach, plaszcząc kroplami w bruk między przeźroczyste, topniejące grudki. Złośliwe zimno. Po daszkach z papy, na żółtych i szarych ścianach, we wnękach czerwonego kościoła, rozwłóczył się ten śnieg, jak białe liszaje.

Całe miasto zrobiło się bure od wczesnego zmierzchu. U Bernardynów dzwonili na nieszpory. W sklepach zapalano światła i żółte okna wyskaki-

wały z mroków. Po placu koło cerkwi kołatał chłopski wóz, a w rynku klaskały konie, i dorożki sypały się jak groch.

Pietrek usiadł w małym szynku Grzegorzewskiego i jadł skromnie bułkę mularkę z salcesonem. Nikogo nie było tutaj. Za oknem dźwięczały kroki, nadciągając z obydwu stron.

Tym razem bułkę tę popił kieliszkiem wódki. Uważał, że na zimno dobrze mu zrobi mały jeden. I dobrze też mały drugi. I dobrze też mały trzeci. Kieliszki tu mieli okropnie małe.

Gdy wyszedł z restauracji — myśli jego były ciepłe — a serce jego było raźne.

Przystawał, patrząc na sklepy. W jednem okieneczku ułożono same rzeczy na gwiazdkę i na drzewko,

Srebrne strugi, złote strzępy, jasne wstążki płynęły z góry na dół.

I kulki na sznureczkach w jakie tylko kolory.

I szkliste banie, ćmiące jasnością oczy. Potem jeszcze gwiazdy ze srebrnych włosów.

Pietrek wrócił zachwycony, widząc ciągle to świąteczne okno. Wcale mu się już nie przykrzyło.

Państwo byli w hotelu i zaraz kazali zakładać.

Patrząc, jak się Pietrek krzątał — stary pan spytał:

— Co ty tak utykasz? — Noga cię boli? — i bacznie czekał na odpowiedź.

Pietrek powiedział zdziwiony:

— Nie boli.

Jechał rączo i sprawnie — może lepiej niż zawsze.

Lecz na szosie koło Kokanina nagle stanął:

Okno karety spadło tak natychmiast, jakby na to czekano.

— A co?

— Nic — kasztanka mi lice przestąpiła — odparł, schodząc.

Po chwili plecy Pietrka znów zasłoniły przednie okno. Sadowił się długo, aż kareta ruszała się, skrzypiąc.

Nakoniec usłyszeli mętnie przez szkło, jak rzekł:

— Wiśta — i potoczyli się dalej.

Zdarzało się teraz niekiedy, że na drugi dzień po przyjeździe z miasta pani przychodziła cichaczem do pokoju pana, i zanim dzieci się za nią wdarły, zapytywała:

— Czy on aby wczoraj był trzeźwy? Bo nie mówię — ale zdaje mi się, że on jednakże trochę pije.

Pan zdejmował binokle i kładł je na gazecie.

— Jak ja sam jadę — to on u mnie pić nie będzie, — mówił uparcie. Ale jak wy jedziecie, to zadługo siedzicie w mieście — i chłopaczysku się przykrzy.

Lecz raz sam pan dowiedział się o czemś, od czego pociemniał na twarzy — i czego nikomu nie powiedział. Zawezwał pokątnie Paterczynę.

Wchodziła niezmiernie długo, wracając kilkakrotnie do drzwi, gdyż wydawały się jej źle domknięte.

— Musicie wiedzieć, że się Pietrek po nocy włóczy. Że się wczoraj u Chojnackiego upił?

Nie — nie wiedziała. Lub też nie wierzyła.

— U Chojnackiego?

— No tak!

Nic nie może powiedzieć, gdyż wie tylko, że poszedł spać do stajni. Była zaskoczona.

— Że tyż nikumu, a nikumu wierzyć ni możno — Ani rodzonemu synu. – Czy jo sie to spodziewała? — rzekła pełna zgrozy, ale i niedowierzająca. —

I dodała, że Pietrek jest świnia, jeśli tak uczynił — że jest podlec. Wyglądała całkiem oszołomiona — lecz zdawało się, że wymyśla nie Pietrkowi. — Ośmieliła się nawet powiedzieć, że może go drudzy namówili. Pan zdawał się przychylać do tego mniemania.

Wieczorem spytała Pietrka, czy to prawda — że się tak upił.

— Ady jo już nie taki ostatni — rzekł wyniośle. Może ta ze dwa kieliszki, żem wypiół.

Z odbudowaną natychmiast w sercu radością krzyknęła, spotkawszy pana.

— Jakie tyż to te ludzie. Jak to tyż wrom na drugiegu. Ady, może ze dwa kieliszkl wypiół u tego Chojnackiego. Przecie zima — to sie może chciał ozgrzać.

Zima narazie coprawda nie była mroźna, nie było jej wogóle długo w tym roku. Dopiero gdy koło Bożego Narodzenia zaczął sypać bystry śnieg — sypał sześć dni. Od tego czasu mrozy zaczęły trzymać należycie i trzymały aż do ostatków. Paterczyna spoglądała na złowrogą białość, usypaną pod samo okno i jak każdy, kto nie ma na co czekać — czekała na wiosnę. I liczyła niedziele:

— Jedna niedziela Druga niedziela. Trzecia niedziela. Czwarta niedziela. Do postu dwie. Do Wielkiejnocy osiem.

O zapustach myślała z przestrachem, jak o przepaści, którą trzeba przeskoczyć — a o Wielkim Poście myślała z nadzieją.

— Nie bydom już tak na to granie lotać. A potem — wiosna — może się co odmieni.

W zapustny wtorek, gdy chłopcy szli do Chojnackiego, ujrzeli, że na zachodzie kłębią się obwisłe chmury, od których pachnie wilgocią — i wróżyli sobie, co z nich wyleci: śnieg, czy wiosna.

Mrozek był, ale nieduży. Śniegi, dawno spadłe, powycierane, porozpraszane przez wiatr, nieszczelnie okrywały ziemię.

W sklepie u Chojnackiego (w dużej stancji) pili już ci, którzy przyszli wcześniej ustroić podkoziołka. Nawieszali sobie papierków na szyje, pookręcali niemi ręce.

Na wywróconej beczce i na kwiaciatym talerzu stał gotowy ustrojony z patyków młodzian. Z rozczapierzonych niby to rąk spływały cięte papierki w różne kolory — na kapeluszu miała ta kukła pazłótka i takie wyrobione kwiatki.

Oglądano go, kpiąc, ale wesoło było patrzeć.

— Świci się kole niego, świci — mówili chłopcy, i, zatoczywszy kieliszkami przyjazny krąg, pili z głową wtył odchyloną, jakby sobie mak w usta sypali.

Nowi goście wchodzili, gubiąc po drodze śnieg z butów — a za każdem trzaśnięciem drzwi, mętne świńskie pęcherze podskakiwały na ścianie. Stojąc przy ladzie, pijacy trącali wiszące nad nią wieprzowe przeroby. Brunatne kiełbasy z centkami tłuszczu za pomarszczoną skórką, kaszanki w szarozielonym grubym

flaku i płaskie salcesony ruszały się, bijąc w nozdrza słonym i krwistym zapachem.

Pietrek nigdy nie pił dużo na początku zabawy. Bał się, że się w tańcu zmyli — albo że się z niego naśmieją. Pił potem — na odchodnem. Gdyż każda rzecz ma swój próg, który trzeba przekroczyć. Lecz gdy na beczce stoi drewniany młodzian, wiewajac od przeciągu złotemi papierkami — wszystkie drzwi zdają się być otwarte na przestrzał i niema nigdzie progu. Więc sobie dzisiaj pił od początku.

Dziewczyn było jeszcze niewiele. Kłóciły się o picie zapalczywym szeptem. Ktoś krzyknął:

— Grocze! Co wy! Drewniane pazury mota, że nie grota? —

Gracze zadeptali ogarki, przepchali się się przez tłok i pooglądali swe instrumenty.

Wtedy właśnie drzwi hukneły i przyszło naraz dużo dziewczyn — zdyszanych i zaśnieżonych.

— O rety — Jak tyż wieje —

— Śnieg? —

— Śnieg — ale ci taki mokry? —

— Dali — dali! Dali — dali! Dali — dali, naglili, porywając, je chłopacy.

Bęben długo szperał rózgą po skórze i pałeczką wbębniał się w takt, aż uchwycił go i rozległ się porywczem tętnem. Skrzypce, basy i klarnet odrazu wybrały melodję i zadźwięczały odwieczną pieśnią wykupu.

Oj, trzeba dać podkoziołka, trzeba dać,
boś ty mogła całki roczek ubadać.

Ciągnąc za ręce dziewczyny, parobcy dreptali

wstecz z głowami schylonemi jak byczki, wierzgając w przedwstępnych skokach. I odrzucali każdą od siebie w ramiona Szczepana Posiłka, który prowadził je, tupiąc, pod koziołka.

Małe srebrne pieniążki wykupu sypały się na kwiaciaty talerz z rąk dziewczyn.

— Oj da jeszcze! Oj da jeszcze! wrzeszczeli gra cze, podskakując.

I tancerz przytrzymywał dziewkę, i przytrzymywał ją mocniej i dreptał przed talerzem tak długo, i przymawiał jej tak słono — że się nie wydała — i że jak się należycie nie wykupi, mieć będzie, na co zarobi — aż wreszcie rzucała znów pieniążek.

Pietrek zaśpiewał:

Zarobiłaś moja mała w jesini
mosz piniążki, mosz piniążki w kiesini

Wszystkim się podobało —

— Ci śpiewa — Żeby dzwon — Dali, Pietrek, dali —

Śmiechy zabrzmiały jak salwa.

— Do toneczka — Do toneczka — wołano, przeginając się tak i przeginając się owak.

Podłoga zaświstała, jak pod zębami piły.

Pieterek tańczył z Zuzią Kaczmarkówną. Taka była maluśka i młodziuśka, więc co nie miał być do niej śmiały. Rzekł jej, żeby się jeszcze wykupiła i jeszcze wykupiła. — Że dla niego mało się wykupiła — i że jak się nie poprawi, to zobaczy. — Lecz gdy chciała, to sam nie dawał, sam ją od talerza odwodził. Tedy śmiała się i mówiła, że uwidzi, co się stanie — i że gorzałkę od niego czuć.

— A tyś się nie napiła? — To się tyż napij maluśka.

Na mgnienie wstrzymali tańce i pili. — I znów pili. — Lecz pląsy były jeszcze szparkie, obroty rzeźwe, ostro przybijane na taktach tupaniem — zdecydowane, chyże, a krzepkie, jak cios kosy, jak rzut cepów, jak świst bata i nawrót pługa.

Lecz oto nareszcie i dom tańczyć zaczynał. — Okna przemieszczały się błyskawicznie, krążąc wokoło ścian — tupiąc i łamiąc się po ziemi. Lampa błyskała na ramionach tancerzy — drewniany młodzian uniósł się w powodzi papierowych smużek i krążył pod powałą.

Wtem wszyscy wyszli, oddalili się, znikli z przed oczu Pietrka. Tak jest — oddalili się. Gracze przestali grać. — Dom nawet odszedł. Ktoś trzymał Pietrka za kark, a strugi zimnej czarności płynęły mu przez twarz. Lecz dom się nawrócił i znów go otoczył czterema ścianami. Wszyscy przyszli, wymknęli się jakby z pod ziemi. — Muzyka się znów z głuchości wynurzyła.

Pietrek myślał, że tańczy, lecz nie tańczył tylko siedział na ławce, a Zuzia przy nim. Zuzia przy nim.

Zapytał:

— Co uoni? —

Gdyż muzykę znowu było słychać tak niewyraźnie, jakby ją kto drzwiami przyskrzynił.

Tylko basy dudlą: du — du — du.

Ktoś chciał śpiewać, ale nie umiał, tylko krzyczał:

— Tyś jes duda, on duda, obojeście dudowie — a wszyscy:

— Dudowie!

— Dudowie!

— Dudowie!

Tylko jeden podkrzykiwał grubym głosem w takt muzyki:

— Ha! Ha! Ha!

— Ha! Ha! Ha!

I znów naprzemian. To śpiew. To krzyk. To cisza. —

Owi leżeli na ziemi.

— Poco leżom? Żeby na złość — żeby tańcować gdzie nie było.

Pijani gracze kroczyli za pijanymi tancerzami, rzępoląc im do ucha — i plątali melodje.

Przy ladzie płakano prawie.

— Co tu? Napić się człowiekowi nie dajom.

Lecz dawali pić i Pietrek pił dalej. Uderzając się z drugim czoło o czoło mówili sobie, że ci taka pocieszycielka narodu ta wódka.

— Napij że sie, napij — poczujesz zaro, że żyjesz —

— O rety. — O jako tyż ognisto. — O jako tyż piekąco — wyły pojone dziewki i łkały ze śmiechu.

Pietrek dawał pić Zuzi, mówiąc, że go ta wódka huźda do samego nieba. Zuzia, olśniona i upita — w zgrozie i radosnem obłąkaniu pocałowała go w rękę.

— Idzie mi o cie, dziewczę — idzie mi o cię — jąkał Pietrek, a serce łoskotało mu w piersi ze szczęścia.

Znaleźli się z Zuzią w zimnej ciemności — niewiadomo było gdzie — lecz chłopcu tam było jasno — a dziewce tam było ciepło.

I oto w końcu we trzech — czy we czterech może ocknęli się na drodze. Sami chłopcy. Dziewuchy znikły. Niewiadomo kto je poodprowadzał.

Wyruszyli niepewnie, usiłując otrzeźwieć na powietrzu. Było już nade dniem. Rozpogodziło się i uciszyło. W nocy musiało się przemienić na deszcz — lecz i deszcz ustał. Śniegi znikły — wszędzie błocko.

Gdy mijali dwór, ściany jego wyprężyły się i wydźwignęły ponad ogród — wsparte na ostatnich gwiazdach. Z żaglem srebrnej chmury u szczytu dwór wyglądał jak biały okręt na bezładnym samotnym odmęcie.

Koło pańskiego ogrodu Pietrek przewrócił się.

— Wstawaj, draniu, wstawaj, — kopali go przyjaciele.

— Coś ty się kole dworu uwalił? — mówili.

— Co ty mówisz, że cie pon poniesie?

— Ocknij się — do roboty trza iść. Pon bydzie za cie robić? — szarpali go — a jeden z nich złapał się za drzewo i tąpał naokoło, rycząc:

— Pon? O panu to je tak — i zaśpiewał:

Owinie się w grochowiny —
Bydzie robić tak jak i my.

Pietrek wstał — lecz natychmiast przewrócił się po raz drugi. Wtedy ocknął się. Jakieś drzewo wyciągało na niego czarne szpony.

Przypomniał sobie, że jego matka musi na pańskie chodzić przez to, że on pije, i że nie mają posyłki.

— Trzeba o wszystkiem pomyśleć — rzekł, dźwignął się z kałuży — i pośpieszył do domu.

W miarę jak zbliżał się do tych ścian, pierzchały uroki nocy. Gorzej. Stawały się haniebnym grzechem, odziewały się w żałobę. Gdyż co na świecie jest urokiem, to w progu domu przemienia się w grzech i tak już jest na świecie — i każdy chce, żeby tak było. — Żeby się tak bać i truchleć u swego niskiego progu.

Stał więc i czuł w sobie dębny zapach jak w beczce. Chciał, żeby mu to przeszło, żeby matka nie poczuła. Wszedł nakoniec. Matka nachylała się już nad porannym ogniem cała różowa. Pewny, że idzie do niej, zabrnął pod okno, pod którem usiadł bezwładnie i usnął.

Włódarz przychodził po niego koło dziesiątej, gdyż państwo mieli jechać do kościoła na Popielec. Lecz nie dało się go obudzić. Pojechał Unisławski. Nad wieczorem pan przyszedł do stajni i zastał już Pietrka na zwykłem miejscu. Podszedł i uderzył go w twarz. Pietrek zatoczył się w milczeniu. Obaj strasznie milczeli. Obaj cierpieli.

Natychmiast potem Pietrek upił się na miejscu, w stajni, z ukrytej flaszki.

Pan zaś nie wrócił do dworu prosto przez podwórze — tylko łąką — przez rów aż pod Czajkowem — na drogę do Poklękowa — tą drogą koło wiatraka i dopiero przez ogród, koło kuchni — do siebie.

— Co tam tak pili u Chojnackiego? — spytał na wieczór włódarzy.

— Taaak — jak to w Ostatki — odparli z chytrą pobłażliwością.

Pani nie miała nic przeciw Pietrkowi — raczej lubiła go — lecz jednak ostrzegła pana tym razem.

— Nie można go brać do miasta — bo się przez to jeszcze więcej rozpija.

— On znowu tak nie pije — tylko, że ma słabą głowę. Strasznie ma słabą głowę — mówił pan i wzdychał.

— A wtedy, w ten wtorek — co się tak strasznie spił?

— To były Ostatki. To były przecież Ostatki! — wykrzyknął pan z radosną ulgą.

— Ale za każdym razem co pojedzie, to się upije.

— Nie za każdym — kłócił się pan niechętnie. I kazał zaprzęgać i znów jechał.

Czasem w mieście zapominał swoich interesów i wybiegał jak oparzony z Kredytowego Towarzystwa Ziemskiego, albo porzucał giełdę, mrowiącą się na Czynklówce (tak się nazywała jedna część rynku od sklepu Czynkla) — i biegł do hotelu Victoria. Zaufane Rosenbaumy i Boraksy odpadały po kolei od jego boków — szedł wkońcu sam, krętą uliczką, śpiesząc się i sapiąc, gdyż chciał na własne oczy widzieć, jak Pietrek będzie wracał.

W hotelowem podwórzu gdakała, piszcząc, pompa — stary portjer przenosił zwolna swą postać, to tu, to tam, łażąc po bramie i wyglądając, czy kto nie jedzie.

W głębi podwórza słychać było, jak stąpają i grzebią po bruku konie, jak chrypią stosy talerzy i zgrzytają widelce. Pan stał.

Nakoniec Pietrek ukazywał się, uchylał czapki i szedł do koni.

Stary pan patrzył, a jeśli powziął podejrzenie, mówił:

— Wróć no się.

I kazał mu przechodzić środkiem bramy. W bramie tej był wzdłuż przez środek położony taki bal, służący do zakrycia ścieku.

Pietrek przechodził sino-purpurowy na twarzy.

Jeżeli nie zawadził o bal — to pan kazał zaprzęgać. A jeżeli się potknął — pan krzyczał na niego i kazał mu pospać w stajni.

Raz, niepewny, czy się Pietrek potknął, czy nie, chwycił go za pierś i rzekł:

— Chuchnij.

Lecz nie. Wódki nie było czuć tym razem.

Uderzył go tylko zapach ciężki i słony, jaki noszą ze sobą ludzie, którzy mocno pracują — rzadko się przebierają — i też nie myją. Pietrek miał na sobie swoje stajenne rzęchy. Stary pan był stropiony.

— Coś ty tak do miasta pojechał? Czegoś się nie ubrał? —

Pietrek odparł, jąkając się:

— I tak... I tak. I tak człowieka gnój zeżre.

— To nie pij! Nie pij!

Stary pan puścił go i odszedł. Nagle wrócił się.

— Co takiego? — krzyknął. Gnój cię zeżre? — i pchnął go.

Niekiedy Pietrek starał się oszukać czujność pana. Załatwiał się szybko z piciem i przychodził do hotelu jak mógł najwcześniej, taczając się chyłkiem przez szare zaułki. Zamykał się w karecie — a jeśli byli wolantem — to w jakiej cudzej, i zasypiał w nadziei, że obudzi się trzeźwy. Lecz często było mu tam źle spać — coś go budziło zawcześnie.

Raz obudził się i zobaczył, że nie on sam jest Pietrkiem. Jeden Pietrek siedział na koźle, a drugi szedł środkiem bramy, potykając się o drąg, Trzeci zbliżał się z ulicy. Pietrki pompowały wodę — i rzucały po kuchni talerzami. Za to w karecie nie było go wcale — sama kareta patrzyła na tych Pietrków. Było to przykre i mało nie uciekł — ale na szczęście usnął ponownie.

Kiedyindziej zbudził się, a tu patrzy — niebieskie szklane konie stoją takie przy karecie. Całe szklane, a leciutkie. Uszy miały z zielonego szkła, a grzywy — z jakiejś niepodobnej rzeczy kolorowej. Każdy miał sześć nóg i pięknie machał niemi, wspinajac się na gwiazdy, czy na coś. Tak być powinno. Tak wyglądało to, czego chciał. Do tego chciał się dopić. To budziło w sercu skurcze szczęścia — jak młodzian z patyków i jak Zuzia.

I uspokojony jechał sobie.

Śmiał się z pana, który biegł przy oknie, patrząc na to i wołał:

— Wstawaj. Zakładaj konie. Jedziemy.

Pietrek machnął ręką.

— Sześć nogów majom! Sześci przebierajom! Sześci tompiom! — krzyknął radośnie.

Lecz gdy wyszedł, wydawał się zupełnie trzeźwy.

Przeszedł przez bramę bez błędu i poważnie.

Wobec tego pan kazał zaraz zakładać.

Huk kopyt zadudnił w bramie, podkowy klasnęły na bruku.

Pan wsiadł i, spuściwszy okno, wyglądał przez nie.

Kwiecień. W mieście pachniały niewidzialne łąki, a burzliwa wichura roztrącała po niebie chmury.

Na moście koło Bernardynów zdawało się, że się kareta zatoczyła. Lecz nie. Jadą, a jadą.

Niebo się mroczyło. Pieniły się po niem dzikie wiosenne gwiazdy. Huk wiatru otrzaskiwał pudło karety, blade roztopy podpływały ze wszystkich stron. Nieustające pasmo dnia świeciło na zachodzie nad samą ziemią.

Za Niedźwiadami kareta wjechała nagle z grochotem na pryzmę kamieni, przeciwległy stopień zgrzytnął, nabierając błota. Konie zjawiły się tuż przy oknie. Pietrek znikł.

Drzwi naturalnie też się otworzyły i stary pan wybrnął z kożuchów, paczek i małych narzędzi rolniczych, które sypały się na szosę.

Rozejrzał się — Pietrek leżał na rowie.

Ze strasznem uczuciem, że Pietrek umarł, pan zaczął go ciągać i brać na ręce.

Pan był potężny, a Pietrek nieduży i oto na rękach wysokiego starszego człowieka leżał chłopiec bezwładny, zwinny i wiotki.

— Pietrek — zawołał stary pan.

— Dziecko! — krzyknął. — Dziécko!

To, co się wydarło z ust Pietrka, nie było jękiem. To był śpiew.

Stary pan zadrżał i zesunął swój ciężar na ziemię.

— Upiłeś się! Upiłeś się! Upiłeś? — i stawiał go na nogi. Pietrek stanął, pokołysał się i znów się rozłożył na rowie.

— Łajdaku! Przecież przeszedłeś środkiem bramy.

— Łajdaku!

Milczenie.

— Piotruś?!

Nic.

— Zostawię cię tu, pijany gawronie,

Stary pan rozejrzał się.

Na szosie nie było nikogo. Coś kwiliło. Czyżby czajka? Tak późno?

Nadlatywały tętenty wiatru.

Trzeba było nakierować konie, wyplątać łejce z orczyków — zobaczyć, czy się co nie zepsuło. Poklepał konie, dzwoniące lekko wędzidłem — powkładał do środka, co powylatywało na szosę — sprowadził karetę z pryzmy. I schylił się nad Pietrkiem.

— No wstawaj, chłopcze, — rzekł smutno. — Trza jechać do domu, bo zimno.

Pietrek westchnął.

— Weź mnie za szyję. — Mocno. — Dźwigaj się.

Pietrek objął pana i, złożywszy mu głowę na ramieniu, mruknął:

— Nie bydę tu — i nie bydę tu —

Zadarł nogę, chcąc wejść na kozioł, śmiesznie smutny w bezradnem niedołęstwie.

Stary pan zapchał go do wnętrza i zamknął drzwi.

— A wyleć mi, psiakrew.

Chyląc do ziemi całą karetę, wylazł na kozioł.

— Wiśt — rzekł schrypniętym głosem.

I całą drogę mówił coś do siebie — i do koni.

Aż naprzeciwko z horyzontu wyskoczył, poznaczony bronzowemi światełkami, Rusocin. Wieś zbliżała się, kryjąc się niekiedy między drzewa.

Kareta skręciła z szosy na gościniec i przestała dudnić, skrzypiąc tylko mozolnie i chlapiąc w błoto.

Ludzie słyszeli, i wiedzieli, że to pan wraca. Od dworu rozlegało się mgliste szczekanie psów.

Lecz gdy kareta stanęła nagle śród drogi przed czworakiem, gdzie było mieszkanie Paterków — zdziwiono się. Cienie jęły zasłaniać okienka.

Drzwi zapiszczały pomalutku i Paterczyna stanęła nade drogą.

— Coś ty sam wrócił? Pon nie przyjechał? Coś tak stanął?

Zobaczywszy olbrzymią postać na koźle, krzyknęła:

— Rany Boskie! — Gdzie Pietruś? Rany Boskie!

Podbiegła, skacząc przez kałuże.

— No co? — spytał pan z szyderczym spokojem, jaki ogarnia nas na widok bliźnich, którzy wypadli z równowagi,

— Gdzie Pietruś? Co mu się stało?

— W karecie. —

Zaczęła szarpać drzwi, a drzwi nie puszczały.

— Otwirać — wrzasnęła.

Stary pan wolno zlazł z kozła, okręcił lejce, i mówiąc:

— Stooj — Stoj! — Stoj — poklepał konie.

Potem lekko otworzył drzwi. —

— No, upił się — rzekł — i Paterczyna zaraz przestała jęczeć.

— Wychodź, dziecko — pódź do dom — to jo — ty świnio — mówiła ze wstydem.

— Co ma wychodzić, kiedy leży spity jak kłoda, trza go zanieść.

— O łoboga — łoboga. — Ady pójde zawołać kogo. Taki wstyd!!

Lecz pan wytaszczył już pijanego i niósł go, okraczając kałuże.

— Otwórzcie szerzej — rzekł chrypliwie, przed drzwiami.

W stancji palił się pocichutku ogień na kolację — zaledwie liżąc mokre, sapiące drzewo,

— No, gdzie go położyć?

Położył go na łóżku, a czerwona pierzyna wzdęła się naokoło.

Pietrek otworzył na mgnienie oczy, a pan odwrócił swoje.

— I cóż z nim zrobić? Pije jak bydle.

— Pije! — Pije! — A co mo robić, jak nie pić. Jakby nie pił, toby może co gorsze robił — zawarczała Paterczyna z nieoczekiwaną urazą.

Pan pomyślał, że ludzie mówią prawdę, i że Paterczyna roztacza dziwną opiekę nad rozprężeniem swego domu.

A ona, jakby myśl tę słysząc, zajęczała:

— Ady mnie to już zatopi, ady zatopi!

Wtem, podotykawszy syna, zaczęła nagle spieszyć się koło niego, coś z nim robić, to go rozdziewać, to nim wstrząsać. — Po coś biegła — podnosiła mu głowę. — Pan usiłował zaprzeczyć zgrozie, w którą naraz popadła — i wodząc za nią rozezłoszczonemi oczyma, gadał bez końca:

— No co? Co mu ma być? Niech się wyśpi. Co mu ma być? Niech śpi.

Lecz jego wielkie bronzowe ręce mimowoli chciały coś pomóc — obciskały pierzynę koło głowy, odchylały zaciśnięte usta chłopca.

— Już on tak jak i ojciec. Już on się z tego nie podniesie. Żeby mu krew puścić... Żeby po owczarza... Żeby po księdza... dygotała Paterczyna.

— Co, na Boga Ojca, takiego mógł wypić? Może gdzie na wesele trafił — biadał stary nie w porę.

— Co ta o to, gdzie trafił... Co ta o to, gdzie trafił. Zeby po kogo... Matko Bosko Anielsko...

— No pośle się zaraz...

Pietrek oddychał jak uduszony, właściwie mówiąc rzęził. W kącie ust coś mu bulgotało i pieniło się. Widząc to, stary pan wycofał w strachu swą postać z niskich drzwiczek i, brnąc na dworze przez gnojówkę, krzyczał:

— Jest tam który? Jest tam który?! Który ta jest! —

— Stróż! Stróóż! Stróóóż!!

Gwałtowny wiatr, pachnący niebem, walił przez drogę, tnąc i rozrzucając głos wołającego· —

Lecz przecież usłyszano.

— Ho! Ho! Ide! Ide! — odpowiedziały burzliwe, pełne wiosny ciemności.

Wątłe odbicia żółtych okienek, rozpostarte na żywopłotach, zaczęły się ruszać i skręcać. Brano lampki. Wychodzono z niemi przed nędzne, skrzypiące drzwi, i nasłuchiwano, co się stało śród nocy.

NOC PONAD ŚWIATEM

Nikodem był kiedyś fornalem. Lecz po swoim trzecim powrocie ze szpitala mógł być już tylko stróżem.

Trudno mu wymawiać, że się nie leczył, gdyż leczył się przez piętnaście lat.

Znachor Szymandera z dziesięć razy spalił na jego twarzy i po wszystkich wrzodach pakuły na czerwonem suknie — wrzody nie odeszły. Stara Kuczyna smarowała go w różnych latach po kilkakroć takim balsamem zielonym, zrobionym z psiego i kapłoniego sadła na jemiole z leszczyny, — też nic nie pomogło. Wrzody pękły, i uczarowane materje z nich wyciekły— lecz zaraz porobiły się nowe. Podkurzali go różnościami — też nic. Potem jeszcze leczył go ksiądz Augustyn Gajewski z Tykadłowa. Chory pił wódkę ślazową z witryolejem, pił wywar z kory drzewa gwajakowego z korzeniem skrzypu, z aloesem, z liściem podróżnikowym, z ostem, — wszystko zawsze bardzo pomagające na dworską chorobę — tym razem nic nie pomogło.

Wtedy nakoniec, gdy już zaczął być do ludzi niepodobny, — wysłali go na koszt dworu do szpi-

tala do Kalisza. Wysyłali go tam raz, wysyłali drugi raz, wysyłali trzeci raz. W szpitalu tarli go żywem srebrem, choć Nikodem nie myślał, żeby mogło być lepsze na czary niż prawdziwe. Robili z nim różne rzeczy, a głównie krzyczeli, mówiąc: «Dziki z was człowiek, czemuście nie przyszli dziesięć lat temu?»

Nakoniec wrócił bardzo zmęczony — i straszliwy na twarzy. Między krwawemi powiekami błąkały się jeszcze tylko dawne piękne oczy. Reszta były to szramy i wyrwy, a nawet cieknące rany, otoczone białą pleśnią i sinemi plamami. Ludzie uciekali w przerażeniu, a kto go znał dawniej — płakał. Tak więc odeszły wszystkie nadzieje. Było ich mało. Lecz było ich jeszcze za dużo dla Nikodema. Zostały wszystkie odjęte.

Ani się nie ożeni, ani w służbie do niczego nie dojdzie — ani też nie może w sobie żywić myśli, że na samym końcu życia dojdzie, jak niejeden w tych stronach, do własnego gruntu.

Nadto zaczęły mu gnić palce i kości wychodziły na wierzch.

Te palce sam sobie siekierą obcinał.

Co do pierwszego palca, to nikt nie widział, tylko mówili.

Ale drugi — mały palec u lewej ręki — Nikodem obciął sobie na oczach wszystkich i ku wszystkich zgrozie.

Był to piękny poranek majowy, przepojony gorzką wonią młodych liści. Na ziemi leżały brązowe łupinki od kasztanowych pąków i lepiły się do nóg. Śpiewały pokrzewki, śpiewały zięby. Nikodem wstał był jak zawsze ze swego rannego snu około dziesiątej do

południa i szedł rąbać drzewo. Gdyż to mógł jeszcze robić. — To — i kosić zielonkę.

Minął wielkie lipy koło dworu, pod któremi obok ławek, był też stół okrągły w przyjemnym cieniu. Minąwszy, zatrzymał się jednak i wrócił w to samo miejsce. Powąchał swoje palce. Przypatrzył się blaskom siekiery, i ten cichy stół, zasypany okruchami przekwitającej wiosny i pieniążkami słońca, zamienił sobie na stół operacyjny.

Oparł na jego brzegu strzęp tego, co było kiedyś jego małym palcem, zdrowym, jak piękny sęk młodego drzewa, — i owo sobie obciął.

— Co ten Nikodem tam robi, pod lipami? — pytano z okna dworu.

Marynka, która jeszcze wtedy nie kochała się w Słupeckim i widziała, co się dzieje naokoło, odpowiedziała, blednąc:

— Znów sobie palice urzyno.

— Co za ludzie! — wołano z głębi lśniących pokoi, przyciemnionych siatką od much.

Co za ludzie! Co za ludzie! Co za ludzie! — mówiły wszystkie pokoje i zdawały się iść z tchnieniem błyszczącego chłodu i pięknej czystości na pomoc do Nikodema.

Przysłano wodę gulardową, watę, bandaże. Nauczycielka z góry dawała znać, że idzie z apteczką.

— Nacie, owińcie — mówiła Marynka, drżąc. — Mgło mi się robi, jak patrzę. Ady wy litości nad sobą nie macie, chłopie. Ady wy sie Boga nie boicie.

Lecz on wzgardził wszystkiem i krzywiąc swe przeraźliwe oblicze, wołał:

— Żeli jo chłop, to pódź ze mnom spać. Byde ci pachnąć lepi od lasu. Układźma sie ta pod drzewinom.

A gdy ona klęła, poszedł dalej, śmiejąc się i wołając: — Oho-ho!

Nieco za kuchnią, uderzył siekierą w ziemię i rzekł znowu z urągowiskiem: — Oho—ho—ho—ho!

I jeszcze raz powtórzył: — Oho—ho!

Nie powinni go byli zaczepiać. Naco mu te rany u serca otwierali? Napróżno przychodzą do niego z plastrami tam, z wodami. Ręce się wyciągają, a gęby się odwracają.

Mogli nie wiem jak miłosiernie mówić, albo też milczeć. Jak na niego tak przyszło, to nie słyszał nic, tylko wrzask ludzkich myśli, które mówią do niego: «Ty francowata poczwaro — zapowietrzony dziadu, parszywy pysku — świętą ziemię obrażasz, chodzący po niej».

Choćby kto mówił «Ty bracie nieszczęśliwy» — nie da świadectwa tym słowom i nie pójdzie z tym «bratem» żyć, ani go ustami swemi w krosty nie pocałuje.

Nie wszystkie dnie były takie — lecz ten był dniem zrozpaczonej złości, gorzkiej złości, jadowitej boleści, w której Nikodem napróżno wzywał półgłosem Boga, jęcząc: — O Jezu, Jezu! — O Jezu, Jezu!

Jakże miał mu się Bóg objawić? Którędy miał do niego przejść? Świat był przed Nikodemem zamknięty na wszystkie, wszystkie, wszystkie spusty. Tak rozumiał, stojąc płomienisty od znamion cierpie-

nia na miejscu swojej roboty, koło drwalnika pod wyniosłemi akacjami, całemi w białych pąkach.

Drwalnik pod temi akacjami był też ruiną. Stary dach wgiął się pod kożuchem zielonego mchu. Tynk odpadł, a cegły rozkruszały się pomału, i ciekły przez wszystkie szczeliny swym rudym piachem. Lecz to było piękne w cieple, w słońcu, w pieśni ptaków. Dosyć przytem, że nie było ludzi. Zato była robota. Nie można wyżyć zgrozą, a zgrozą. Każdy, póki mu na oczy piasku nie nasypią, szuka czemby się pocieszyć. Jest też niejaka okruszynka radości w tem, że można jeszcze coś robić.

Tedy Nikodem rąbał.

Zsiekany pieniek dębowy stękał głucho pod ciosem siekiery.

Smolne szczapy łupały się na dwie części, wydając suche kraknięcia. Padały lekko na ciepłe i aromatyczne posłanie z łusek brązowej kory, z sypkich wiórów, polepionych żywicą.

Niektóre szczapy Nikodem sam zdejmował z siekiery i rozdzierał, a skaleczone włókna rozstępowały się z wrzaskiem.

Potem przerąbywał to jeszcze napoprzek. Teraz siekiera nie zataczała błyszczącej tęczy przez niebiosa, a polana nie wzlatywały z nią razem, wbite na ostrze. Trzeba się było przyczaić, siekierą ciosać zniska i ostro — a drewna latały po pniaku i uciekały z niego, wypryskując z pod żelaziwa.

Zadzierzyste, wonne od kropel żywicy polana Nikodem brał naręczami i rzucał na urąbany stos. Waliły się z łoskotem, niecąc w sobie samych

dźwięczne pogłosy — i budząc echo w zaroślach za drwalnikiem.

Pochłonięty robotą, stróż wystukiwał jej tonami ubogą, zapobiegliwą piosenkę, niknącą w nieprzytomnej majowej pogodzie.

Czyniąc to, myślał o maślance z rżanemi kluchami, żeby też była dziś na obiad. Tej zeszłorocznej kiszonej kapusty miał dosyć — bo go już zadość od niej dęło. Był też ciekaw, czy starzy Szymandera dużo zje tej maślany. Choć niech tam zje, szak jemu o ile mniej się od życia należy. Nie samej tylko maślanki, ale żeby tak Nikodem co lepszego miał, teżby mu pewno oddał. Bo to jest stary owczarz Szymandera, ojciec znachora, stuletni dziad.

Lecz gdy Nikodem o tym dziadulu miał to i owo pomyśleć — nagle między wiórami wszczął się szelest. Coś zaczęło się toczyć koło nóg, coś zaczęło piszczeć, skomleć i ostrym, płaskim głosem ciawkać. Coś, co było płowe i bure, miękie, wywrotne, kręcące się na tysiąc stron, hycające na miękich łapkach, gnących się pod ciężarem puszystego futerału, w którym był mocno zamknięty malutki czarny nosek i dokładnie otwarte, ciemne jak tarki, szalone z radości oczki.

— Poszoł wont — rzekł stróż Nikodem, i zarazem, podniósłszy głowę, zobaczył, że to pan przyszedł z tym szczeniakiem.

Pan usiadł na dyszlu od beczki z wodą, stojącej pod bzem, lecz dyszel trzasnął złowieszczo.

Wtedy pan rzekł: — Psiakrew, niema nawet na czem usiąść w tym ogrodzie — i usiadł na swej potężnej lasce.

— Jak urąbiesz, to pójdziesz nakosić zielonki, bo tam Pietrek ma po nią przyjechać. Koło wiatraka — rzekł jeszcze pan.

Poczem zadumał się — a psiątko harcowało.

Odskakiwało, wywracając się, gdy siekiera spadała, wracało i szczekało na nią, gdy znajdowała się daleko i wysoko w głębi modrego nieba.

Lecz wtem siekiera zamilkła. Nikodem schylił się i podniósł psiaka wysoko za skórę na grzbiecie. Szczeniak rozdziawił paszczę i pokazał, że ma piękne podniebienie różowe, w czarne plamy. Chciał gryźć i ciskał łeb na prawo i na lewo, żeby dostać do ręki. Nagle dał za wygraną i strasznie zaskowyczał.

— Masz go wziąć i przyuczyć do nocy, rzekł pan... Tamte stare psy są już do niczego, wszyscy je zbałamucili. A to to jest dobry pies. Akurat na złodziei.

— A dy to pewno bydzie ze składów od tego Żyda, on ta ma takom burom suke.

— Wilczycę. To też to po niej. Ma być rasowy. Z takich co wywęszą złodzieja z pod ziemi. Jeżeli nie oszukali...

— Bo to tu som jakie złodzieje? — spytał wyniośle Nikodem.

— A piwnicę kto mi okrada? A konie to kto wyprowadził w kwietniu?

— E, ta takie ta. To ta nie złodzieje.

Pan zapytał gwałtownie: — A może kto?

Wtedy Nikodem po rozważnym namyśle sam zaczął przypominać, jak w samej rzeczy okradli piwnicę w zeszłym roku i wiele razy dawniej. I także jak

raz ci złodzieje układli się spać w życie, a potem znaleziono tam słoiki po wyjedzonej ćwikle i po kwaszonych ogórkach. Lecz to nie było za niego.

— No widzisz — pocieszył się pan i dodał: — Wabi się Lord, i już rozumie, jak na niego wołać: Lord! Lord!

Lord nie zwrócił żadnej uwagi na swoje piękne imię. Miał paszczę pełną wiórów i rzucał głową, jakby chciał się jej z karku pozbyć.

Pobiegł dopiero parę kroków, gdy pan odchodził, lecz nagle machnął całym sobą i zawrócił do Nikodema.

Stróż został teraz sam ze szczeniakiem i z jadowitą urazą w sercu, jaką odczuwa każdy prosty człowiek, gdy mówią przy nim o złodziejach.

Oprócz tego jednak było mu przyjemnie, że psiaczek został z nim z dobrej woli, — gdyż miło jest mieć powodzenie, nawet u zwierząt.

Lord usiłował teraz rozgryźć jego buty, a Nikodem podniósł go na swej rozciapanej nodze i ostrożnie odrzucił dalej.

Pies uznał to za początek zabawy; natychmiast powrócił w susach i zaczął rzecz od początku. Lecz oto Nikodem podjął znow siekierę, a szczenię, odsunąwszy się nieco, siadło na puszystym kuperku i patrzyło żartobliwie, wyczekująco, jakby gotowe natychmiast pęknąć ze śmiechu.

Lecz nic śmiesznego nie wynikało z rąbania. Przeciwnie, było to raczej straszne. Więc psiątko, nazwane Lordem, zaczęło wkońcu skomleć i piskać melodyjnie. Współcześnie przyglądało się ze smutnem

zainteresowaniem wiórom, coś wąchało, chodziło tu i tam, znowu siadło.

Wtedy Nikodem się zaśmiał, rzucił siekierę, wziął to małe na ręce i pytał: — Co ci to? Co ci? Co ci to zrobili, — a głos jego brzmiał czystemi, pieszczotliwemi tonami, któremi nie mógł się już zwracać do nikogo na świecie.

Uskromiwszy się z rąbaniem, wziął psa w połę kapoty twardej i lśniącej od brudu jak skóra i niósł go ze sobą na pole do koszenia lucerki.

Mały Lord macał strwożoną i zmęczoną mordką po jego piersi, szukając, gdzie spocząć, lecz wszędzie tak mocno biło serce. Nakoniec wsparł się pyszczkiem na nieszczęśliwej dłoni z uciętym palcem.

*

Nikodem nie lubił tamtych starych psów z budy w podwórzu, gdyż zachowywały się podejrzanie. Odwracały się od niego jak ludzie.

— Może to nie som psy — myślał Nikodem.

Gdy otwierał budę, wylatywały natychmiast jak z procy, a ten wielki prostowaty chłop z przeczuleleniem, właściwem ludziom, napiętnowanym przez kalectwo i chorobę, rozumiał to jako wstręt do jego wrzodów.

— Wyrywajom — powtarzał — żeby przed padlinom.

Istotnie gnały wręcz w opętaniu. Odrazu zaczynały szczekać, nim cokolwiek poczuły, lub zobaczyły. Hałasowały tu, hałasowały tam, obszczekiwały kolejno wszystkie strony świata, ginęły awanturniczo

w chłodnych cieniach nocy — i znowu powracały, dysząc, gryząc się i warcząc.

Czasem spostrzegły zdaleka Nikodema, podbiegały i wąchały go, przytykając nosy do kożucha. Nie było w tem życzliwości, jeno pobieżne stwierdzenie, że to nikt obcy, tylko ten znajomy ktoś, mający zwyczaj spędzać noce, czuwając wespół z psami.

Nikodem nic do nich nie mówił, lecz bolał nad tem skrycie.

Nieżyczliwa obojętność psów czyniła mu gorzkiemi nawet noce, których czarne pióra przyodziewały go w straconą urodę, w piękne złudzenie, że taki jest jak wszyscy.

Lecz teraz nic go to nie obchodziło, skoro tak bardzo polubił go Lord. Bo jeśli się jest z kimś ciągle. Jeśli się komuś patrzy w oczy. Liże ręce. Jeśli się dostaje napadu wesołego szału na czyjś widok — to się chyba kogoś lubi.

Swoją drogą Nikodem drżał, że serce Lorda też się od niego odwróci, i z chytrością nieszczęśliwych udawał, że nie podsyca niczem tej przyjaźni. Był surowy dla Lorda. Rozkazy pana dobrze mu do tego służyły, gdyż kazali psa wcześnie zacząć wiązać.

Lord szedł z nim po raz pierwszy do łańcucha w pląsach, skacząc do ręki, dysząc i powarkując.

Z nastawionemi uszami patrzył ciekawie, gdy łańcuchy brzęczały, niezupełnie pewny, czy to się jego dotyczy. Potem chciał odejść za Nikodemem, lecz łańcuch go przytrzymał.

W szaleństwie strachu i zdumienia Lord zatań-

czył na wszystkie strony, miotając się, jęcząc i ściągając silnie ze łba skórę i uszy. Wskoczył na dach budy, obiegł ją bo bokach, ze wstrętem omijając wnętrze. Potem jął natarczywie szczekać, rozpaczliwym szczekiem pełnym wymówek, lęku, gniewu. Tak do południa naprzemian szczekał, skomlał i wył. Jego cierpienie napełniało dojrzałą ciszę wrześniowego dnia osobliwym smutkiem, jaki płynie od miejsc, gdzie skomlą psy.

Nikodem przyniósł mu obiad, sam w rozterce i niemal spłakany.

Lord uspokoił się odrazu, i natychmiast weselej zrobiło się wokoło.

Młody nieszczęśliwiec odetchnął głęboko, siadł, i bijąc puszystym ogonem w pokłady złocistych liści, patrzył dowcipnie na swego straszliwego pana.

Zeżarł spokojnie mleko, które na powierzchni rozgotowanych kartofli tworzyło swoiście obrzydliwą kaszkę. Skończył, i z lojalną gorliwością liznął jeszcze kilkakrotnie ziemię w okolicach miski. Patrzył teraz na Nikodema, oblizując się nieskończoną ilość razy. Przestępował przytem z nogi na nogę i łopatkami wykonywał nieokreślone gesty zachęcające. Przeciągnął się w nerwowem oczekiwaniu i ziewając szeroko, piszczał.

Nikodem z westchnieniem pogłaskał go, a Lord przyjął entuzjastycznie te pieszczoty. Skoczył do góry w całej swej młodzieńczej wysokości, oparł się łapami o pierś, która go tuliła, gdy był mały, lizał krwawe oblicze Nikodema, warczał zalotnie, obejmował go i ściskał pięknemi łapami za kolana. Nikodem zapytał

go: — No co chcesz? Budę ci zrobiłem w chłodzie — pod drzewięciem. Ni masz tu chłodu? Czego ci trza? Szak masz chłód — masz żarcie? może nie?

A pies przytulał mordę do kolana i stał tak w niemej boleści.

Kiedy Nikodem odchodził, miał nadzieję, że pies będzie cicho, bo tak nic nie mówił jakoś. Lecz wnet wszystko zaczęło się od początku.

Wkońcu naturalnie, po tygodniach, Lord przestał tak szaleć z rozpaczy. Gdy Nikodem go odwiedzał, pies kładł mu tylko pysk na dłoni i pocichutku jęczał. Nikodemowi trudno było się z nim dogadać, więc pojękiwał tak samo.

Tak skarżyli się sobie obaj, spowici w piękną purpurę jesieni.

W tym czasie Lord zaczął knuć przebiegły spisek przeciwko łańcuchowi. Łagodnie i cierpliwie usiłował go w różnych miejscach napocząć.

Oddawał się tej czynności z pogodą i wiarą w przyszłość. Nie krył się wcale przed Nikodemem. Przeciwnie, w jego obecności tem gorliwiej usiłował przegryźć żelazo. Merdał przytem chytrze ogonem, czyniąc miny, jakby łańcuch był wspólnym wrogiem, któremu na sposób fatalny ulegli obaj: pies, nie mogący się urwać, i stróż, wiodący go codzień na miejsce kaźni.

Tak przeszła zima, przez którą Nikodem nauczył się też chytrzyć w sprawie łańcucha. Korzystając z krótkości dnia, wiązał Lorda coraz później, a spuszczał go z łańcucha coraz to wcześniej.

Te obyczaje zostały mu się aż do następnej wiosny,

gdy Lord stał się dorosłym psem, a przyjaźń ich się wzmogła.

Rano, schodząc z czuwania, stróż zabierał psa do siebie i wiązał go dopiero, wracając ze snu. Nad wieczorem już w porze podwieczorku można było zobaczyć Lorda wolnego, jak sadził w lekkich susach przez klomby, jak tańczył koło drzew, na których poczuł kota, jak tarzał się po trawie. Mógł wtedy skoczyć przez okno do pokojów, naszczekać się pięknym głosem po całym dworze — obdarzyć każdego pieszczotą, która spadała jak burza.

W te nadkradzione chwile wolności czynił wszystko, co możliwe, żeby przekonać, kogo należy, że nie jest wcale dobrym psem nocnym. Że jest lekkomyślnym, szalonym przyjacielem wszystkich, że nakoniec najwięcej zaufania ma do wszelkich obszarpańców, łazęgów, obcych włóczykijów, czarnych nędzarzy, ludzi wyglądających, jak złodzieje, podobnych do jego pana.

Lord czynił życie Nikodema zajmującem i pełnem celu.

Nikodem lubił teraz naprzykład swoją chałupę, w której spędzał ranki i południa.

Była to komiczna izbuszka na końcu wsi, prawie przy samej figurze. Pokrzywy rosły koło niej bardzo wysoko, aż do samego dachu — lecz dach był też niziuteczko.

Zato z drugiej strony szarzało nieco płonej ziemi popielatki, i rosły macierzanki — tak że w izbie pach-

niało temi macierzankami, a nie samą zgnilizną i biedą.

Szymandera mieszkał w izbie, a Nikodem w komorze poza izbą. Tak być powinno, gdyż Szymandera miał jak wiadomo sto lat. Sześćdziesiąt lat chodził tu za owocami, a od pięciu był na łaskawym chlebie. Wydawali mu życie z czeladnej. Nikodem zabierał dla siebie i dla niego, i dawał mu trochę, a sam zjadał więcej, gdyż robił, a był chory, więc musiał nabierać siły. Mógłby mu nieraz wcale nie dać, lecz mu było żal, więc dał, a sam nie miał znów przez niemoc tak wielkiej smaki do jedzenia.

Nikodem wolał, że mieszkał z dziadem, niżby miał z kim drugim. Nie lubił być ze zdrowymi, a jeszcze gorzej nie lubił widzieć mleczarza Doniżego, który zgarbaciał przez chorobę. Tamten był naznaczony, jak i on, i Nikodem nie chciał braterstwa z takim tam. Jego widok mocniej mu urągał niż piękni, zdrowi ludzie.

Lecz stary owczarz był w sam raz towarzystwem dla niego. Była to moc i potęga życia nietkniętego żadną zarazą i trzymająca się na umór tego wyschłego pnia. Prawie jakby liść suchy, lecz jeszcze piękny, żółciuchny. A jednocześnie dziad był już taki stary, że nie wzdragał się patrzeć na Nikodema. Przeciwnie, nawet lubił go. Potrzebował go — coś tam z nim gadał. Nikodem codzień brał na ręce i wynosił na dwór starca lekkiego jak garść wiórów.

Nie było więc z nim przykro — ale i nic więcej. Cóż może znaczyć w czyjem życiu obcy stuletni dziad. Znaczy to, że nic po tobie, kiedy tylko tyle możesz mieć, że to truchło za tobą patrzy.

Tak było przedtem, lecz teraz, gdy Nikodem miał Lorda, to i staruch stał się miły, potrzebny, ulubiony.

Dwie rzeczy — niewiele to więcej niż jedna. Lecz zawsze dwie.

Tedy Nikodem szedł w południe do domu nie bez chęci.

Karmił tę sędzieliznę, a Szymandera pytał go, tłocząc głos z gardła, świszcząc, sycząc i szepcząc:

— Owce — nie — idom?

Jeszcze nie szły.

Lecz gdy o pierwszej szły tą drogą na pastwisko, tupiąc cichutko w mięki piach, mecząc i becząc na różne nuty, lubił to bardzo widzieć. Nikodem taszczył go wtedy przed sień, a stary wymrukiwał swą starą pieśń owczarską:

Wygoniej —
wygoniej —
owieczkom —
cieloczkom —
krowiczkom —
koziczkom — wody dej.

A gdy owce przeszły, i nastała wielka, południowa cisza, — pytał: — Co to?

A były to świerszcze, które grały dzień i noc w pokrzywach, na rdeście i w każdej szczelinie chałupki.

Rano Nikodem przychodził do domu z Lordem. Nieraz wtedy przyniósł staremu mleka w garnuszku, macierzanki — wszy z niego cokolwiek obrał po drodze do swej komory.

Tam w komorze Nikodem obzierał wszystkie

okropne miejsca swego ciała, przypatrywał się im w zdumieniu i trwodze — bo było to jakby dźwigał na sobie mrowie obcych potworów, niepodobnych do wiary, obrzydłych nie do wytrzymania. Niektóre rany zdawały się zwierać, jak tyleż djabelskich mord, i ślinić djablą ropą. Smarował je resztkami starych maści — goił, wiązał, układał się, gotował do snu.

Nakoniec wyciągał się, wyciągał na swem wyrku — i już nie widział siebie — i był już teraz tem, czem był naprawdę. Czterdziestoletnim chłopem — który lubi żyć — lubi spać, też zjeść — z ludźmi pogadać — z dziewką się ponaściskać — w kościele się pomodlić.

I nie był sam. Siedział tam we stancji dziaduś, co się do niego przykrzywia rozprzężonemi uśmiechami sędziwości.

A za okieneczkiem, gdzie świta, może we wsi, czy tam, gdzie się ani spodziewał — może też tam kto jest, kto o niego pyta — może tam kto jest taki — a on leży i nie wie.

I tu zaś koło niego jest ktoś, kto się krząta, wspólnie z nim do snu układa, po komórce się szwenda i pęta. — to jest Lord.

Lord, zanim zasnął, musiał stoczyć wojnę z pchłami.

Wywąchiwał je i wgryzał się we właściwe miejsce pracowicie i zwolna, jakby czesząc śnieżnemi zębcami swą długą, piękną szerść.

Nagle dopadał złośliwej nieprzyjaciółki i zażerał się w to miejsce, aż ją malutką i twardą w szczelną piłę zębisków uchwycił.

Potem zarzucał sobie łeb jeszcze dalej, prawie na grzbiet. Tylna noga wystrzelała w górę, a przednie — zaledwie końcami paznokci skrobały klepisko. Przerzucał się na drugą stronę, tańczył w chęci dosięgnięcia jakiegoś miejsca na ogonie — wkońcu wylizywał sobie wszystkie okolice brzucha, i wolniuteńko, z przerwami, drapał się tylną nogą za lewem uchem.

Te zabiegi zupełnie go roztrzeźwiały. Skończywszy je, zrywał się, siadał i podnosząc to jedno to drugie ucho — nasłuchiwał jak Nikodem straszliwie chrapie. Zdawał się dusić we śnie — dusić i umierać.

Lord biegał trochę naokoło, wąchał szparę drzwi, wreszcie kładł się prędko i zwinnie na bylejakiem miejscu. Po chwili zmieniał je. Podbiegał do Nikodema i krótkiem tchnieniami nozdrzy badał jego sen. Nakoniec wpełzał pod wyrko.

Nikodemowi dobrze było zasypiać, gdy Lord był tak blisko. Lecz gdy już zasnął, to niekiedy śnił okropne sny, przechodzące wszystko co wycierpiał.

Raz mu się śniło, że mu się otwarło na nosie coś takie czarne niby komin o czworgu bokach — i z tego się zaczęła sypać jakby sadza bez końca, a bez końca — a z tej sadzy lęgły się zaraz djabły. Nie było ratunku, nie było wybawienia. Było o ile straszniej niż na jawie żyć w ranach, we wrzodach, w zapowietrzeniu. Wtem obudził się, a tu Lord siedzi naprzeciw i patrzy. Nikodem szepnął:

— Lord — a on zaraz wspiął się na pryczę, i Nikodem objął go rękami, cały spocony z sennego

przerażenia, i było miło żyć, a zmory już nie było Panu Bogu dzięki. Panu Bogu dzięki.

Noce były dniami Nikodema — były najprawdziwszem jego życiem, w które wznosił się ponad swą klęskę.

Po spuszczeniu z łańcucha, Lord musiał tę sprawę odhasać, odwarjować w nurtach pól, w koniczynie, w życie, w lucernie. Wracał zziajany — i rzucał się gestem hultajskiej radości w ramiona Nikodema.

Wtedy zaczynała się długa rozmowa:

— Co powisz?

Lord zadyszał stróżowi prosto w nos.

— Nie lotej — nie lotej po polach. Mówiłem ci, nie lotej, to cięgiem lotasz.

Lord zamknął paszczę i przełknął ślinę, poczem znów nieco poziajał.

— Jak bydziesz lotać — to cie przedom.

Pies wspiął się wyżej i oparł łapy na ramionach pana.

— Poszoł. Wezne i dom cie hyclowi, boś wart. Poszoł.

Zepchnięty pies wskoczył na ławkę i usiadł koło swego pana. Ziajał mu koło ucha — patrząc bacznie wdal.

Po chwili zeskoczył i pobiegł w krzaki. Powąchał liście i wrócił. Omylił się. Tam nic nie było.

Rozmowa nawiązała się znowu.

— Poś-tu!

— Tu do nogi.

— Waruj.

— Chcesz dostać?

— Dobry pies. Dobry pies. Dobry pies.

— Szukaj. Szukaj.

— Poś-tu, głupi. Psisko. Psisko. Psisko. Wierne psisko — wierne.

— Gdzie lecisz! Poś-tu. Uwal się. Leżyć.

Tego Lord nie chciał.

Odwrócił się od swego pana, oparł się biodrem o jego nogę, tłukł ogonem w ławkę, spoglądając zezem.

— Jaki to nieusłuchany... — Połóż się sam.

Uboga to była rozmowa — i to się wcale nie liczy między ludźmi, lecz dla Nikodema był to kawałek życia.

Siedzieli wobec różowych na zachodzie niebiosów, w których świeciła gwiazda wieczorna.

Ile szczęścia, rozmyślania, zachwytu nad światem przeżywali w tę porę, która dla innych jest czarną nocą, lecz dla nich była dziedziną pełną blasku i pieśni.

Spoczywali sobie z Lordem w koniczynie za stawem koło sadu. Niejeden raz było tak, że wieś szła spać o ciężkiej niepogodzie. A tylko Nikodem i Lord widzieli jak około północka chmury, zalegające horyzont, odwijały się, zesuwały się, niczem całun, i wypływała z pod nich rzeka promienista, blask rozsypany, topiel jarząca — gwiazdy prześliczne.

Nadedniem chmury przychodziły, i nawijały się z powrotem — i deszcz padał, i nikt nie wiedział, wstając, że w nocy była pogoda. Oni jedni wiedzieli jak mało jest nocy bez gwiazd.

Kiedyindziej niebo trzymało w sobie blaski dnia długo w noc. Było tak bławe jak skrzydła motyla modraszka, a gwiazdy na niem nieczęste, kropliste, podobne rosie. A też i tak było, że w ciemnych jak otchłań lazurach nocy roje gwiazd leciały skośnem błyskami.

Gwiazdy oblegały ich, siadały psu na nosie, Nikodemowi wpełzały w uszy, w oczy, wieszały się u rąk.

Jedne były białe jak śnieg, płaskie jak pieniążki. Inne jeżyły się od ostrych promieniuszków. Inne były złote, a dla niepoznaki mieniły się fiołkowo i czerwono.

To znów składały się po niebie w znaki tajemne, w figury zwierząt, wozów i skrzydeł, i ciągnęły ich w siebie. Nikodem nie czuł w takie momenty ziemi pod sobą — i horyzont był na dole, a on był między gwiazdami.

— Lord — mówił wtedy przerażony.

Lord, siedzący obok, podnosił łapę i kładł ją na piersi pana. I patrząc przed siebie na wszelki wypadek, z zamkniętą paszczą, wewnętrznym szczekiem, dawał niekiedy mrukliwie o sobie znać podejrzanym cieniom nocy. Aż póki nie zaczęły przemijać. Bo teraz latem świt nadciągał bardzo wcześnie. Oto z nocnej głębiny wyleciał, wybuchnął, wszczął się jak pożar głos ptaszka:

— Ci-czyt! ci-czyt! ci-czyt- Czylititi — czylititi — czyriti — czyriti.

Staw, dzwoniący od żab jak szklany klosz przestał brzmieć. Coś trzasło. Krzaki nad wodą szepnęły.

Daleko w ogrodzie kukułka zakukała: — Ku-ku, — ku-ku. — Nadpływała stamtąd gęstwiną, czyniąc łomot śród gałęzi. Rzeźkie i porywcze przebudzenie hałasowało w sadzie. Na śniadej zieleni dały się widzieć białe kwiaty jaśminu. W zbladłe niebiosy nadpłynęła zorza. Pod nią nucił skowronek. W lipach zagwizdała wilga: — Fiju-fiju-fiju. — I jeszcze raz inaczej: — Fiju-fiu-fiju. — I nakoniec gwizdnęła z drwiną: — Fiu-fiu!

Samica wilgi wdzięczyła się niepowabnie:—Kriau! kriau!

— Ciok! — krzyknął wróbel.

— Ciok! — i — ciok!

— Cwiok-cwik. — Ciok-twik. Twik-ci. Cik-ciok-ciok-ciok. — Wrzeszcząc, spadły wszystkie na drogę. Wytarzały się w pyle — narobiły piekła — zakręciły łebkami w sto dwadzieścia dziewięć stron i wpadły na wierzbę. Śród surowego i pachnącego brzasku słońce wyjawiło się śpiesznie.

— Tir-tir — Tiiir — Tir — Tir — Tiiir! Cze-cze-cze-cze. Tcik-tcik. Tcik-tcik. Tiritata—Tiritata. Jak jest mokre, jak jest czerwone, jak jest soczyste! Lecz bardzo prędko stało się suche, złociste i gorące. Nie dało już na siebie patrzeć.

Lord i Nikodem powstawali w blaskach z topieli ros i brnąc przez kwitnącą koniczynę, szli do swoich dziennych spraw. Do swoich ciężkich dziennych spraw.

Tego lata pewnego dnia stary owczarz Szymandera umarł. Nikodem go umył i ubrał do trumny, i płakał nad nim swemi trującemi łzami.

Dwór sprawił pogrzeb, na który wszyscy poszli. I wszyscy też widzieli, że Trzepaczycha nie mogła dośpiewać pieśni: «U drzwi Twoich stoję Panie». Jak doszła do «Czekam na Twe»..., to ją coś rzuciło na rów — aż nogą po kolana wpadła w pokrzywy. Ludzie mówili tego dnia o mleczarzu Dyonizym i o stróżu Nikodemie, że mają sobie zadane.

Żeby znaleźć, gdzie wraziła te pakuły, albo nici, czy jak skręt, może stążkę, lub jakie inne rzeczy, przez które ich uroczyła, — wnetby ich niemoc odeszła.

Tej nocy Nikodem okropnie się smucił. Miała teraz w stancji po starym owczarzu osiąść jedna, co się zgodziła na komorne za dójkę — i spała dotąd tam gdzieś z kurami, bo nie miała gdzie. Była to nędzarka, co miała ze czterdzieści lat. Ani ładna, ani też brzydka, lecz sobie zdrowa baba, co mogła jeszcze dobrze chłopa w nocy napocić.

O rozpaczy, rozpaczy.

Umarł taki, co na niego dobrem okiem patrzył. Chociaż stary a stary — właśnie przez to jakby ojciec, albo też dziaduś.

A teraz przyjdzie baba, co będzie ze wzgardą swą zdrową gębą na niego spozierała. Jeszcze to, że jest Lord. Lecz cóż tam znaczy pies wobec człowieka? Nie będzie drugiego, coby się tak z nim stowarzyszył jak stary owczarz. Byłby może, żeby naopak wszystko wywrócić — żeby był kto taki młodziutki, jakby naprzykład syn.

Żeby się był ożenił przed niemocą, miałby syna coby może był dobry i nie wzdragał się jego ran.

Wędrując wokrąg dworu śród szumu nocnych wiatrów, przypomniał z nieobaczka, że wszak miał syna.

Okropnie dawno, kiedy mu było może z osiemnaście lat, była z nim taka dziewczyna, Mania. Miała przecież od niego chłopca i po rękach go całowała, żeby przyznał. To on się z niej naśmiał i podał ją na wstyd, mówiąc wszędzie, że tak samo czyni z drugimi, co nie była żadna prawda.

Wspomniawszy to, Nikodem bił w ciemnościach zgniłym łbem o drzewo — dziwiący się i żałujący, że taki był zatwardziały i bez litości. Nie ona jego ale on by ją ninie całował, nie po rękach, a po nogach, żeby mu to dzicie była zostawiła. Lecz niema już ni jej, ni tego dziecięcia, zgubiła się aż we Warszawie, a ono jakoś umarło. Ileż to lat minęło, aż do tej nocy, gdy poznał, że jest w śmiertelnym grzechu. Teraz mu ten wianeczek był cięższy, niźli jej tamto dzieciąteczko.

Ukląkł więc na krajuszku sadu i w chłodnych przeciągach świtu mówił: — Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nade mnom — a któregoś pojon do swy chwały, wieczne odpoczywanie, racz mu dać Panie, a światłość wiekuista, niechaj mu świci na wieki wieków, amen.

Lord wył.

Następnego dnia koło jedenastej godziny Nikodem, kosząc daleko w polu rowy, doznał tego, co się nazywa, że go tknęło.

Nie, żeby kiedy słyszał jakie dźwięki od budy

Lorda. Lecz w samej rzeczy dnia tego zanadto nic nie słyszał. Sam nie wiedział, coby miał słyszeć, lecz to, co było, było okropne. Była to śmiertelna cisza. Zeszedł raniej z pola niż było można — i poszed do budy Lorda. Lorda nie było w budzie.

Nikodem znalazł go w i s z ą c e g o na starym płocie między dworskim ogrodem, a drogą do starej wsi.

Pół siedząc i pół leżąc, miał przednie nogi wyprężone, o włos od ziemi. Wisiał na swoim własnym łańcuchu, który mu się okręcił dwakroć koło szyi, a jakiemś ogniwem zaczepił się na kołku płota.

Nikodem najpierw go wołał, potem go szarpał. Wielkie złociste muchy zerwały się od przymkniętych oczu psa i krążyły melodyjnie, lgnąc zarówno do zwłok Lorda jak do wrzodów Nikodema. Stróż usiadł w pokrzywach przy trupie swego jedynego przyjaciela, swego żarliwego wyznawcy, swego młodego, miłego psa.

Obejrzał łańcuch i przeklinał siebie postokroć, że wiedząc dawno, jaki jest zardzewiały, nie prosił pana o nowy.

Ze zgrozą patrzył na płotek, przez który sam nauczył Lorda skakać, — i przeklinał dwór, że nie postawili tu nowego, pięknego częstokołu.

— Poco ci było skakać, psiuchna, poco ci było skakać? — pytał. I zaraz zrozumiał, poco.

Na drodze opodal siedziała żółta suka młynarza, patrząc z przestrachem na zwłoki kochanka.

Przez nią Lord znalazł siły, żeby nareszcie przerwać łańcuch. Poznawszy jak rzecz była, Nikodem tembardziej cierpiał i podnosząc z drogi kamyszki, rzucał

w tę sukę. Za każdy razem odchodziła nieco dalej, i siadała znowu, siadała znowu, siadała znowu.

Nikodem zaraz pochował Lorda cichaczem, w tym samym kącie ogrodu pod krzewiną, ładnie, koło kwitnących wiesiołków.

Na południe, wcale nie idąc na obiad, poszedł do domu. Nic nikomu nie powiedział o Lordzie, tylko zdrzymnął się cokolwiek na kożuchu.

Ale kiedy już dzwonili do roboty, wstał — wziął piękny kij, który został po Szymanderze. Prócz tego jeszcze stare buty — a więcej nic. Kożuch zostawił, bo był dworski. Z temi butami i z kijem poszedł drogą w sam skwar ku Tykadłowu.

Wszyscy widzieli tę postać, kroczącą nieinaczej tylko na stary kościół. Kobiety wybiegały przed chałupy, a ludzie w polu popostawali na mgnienie.

Wszyscy wiedzieli, że się coś zrobiło z Nikodemem.

— Teraz — mówili — pójdzie na jakie przepaści, na rzyki, oślep na wszystko — bo go już widać do reszty opętało.

Nikodem szedł przez ten czas coraz dalej, niewiadomo dokąd, ani też do kogo, lecz niewątpliwie w stronę kościoła Tykadłowskiego. Po drodze schylał się, podnosił pacynki i kamyszki, a potem rzucał je to na rów, to przed się, to gdziebądź.

I za każdym razem przemawiał do nich zaczepnie, kłoptliwie, i nadaremnie, mówiąc te słowa:

— Jo tyż jezde człowiekiem — wisz?

Rzucał je mocniej, zaciekle, i znowu mruczał.

— Jo tyż jezde człowiekiem. Jo tyż.

Był jaśnisty dzień, lecz Nikodemowi przedstawiało się, że to jest noc, więcej nocna, niźli te wszystkie, które strawił z Lordem na stróżowaniu.

Nie dzień, ale prawa noc rozpostarta szeroko i długo.

Noc ponad światem.

POCIESZENIE

Do połowy czerwca było wciąż bardzo zimno. Zaś od połowy nastały takie upały, jakie rzadko bywają w żniwa. Ptactwo milczało i tylko brzęk niestrudzonych owadów rozlegał się w zgorączkowanej zieleni.

Bojąc się nadejścia jeszcze większej spieki, albo żeby się znów nie obniosło na deszcz, zaczęto na gwałt prać owce. Stelmach nastawiał zagród z brzeziny koło podwórzowego stawu i wganiali w nie stado po stadzie.

Owce kotłowały się i usiłowały zepchać i skupić się conajciaśniej. Jagnięta zdawały się być przylepione do boku swych matek — lecz oddzielono je i zamknięto gdzieindziej. Unudzone beczenie napełniało melancholją dotkliwy upał poranka.

Wypuszczajac ostatnie stado z owczarni, Wityk chwytał się gniewnie za serce. Nie wiedział co się dzieje z tamtemi, które już poszły, bał się, czy im co nie zrobili i serce przestawało mu bić od tego.

Po drodze, wytężając wzrok zobaczył zdaleka, że ludzie biegają niepotrzebnie pomiędzy zagrodami — i że trącają żerdzie.—Pozlękane owce wszystkie razem

jak jedno wielkie runo, mające tysiąc nóg, tłoczyły się w coraz to inny kąt swego wątłego więzienia.

Wityk zrobił się wiśniowy na twarzy.

— Już je psie krwie postraszyli. — Żyć nie dadzom stworzeniu — zamruczał i posłał tam swojego psa. Biały kundel popędził sprytnie do chłopaka, który się z umysłu owcom sprzeciwiał, ugryzł go i natychmiast wrócił do swego pana. Wszczął się wrzask o rozdarcie ubrania i draśnięcie aż do krwi.

Lecz ważniejsze sprawy go rozproszyły.

Chudy owczarz sam teraz miotał się naokoło — wiewając parcianemi spodniami i koszulą, pod któremi zdawało się nie być człowieka. Mizerna twarz ozdobiona ciemno-niebieskiemi zirytowanemi oczami co niejaki czas posępnie czerwieniała.

— Zagnej — krzyczał do swego psa. Zagnej! Zagnej!

— Sam jom wegnej! Weź jom ha! Bierz go tryka!

Pies, który nie miał imienia, spoglądał roztropnie, rzęził, kopał trawę tylnemi łapami i zaganiał owce hałaśliwie, ale skutecznie.

Ludzie wkraczali już do wody, na której leżały cienie wierzb, rosnących gnieniegdzie na brzegu.

— Jaki tu pioch — mówili. Inni oznajmiali, gdzie nastąpili na kamienie, gdzie jest szlam i gdzie głębia. Staw ruszał się, cofał, odchodził i szperał wodami po brzegach.

Wszczął się pospieszny zgiełk i rozpostarł nad całym folwarkiem.

Owce śpiewały już poprostu na tony grube i cienkie. Wityk ryczał:

— Nie z ty bierz! Nie z ty bierz! Zawrzyj! Zawrzyj, zło krew, bo mi jagnioki wypuścisz.

Pies usiłował przeszkodzić wszystkim czynnościom tego dnia. Naszczekawszy się na ludzi, owce, i wodę, gryzł korę na wierzbach, a wreszcie z niemałym wysiłkiem, przedarłszy się przez jakieś kolczate zarośle, wynurzył się naprzeciwko po drugiej stronie wody. Stamtąd oszczekiwał w dalszym ciągu piorących. Nakoniec obaj z Witykiem ochrypli i uspokoili się nieco. Wszystko ucichło cokolwiek na małą chwilę. Czuć było tylko duszny zapach mokrej wełny, a woda pluskała i chlapała.

Po tej chwili krzyki wzmogły się znowu.

— Skopy! Skopy! — Zaczynaj od maciorków! — A dy ta maciorka kotna!

— Dalij, prendzy szoruj! Puść jom. Nie tam! Nie tam!

— Gdzie mosz rozum? We łbie? To co robisz cholero!

— Dowej! Dowej!

— Nie moczejta im pysków!

— Bierz jom! Bierz jom!

Pan się pojawił naprzeciwko po drugiej stronie stawu, cały biało-złoty w kitlu z surowego jedwabiu.

Skarbowana woda wydłużyła wnet i pokrajała jego odbicie, tak, że podeszło aż do ludzi i tu im się u kolan zniweczyło.

Nie była to rzecz przykra, że się w taką gorączkę stało we wodzie.—Niejeden ruszał się niby z powodu roboty, lecz w istocie rzeczy brnął sobie dla

niczego w coraz to większą głębię, a zimna krawędź wody jak miłe pocieszenie wznosiła się coraz wyżej, chłodząc rozpalone ciało.

Dwóch ludzi ciągało owce do wody po deskach od cheł.

W wodzie szarpali je i szorowali, a one pobekiwały przerywanym głosem, a potem biegły zachłyśnięte, ociekające, nieprzytomne przez pustą zagrodę.

W dwa dni wszystkie były zeprane.

Woda grzała się znów pod słońcem szara i zamącona, ale już gładka. Łąkę za stawem owce zmoczyły tak, że trawa zaczęła na tych miejscach pod płomienistem słońcem żółknąć i gnić. Gliniasty brzeg, podziobany w dołki ludzkiemi i owczemi stopami, stwardniał na nieprzyjemną grudę.

Zaczęto strzyżę w stodole za okólnikiem.

Wityk był zgrzany i zły. Ręce mu latały, siniał i tracił dech. Musiał pomagać wiązać owce do strzyży, a tak mu było stworzenia żal, że aż tupał.

Co cięcia wełny brali nie same kobiety, ale owszem także i mężczyzn, o ile tę niełatwą rzecz dobrze umieli. Strzygł nawet jeden fornal.

Stado kłębiło się w pustych sąsiekach, a ludzie siedzieli na klepisku i każdy miał związaną owcę między nogami.

Olbrzymie płaskie nożyce, które się zawdziewało na całą garść, szczękały, a ich nie naoliwione szrubki wydawały ostre piśnięcia. — Ludzie odrzucali wierzchem dłoni zesuwające się runo. — Niekiedy rozmawiali, opowiadając sobie co tłustsze rzeczy do śmiechu. Lekkie echo dźwięczało po podwórzu, odzywając

się osobliwie mocno z pod kręgów żelaznego walca, rdzewiejącego w pokrzywach pod starą szopą.

Był tęgi upał. Na twarzach robotników świeciły mętne krople potu jak wysypka. — Za wierzejami stodoły w głębokości płowych od gorąca niebiosów czyniło się, jakby nad horyzontem kwitły blade róże.

Patrząc na to, kobiety, które więcej uważają na pogodę, zaczęły mówić:

— Bydzie grzmiało. — Tak pra — tak pra, że niepodobno wytrzymać. I niewyraźna groza ulatała z tych słów.

Ktoś westchnął i zaśpiewał:

Żeby te kamienie na polu nie były,
żeby sie sieroty na świet nie rodziły
bo chto idzie drogom, kopnie kamień nogom,
tak i mnie tyż teroz sierote ubogom.

— Kumu sie ta chce śpiewać na taki żar. Marynka? Jei ta zawdy do śpiewu.

Cięte owce beczały niekiedy z obrzydzeniem, podnosiły głowę, i usiłowały zobaczyć, co się z niemi dzieje.

Lecz składały ją zaraz na czyjemś kolanie, albo na ciepłem klepisku, przymykając znużone oczy.

Kiedy ostatnie owce zostały powiązane, Wityk stanął u wrót stodoły, a potem usiadł na różowawym kamieniu. Biały pies okrążył miejsce, na którem dotąd stał i położył się, stęknąwszy niegłośno.

Obaj z panem patrzyli nieruchomo na olbrzymie pole jeszcze zielonej pszenicy, po którem płynęło niewyraźne blade falowanie.

Pies ziajał, odrzuciwszy niedbale jęzor na bok

paszczy. Czasami zamykał pysk, przełykał mocno ślinę i zdawał się chwilę nie oddychać.

Na miejsce, gdzie siedzieli, nasunął się ruchliwy cień wielkiej topoli, stąd niewidocznej. — Nadchodził wieczór.

Zobaczywszy ten cień, Wityk wstał, a pies podniósł się także natychmiast.

— No to tera sie moge napić — rzekł owczarz i zanurzył kwartę w wiadro z wodą.

Pies, nie spiesząc się, zajrzał też ostrożnie do wiadra i oparty jedną łapą o jego brzeg, liznął ostrożnie powierzchnię, w której roztrącało się jego odbicie.

— Poszoł — psia wiaro — poszoł! — ryknęli ludzie z głębi stodoły.

Pies odskoczył lekko i cicho.

Wityk spojrzał bez radości na stosy worów wypchanych wełną. — Powiedział z bezmyślnem zmęczeniem.

— Tyla umordowanio i co chto z tego bydzie mioł.

I czuł że mogłoby co z tego dobre być, lecz nim się dojdzie jak — świat ten zaginie może.

Przyznawał jednak, że chyba najlepiej będą z tego miały owce. Chodziły teraz białe i wysmuknięte — jak te, które w kościele wyobrażają Baranka Bożego. Krótkie runo czyniło je podobnemi do jagniąt, młodemi i wesołemi.

Wityk obliczał sobie za ile czasu wełna im poodrasta — lecz nie miał już tego zobaczyć.

Jednego dnia na południe przed samemi żniwami ludzie zaczęli pytać:

— Co to ten Wityk dzisiaj wcale z owcami nie przyszedł?

— Widać daleko gdzie pasie, może mu obiad zanieśli — tłumaczyli drudzy.

Nadszedł włódarz i też się bardzo zdziwił.—Powiedział, że Wityk pasie, tam gdzie codzień, na ugorze koło Czajkowa, nie tak daleko, by miał nie przyjść.

Zrobiło się nieprzyjemnie.

— Owce nie przyszły, zawiadamiali się ludzie, przy spotkaniu.

Kośnicy przestali klepać kosy — a gdy ustało to kołatanie, uczyniła się złowroga, oślepiająca cisza.

W leniwym brzęku płoszonych owadów, naprzełaj przez miedze, zaczepiając się o dzikie wiczki ludzie pobiegli na miejsce, gdzie Wityk pasł.

Był to ugór między pszenicą, a pszenicą. Nikt blizko nie robił, nikt nic nie widział.

Wityk leżał na wznak tuż przy dojrzewającem zbożu.

Pies siedział przy nim i łapał muchy. — Owce pasły się w milczeniu na ugorze.

Zobaczywszy ludzi, kundel podbiegł do nich, lecz zaraz wrócił do pana i znowu przy nim usiadł.

Dano co żywo znać, i wóz, pędzący galopem, zatrzaskał przez podwórze.

Ludzie wybiegli z czworaków.

— To po Wityka pojechali!

— Po kogo?

— Po Wityka. Widzieliście jak po Wityka jechali?

Witykowa stała na tym wozie, podrzucana do góry, trzymając się kurczowo drabek.

— Zbawicielu! — krzyczała całą drogę. — Zbawicielu! Zbawicielu! Zbawicielu!

Przywieźli go ostrożnie i położyli na ziemi koło kuźni.

— Serce słychać? — zapytał pan.

— Słychać jeszcze — odparli bez tchu, suchem gardłem, ci co go przywieźli.

Wpadali na siebie, biegając dokoła nieskutecznie.

— Niech ta jeden skoczy co duch do dworu po panią!

— I eteru mi przynieść! Co duch eteru mi przynieść!! — krzyczał pan.

— Ziemiom go przyrzucić do pół piersi.

— Ziemia wyciągnie.

— Mokrej ziemi mu na głowę położyć. — Musiało go słońce porazić.

— Wodom go! Wodom go!

Przybiegł kowal. — Zaczęli na niego pryskać, wyciągnęli mu język, przykładali mu ucho do piersi.

— Eteru, krzyczał pan, wznosząc swą głowę z ponad Wityka.

Pobiegł do dworu jeden. — Pobiegł drugi. — Pobiegł trzeci. — Pobiegli wszyscy.

— Eter! Eter! dźwięczało po chłodnych pokojach.

Pani z panienką pobiegły szukać. Ludzie chodzili za niemi krok w krok, chlaszcząc bosemi stopami.

Wszystko się znalazło — lecz nic już nie pomogło, gdyż Wityk już umarł na zawsze, zupełnie i ostatecznie. Już nawet ciało stygło.

Wityczka płakała, bijąc głową w proch, na którym spoczywał mizerny owczarz jak śniady cień człowieka.

Pan rzekł: «uspokójcie się»—i chciał ją podnieść.

Wityczka obróciła na niego twarz zmaczaną łzami, a zęby jej wyszły na wierzch i oczy też.

Krzyczała, chrapiąc:

— Żeby zaraza padła na wasze owce, co mi sie przy nich zaharował.

I wyła w piekącą przestrzeń:

— Co chto z tego mo!! Co chto z tego mo!!

Ludzie się oburzyli, gdyż nie o pana szło, ale owce nie były winne.

— Ogień mu sie przyćpił do serca i bez to musioł umierać — rzekli.

Dźwignięto go na wóz — pousadzali dokoła płaczące dzieci.

Mimo tak strasznej boleści Wityczka nie chciała wierzyć, że jej mąż umarł i nie kazała nic do pogrzebu szykować.

Nie, przeciwnie. — Włożyła ciało pod pierzynę, muchy gałązką z niego oganiała, i kazała dzieciom być cicho, żeby Tatusia nie męczyć płakaniem, bo bardzo chory.

Uprosiła, żeby ten sam wóz jechał zaraz po księdza z Tykadłowa i żeby go tu prosić z olejami, ale też z jakiemi lekarstwami, któremi tak cudowne rzeczy pomiędzy ludźmi czynił.

Sąsiedzi mówili ze zgrozą, że już zaduch się koło trupa robi, lecz przez litość przychodzili pytać, czy się nie ocknął.

— Ocknie sie, ocknie, odpowiadała szeptem. — Ino sie z tego ziąbu pod pierzynom zagrzeje.

— Trza ji to jako przełożyć -- naradzano się,

błądząc po drodze—bo na taki upał, ciało sie zacznie bez noc psuć — i trupiego jadu im w łóżko najdzie.

Ma się rozumieć, że Wityk powinien był być w trumnie.

Ci, co wracali o zmierzchu z podwórza, mówili, że już pan kazał trumnę robić, i że ją stelmach w wozowni zbija.

Nade wsią, nade dworem, nad sadem, coś milczało, jak milczy zawsze, kiedy śmierć jest w pobliżu.

Gdy się miało dobrze ku nocy, Wityczka w ciężkiej rozterce wyszła przed sień i usiadła na ławeczce.

Wtedy w zmroku dało się uczuć czyjeś zbliżanie. Był to biały pies Wityka. Zatrzymał się nieśmiało przy krzakach ligustru. Zawołany przyszedł, usiadł koło Wityczki i białą łapę oparł na jej kolanie. Tak siedzieli dość długo, aż nakoniec na drodze ukazał się Deresz, któremu kazano być za owczarza.

— Niema tu tego psa? — spytał. — Tak jakbym go tu widzioł?

Kundel Wityka wślizgnął się pod ławkę, a stamtąd nurknął po chwili w chróst, leżący koło chlewka. Wityczka weszła do izby. — Dwie sąsiadki ciemniały przy oknie w niemiłem oczekiwaniu. Dzieci spały.

— Ady ludzie kochane, rzekła Wityczka. — Jak ten piesek tak przyszedł i te łapke tak położył — to mnie zaro coś tkneło, że już mi ten mój prawdziwie życie skończył.

— Amen — odparły sąsiadki, wstając.

Wityczka weszła na stołek i zatrzymała zegar.

Nowy owczarz zajrzał przeze drzwi.

— Nie przyszedł tu ten pies? — zapytał.

— Nie, odparły i niezwłocznie zaczęły śpiewać.

Dobry Jezu, a nasz Panie,
dej mu wieczne spoczywanie.

Wtedy ktoś zapukał, wołając za przymkniętemi drzwiami: Ksiądz przyjechał.

Usłyszawszy dzwonienie Wityczka upadła przed progiem na kolana — i prosiła z płaczem księdza, żeby ciało pokropił, gdyż duszę Bóg już powołał do swojej chwały.

Nastała pusta noc i zeszło się dosyć ludzi, żeby czuwać i pieśni za umarłych śpiewać.

Nazajutrz rano wszyscy, kto chciał, mieli pozwolone iść na pogrzeb, a tylko bandosy robili w polu.

Graboszczanka i Paterkówna poszły do dworu prosić, że chcą narwać kwiatów. Najpierw powiedziały, że do kościoła, zaś potem, że na wianyszek na grób. Nadęte i zaspane kroczyły za pokojówką, gdzie im pokazała, że mogą rwać — zaś gdy wróciły, wszyscy już stali przed mieszkaniem Wityków.

Pan przysłał umajony wóz — lecz oni wóz ominęli.

Wityk skończył przy robocie, jak żołnierz, czyniący swoje dzieło, więc go robiące ręce będą niosły.

I choć to było trzy wiorsty do Tykadłowa, stanęło ich tylu do trumny, że nie na ramionach go nieśli, jak to bywa, lecz dłoniami go dźwignęli wysoko, a wysoko.

Nieśli go: pierwszy fornal Darajczyk, fornal Banasiak, fornal Majkowski, fornal Unisławski, fornal Kałużny, fornal Zimny, włodarz Posiłek, włodarz Bogusiak,

polowy Kaczmarek, stróż Ziajka, ręczniak Sobczyk, ręczniak Kuźniak, furman Paterka, ogrodnik Pachuła, stelmach Sikorski i kowal Szary.

Szli prędko z trumną, płynącą w żałobnym tryumfie nad ich głowami.

Kobiety nadążały z łoskotem spódników, ukrochmalonych na moc, a dzieci biegły steczką za rowem, sapiąc i mocno się pocąc.

— Idź z drugiemi dziećmi steczkom. Tam droga gładsza, to cię nóżki nie zabolom. — Prowadź go, Helcia, prowadź — mówiła Wityczka do młodszych dzieci — i biegła, dysząc za trumną, która jaśniała w żywem niebie, jak coś złote i skrzące.

Za wsią wszczął się duży wiatr, sypiący w twarze kurz. Zamykali więc oczy i szli oślep — uchylając tylko niekiedy powieki, by widzieć drogę. — Minęli kolonję Anielin i kolonję Helenów—a za Helenowem było już widać Tykadłowski kościół.

Słychać było głosy dzwonu, lecz nie ciągle, bo wiatr je kradł i odrzucał.

Wielka pieśń niewyczerpanej ufności wzmogła się i wzniosła się aż ku skwarnym niebiosom i pod niemi wołała:

Kto się w opiekę poda Panu swemu,
a całem prawie sercem ufa Jemu —
śmiele rzec może: mam obrońcę Boga
nie będzie u mnie żadna straszna trwoga,
żadna straszna trwoga.

Dźwignęli się na kościelny wzgóreczek i zamilkli. — Suwając się tu i tam i tupiąc uroczyście,

wkraczali w ciche wrota. — W ogromnych drzewach przy kościele brzmiał chrzęst, syk i szum wielkiego wiatru, od którego trzaskało w zawiasach, w ścianach, w krokwiach starej świątyni.

Postawili trumnę na katafalku tak ostrożnie i kłopotliwie, jakby się bali, żeby się biedny Wityk, co tak mocno upadł na polu, tu przynajmniej nie potłukł.

Po krótkiej cichej mszy proboszcz rzekł.

— Świętej pamięci Jan Wityk nastał do Rusocina po Szymanderze i służył tam lat sześć, a gdzieindziej dwadzieścia. Nie znał życia, krom pracy i tak się też w tej robocie utrudził, że go Pan Jezus wezwał nagle, żeby ochłodzić go, jako są Jego Święte słowa. Za duszę świętej pamięci Jana trzy Zdrowaś, trzy Ojcze nasz, trzy wierzę w Boga — amen.

Z wielkiem westchnieniem, klęcząc u ołtarza, zatoczył rękami, złożył je, aż klasnęły, i pocichutku się modlił.— Ludzie odmawiali modlitwy wyraźnie i wszyscy razem, — a kościelny chodził głucho koło ołtarza i gasił kapturkiem świece.

Wtem chłopak przejmująco zadzwonił. Ksiądz wyszedł z zakrystji i ruszył za krzyżem — śpiewając po łacinie.

Ludzie wychodzili z kościoła jeden za drugim, jeden za drugim, jeden za drugim, ustępując sobie, by się nie pchać. — Nakoniec ruszyła się trumna.

Już było jakby wszyscy wyszli, lecz w pustych drzwiach znów się ktoś pokazywał i jeszcze szedł, a szedł.

Koło dzwonnicy siedział żebrak, modlący się głośno.

W prostaczej czci dla ubóstwa schylali się i dawali mu swój grosz, a on potrząsł czapką i mówił:

— A odpuść mu jego grzechy, imo, że niespodzianom śmierciom bez Noświntszego Sakramentu skonał — Panie Boże zapłać — Panie Boże zapłać.— A przyjmij go do prawicy, imo, że nagłom śmierciom upod — Panie Boże zapłać, Panie Boże zapłać — od nagły, a niespodziany śmierci zachowaj nas Panie.

Skręcili teraz na lewo — i powitały ich szumy zadrzewionego cmentarza. — Zatrzymali się w miejscu, gdzie pacyny świeżej gliny przygniotły ciemną zieleń.

Ksiądz szeptał modły, a rodzina Wityka płakała.

— To już i po Wityku — rzekli do siebie dworacy z Rusocina. Za co mu Pan Bóg tak dał, że musioł nagle skończyć?

Stara Kuczyna rzekła: — Ady jeszcze go widze jak stoł w ty stodole, gdzie my to owce strzygli. — Okropnie sie wtedy umęczył — jeszcze tak wzion kworte i powiado: «Tero sie moge napić».

Gdy wszyscy już się rozeszli, żebrak z pod kościoła, zabrawszy się ze swym kijkiem, też także dokądś ruszył.

Szedł sobie cały na ukos, jakby go wiatr z tej ziemi zmiatał, i żegnał się, i śpiewał — ustając często, nabierając tchu.

Lecz śpiewał wciąż na suchym wietrznym skwarze pieśń o duszy, rozstającej z ciałem.

— Gołębica już wylata,
szukający swego świata —
szukający pocieszenia

i swych grzechów odpuszczenia —
Lesie, lesie, przyjmij że mnie,
bo Pan Jezus nie wi o mnie.
I upadła na dębie,
dybiom na niom jastrzębie —
i upadła na wiśni,
Krogulec na niom myśli. —

Zamilkł i zmówił po trzykroć «Wieczne odpoczywanie». — Poczem podjął, dysząc, swą odysseję duszy poszukującej.

Wodo, wodo, przyjmij że mnie,
bo Pan Jezus nie wi o mnie. —

Drogą naprzeciwko szli ludzie Tykadłowscy, którzy nie byli na obrzędzie, lecz wiedzieli — i pytali się teraz:

— Już go pochowali?

— Już, już—odpowiadał dziadek. Już po wszystkiem — i chwilę trwało milczenie.

Minąwszy ludzi dziadek krzyczał pod wiatr;

I upadła do rzyki, warły na niom szczupoki,
I upadła do jeziora, goniły jom do wieczora.

Aż nareszcie, łykając gorzki kurz, zakończył ów swój śpiew.

ogniu, ogniu przyjmij że mnie,
bo Pan Jezus nie wi o mnie —
I upadła do ognia, szukający ogrzania,
i nalozła płominie —
już w tem ogniu nie zginie. —

Teraz szedł milcząc i wybrnął daleko po za wieś. Były tu zboża, miotające się płową falą na wietrze,

który się rozbijał o dwie bardzo duże grusze— a też, o zarośla na rowie.

Macając kijkiem, kłując na wylot w jeżyny w tarninę, w lekkie, jak złoty kurz, miotły przytulji, śpiewający dziadek wybrał miejsce, gdzie można było w ten zarośnięty rów nogą stąpić. Tedy, jak nie wiadomo dokąd szedł, tak nie wiadomo czemu iść przestał i na tym rowie sobie pod gruszami usiadł. Wiatr tu nie zalatywał tak mocno — czasem tylko zatargał wszystkiem zielem, a małe dzikie gruszeczki spadały wtedy dziadowi na ramiona, hycały po nim, jak żywe.

Siedząc w pachniącem zielu mówił do siebie:

— Jak tyż to urosło wszędzie, jak to urosło. Jako to ta zimia tutek tłusta.

Patrzył z wesołem uznaniem na olbrzymią kolącą szczeć—na dzikie chmiele, uczepione do wszystkiego, co tu wzrastało, na białe powójki, spływające z tarniny, na śmierdzącą różową wilżynę, na rumiany, pachnące dobroczynnie, na purpurowe maluteczkie gwoździki — na wszystko inne, bardzo kwitnące. Pochwalił całą duszą to bujne życie.

— Piękne lato — rzekł głośno. — Dzięka Bogu, żeśma doczekali. Dzięka Bogu. Dzięka Bogu.

TRYUMF DYONIZEGO

Dyonizy należał do pięknej rodziny Unisławskich i nie wyrodził się z nich wcale.

Był wysoki, wyższy nawet cokolwiek od swego brata, Ludwika, mającego też dobry wzrost.

Szare oczy Dyonizego patrzyły na świat wyraźnie i z przyjemnością, jaskółcze brwi rozciągały się uroczo w czystej wysokości czoła, rysy oblicza były ozdobne, chociaż ostre i krzepkie. Policzki zniżały się śmiałemi, gładkiemi skłonami do szczęk, ciemne, życzliwe usta jaśniały gwiaździstemi zębami w przychylnym uśmiechu.

Zarostu nie nosił, golił się dokładnie, modą włościańską, tak jak wszyscy Unisławscy. Lecz długich włosów, jak gospodarze ze Starej wsi — nie zapuszczał. Miał się był, jak mówili, żenić — gdy nagle zachorował. Leżał bardzo długo, chyba że z rok.

Okienko tej komory, gdzie spoczywał w męczarni, bladło i ciemniało wieleset razy — przeminęły za niem wszystkie pory długiego roku, przetoczyły się za niem wielorakie hałasy, roboty, muzyki, wesela — rozpacze i pociechy — nim wreszcie Dyonizy wstał. Wstał jako cień obdarzony ciężarem ponad siły — obdarzony garbem.

Trzeba było przeżyć gorzki dzień, gdy się pierwszy raz wyszło między ludzi z grzbietem nastroszonym jak u przerażonego kota. Lecz dzień ten się przeżyło, a za nim zaczęły sunąć inne.

Dyonizy błąkał się, słaniał jak udany za stracha z dziecinnych bajdów — jak przemieniony niepodobną do wiary mocą.

Ma się rozumieć szukał jeszcze ratunku, to u znachorów, to u starego księdza z Tykadłowa.

Ksiądz probował na różne sposoby, czy nie dyabeł jest przyczyną niemocy, lecz nic się nie okazało. Doszedł tedy, że może to suchoty. Kazał Dyonizemu okręcić się w sadło i jeszcze tak trochę poleżeć. W sadle zalęgły się robaki, a garb nie odstał.

Wówczas na intencję Dyonizego została odprawiona msza święta, a po niej stary ksiądz wołając go za sobą — kazał wszystko Panu Bogu ofiarować.

Gdyż to jest albo kara, albo to jest próba, po której przyjdzie radość, jeśli nie na tym, tedy na tamtym świecie.

Kara, czyli też próba, nie zostawało nic jak nieść ją, milcząc, i nie pchać się między drugich z ponurego ubocza, na które go wyrzuciła ta klęska.

Tak myśląc Dyonizy gotowy był nawet żebrać, pospołu z tym dziadem, co siedział przy cmentarzu — lub dożyć gdzie na łasce swych dni — modlący się pocichu.

Tymczasem okazało się, że ubocze to nie leży jeszcze tak daleko od innych ludzi.

Ratajem już być nie mógł, bo do wołów potrzeba nie tej siły.

Lecz gdy pewnego dnia błąkał się po podworzu i ziewał, pan przechodzący mimo — stanął i spytał:

— No, dobrze, a kto będzie za was mleko wozić? Będziecie tak chodzić i nic nie robić — a ten Józka będzie mi mleko paprać?

Mleko woził był stary Unisławski, który umarł niedawno. Miał takie same imię Dyonizy, i gdy już nie mógł kosić, długo tu był na stare lata przy mleku. Tak długo, że gdy po nim wzięli narazie jednego chłopca, Józkę — to jak on wracał z miasta, ludzie mówili: «Doniży już jedzie».

No więc teraz mogli mówić tak samo, jeszcze lepiej, bo znów prawdziwy Dyonizy woził mleko.

— Jak wy bydziecie jeździć, to możno bydzie dać na jaki sprawunek. — Ten Józka to mioł głowę, jak rzeszoto, cieszyły się kobiety.

Zaczęto mówić mu wy — i Dyonizemu nie było to przykre.

Gdy pierwszy raz o świcie wyprowadził ze stajni młodą srokę i pchał ją lekko między dyszle płaskiego szarego wózka domowej roboty — zdawał się nawet dosyć wesoły. Wyszarpał garść zielonki z brogu pod stajnią — i tę garść soczyście woniejącą zranionemi trawami dał gryźć kobyle. Przychwytywała kłębuszki zwiędłej koniczyny, usiłując jednocześnie wypłuć pozielenione wędzidło.

Dyonizy powiedział wtedy:

— Póki jeszcze człowiek może co robić i zarobić na siebie, to nimo się o co wadzić.

Lecz mówiąc to nie wiedział, że będzie się jeszcze wadzić przez czas niejaki.

Dopiero co wszystkiego się odrzekał, dobre mu było choćby pod kościół iść. — Za nic był mu świat. Tylko Bóg i modlitwa.

Tymczasem nawrócili go na jakąś drogę, po której chodzą inni, prości i zdrowi.

Nie chciał na nią włazić — nie parł się z powrotem. — Najnędzniejszy dziadowski żywot byłby mu zadość.

Lecz gdy już wszedł między drugich, — tedy to, czego się nawet nie spodziewał że osiągnie — było mu jakby nie dosyć. Zaczął się swarzyć i złościć.

W oborze, przy doju, na wózku, w drodze do piwnicy, a potem przed piwnicą — śród stukania skopków — szczękania baniek — ciepłego szelestu mleka słychać było ciągle jego dąsy i gniewy.

— Powązków — narzekał — jak się należy nie pospierajom i mliko się zaś kwasi.

— Kwasi się, bo niedochłodzone — odgryzano mu się niekiedy.

— Żeby nie wiem jak chłodzić, to się skwasi, bo powązki brudne, a brudne.

A gdy milczano, krzyczał tem głośniej:

— Bańków tyż nie uszorujom! Kły jedna z drugom do kozoków suszy, a roboty nie patrzy.

— Wiechcia żadna nie ukręci, żeby dydki krowie obetrzyć, a zaś późni mlika docydzić nimożno.

I wymierzał swój najmocniejszy cios:

— Wielmożna pani dziwki porozpuszczała — bo im nic nie mówi. — Wyży brode noszom jak nos. I tak.

Podobnie wrzeszcząc dnia jednego urwał, bo zobaczył, że te dziewuchy skrycie na niego płaczą.

Rozczulony i zdumiony, wepchnięty jakby z powrotem w serdeczne gniewy z dziewczynami, o czem już był zapomniał — przycichł na krótki czas.

Przyczajona złość odezwała się niebawem, lecz wywierał ją teraz nie na dziewuchy, a bardziej tak na świat cały.

O czwartej rano przychodził codzień pod pana okno po książeczkę na sprawunki i po drugą do mleka.

Stukanie jego zawsze tak samo powstawało śród wielkiej ciszy, trwało niewiele czasu i wzbudzało wgłębi domu głuchy bas, który mówił:

— Zaraz — zaraz...

Poczem lufcik otwierał się — zaczynali rozmawiać z panem głosami, obleczonemi w echo.

Pan rozglądał się i pytał na jaki dzień się ma.

Godzina była czasem wtedy strumienista i prawdziwie różana. Powietrze cięte głosami wróbli, było lekkie i czyste. Lecz dla Dyonizego zawsze groziło burzą, zawsze deszczem, albo suszą nie w porę — zawsze było paskudnie.

Kusiło go też ponownie, by rzucić wszystko jak był zamierzał i iść pod kościół.

Ale od tego odwodziły go znów inne dnie. Znachodziło się w nim coś niepojęte — co jakoby z jego nieszczęściem walczyło.

W dnie takie wstydził się, że mając tyle jeszcze w sobie piękności, zdrowia, siły, chciał był nie na świecie, a około świata siedzący żebrać.

On, przez którego dziewczyny płakać jeszcze mogły — a one tak nie zapłaczą — przez tego kim wzgar-

dzają! Jak na początku wcale już nic od nich nie chciał—tak po tym płaczu bywało mocno inaczej.

Nastręczały mu się jakieś tam zamiary, nawet roztropny ożenek był na widoku. Lecz potem znowu sam to wszystko rozbijał i obalał, i o wszystko rozpaczał, o to nawet że się nocą na przepotniałych betach nie mógł na wznak jak drudzy ludzie położyć.

Gdy już się domordował z boleścią do niepodobnych granic, granice te okazywały się skrajem pocieszenia.

Słońce uporczywie świeciło dzień w dzień na takie, czy na inne jego usposobienie.

A jak był czas, że nie świeciło, to tak różne niebiosa nad głową mu się snuły, a bławe powietrze to ciepłe, to całe w ptaszych śpiewach, to mroźne — tak przychylnie owiewało plecy Dyonizego, czy tam były proste, czy krzywe.

Może to prawda, że dużo rzeczy przestało dla niego być — lecz pokazały się rzeczy drugie — i pocieszały go niememi zabiegami.

Osobliwie mocno działały te uroki, gdy wytaczał się ze swym wózkiem na szosę. Jedni ludzie zostawali za nim, do drugich jeszcze daleko — sama rozległość świata i jego cisza towarzyszą Dyonizemu. Jechało się noga za nogą. To już nie te czasy, kiedy człowiek do czegoś leciał w popłochu, że nie nadąży.

Teraz się suwa pomaluśku, smakując kęs po kęsku — ten świat, tę pogodę, te rzeczy dawniej bez uwagi poopuszczane, poomijane.

Wózek mleczarski błąkał się niejako od kamyszka do kamyszka, od koleiny do koleiny, a Dyonizy to

pospał nieco w gromkim łomocie swego pojazdu, to budził się, w miłem ogłupieniu, i strzepnąwszy lejcą patrzył śmiejąco jak się kamienie od biegu przemieniają w siwe pręgi.

Lecz młoda Sroka, przeskakawszy lojalnie parę stajań niezgrabnym kłusem, wracała do przerwanej zadumy i znów coraz wolniej obierała sobie lepszą drogę pomiędzy wybojami.

We dworze nie lubiono srokatych koni, lecz kiedyś — niewiadomo skąd — urodziło się jednej kobyle srokate źrebię. Była to klaczka i starano się ją kojarzyć z najgładszemi ogierami, żeby poprawić rasę. Mimo to znów się raz oźrebiła na srokato. Obie te sroki starą i młodą brano tylko do wożenia wody w beczce, pomalowanej na czerwono i do wożenia mleka.

Teraz stara sroka już nie żyła, zaś młoda miała już ze dwadzieścia lat.

To też upodobania Dyonizego do niespieszenia się, bardzo jej odpowiadały.

Lecz miało to i swoje złe strony. Latem powolny krok sroki narowił muchy, które obsiadały ją po drodze i gryzły. Siedziały gromadnie koło powieki na śladach starczych łez, siedziały czarnym wianeczkiem na wszystkich miejscach nieco przetartych od uprzęży.

Gdy to trwało zbyt długo sroka stawała sama z siebie i oganiała się. Kopała jedną nogą, kopała drugą. Kłaniała się łbem, wstrząsała całą niefortunnie owłosioną skórą, wachlowała długim ogonem — świszcząc jego włosiem.

Przez ten czas Dyonizy rozpraszał się pośród otaczającego widoku.

Było mu jakby nie czuł siebie siedzącego na wózku, ale jakby pachniał w grubym żółtym łubinie — jakby sunął dnem rowu w świetlistej wodzie — jakby się jeżył nad nim burą tarniną, jakby się kłosił po polu, jakby płynął gładkiemi równinami, toczącemi się dookoła, jakby się wspinał i wzbijał niebieskim wzgórkiem w pieniste chmurki. Było mu jakby mknął razem z szosą krokami dudniących słupów i nadlatywał do siebie z powrotem, kołacząc we wozach nadciągających od Stawiszyna.

— Cośta tyla czasu zmudzili w tem mieście — pytała potem dziewczyna, gdy nadjechał przede dwór.

Dyonizy zbywał ją krótkiemi uśmiechami, wstawał ze swej skrzynki, zesuwał worek z sieczką, i otwierał skrzypiące wieko.

Tam wewnątrz pachniało startą słomą, pieczywem, herbatą, listami, gazetami.

Wykładał pokojówce wszystko, co przywiózł na fartuch, a ona, zniżając go pod ciężarem, ponawiała pytanie.

— Tak ta — odrzekał w końcu. — To tu wstompić — to tu — to tamto zabrać — czasu dość zyńdzie.

I cieszył się, że go pytają, że na niego czekali.

Lecz świat nie zawsze dawał tak na siebie patrzeć, tak się sobą radować. Niekiedy czas był przykry — psi — odrzucający od siebie Dyonizego, złowrogi.

Wtedy człowiek szuka człowieka — i raz jadąc w taki obrzydły mokry czas jesienią Dyonizy cierpiał

mocno swoją samotność. Lecz wejrzawszy przypadkiem na swoje ręce, zaczął myśleć o siostrze, u której mieszkał, czy jej sprawy jako się ułożą. Była dobra. Robiła mu z włóczki zarękawki, żeby go ręce w stawach nie bolały. Zarękawki były piękne, buraczkowe, mocne i ciepłe.

Siostra ta, zwana «gdowa», stanowiła co do urody ozdobę świata.

Po śmierci męża rodziły się jej coraz to małe dzieci.

Teraz znów za mąż jej ludzie raili.

Dość więc miała swoich rzeczy na głowie.

I wcale jej nie prosił — a nigdy o zarękawkach nie zapomniała, nigdy, a nigdy.

Miała do niego serce. Cóż tam — zarękawki! A jednak co się spojrzał, to w nim nieco złości do świata gasło, a nawet niepogoda nie tak bolała.

Lecz było coś, co jeszcze lepiej boleść i złość uśmierzało i co się samo tak jakoś naraiło Dyonizemu.

Oto lubił bardzo ludzi po drodze zabierać. Zabierał dosyć często i nikt o tem nie wiedział, gdyż zesiadali jeszcze przed kapliczką. Ile mu wtedy naokazywali dobroci! Raz przyjął nawet biednego żyda warjata, idącego w siermiędze bez koszuli, dokądś.

— Do Kokanina? — pytał Dyonizy.

Żyd odpowiedział, że tak. Lecz wysiadłszy w Kokaninie zaczął ryczeć i biec za wózkiem, aż póki go Dyonizy znów nie zabrał.

— Do Wajsówki? — pytał Dyonizy — i znów się powtarzało to samo. Było wtedy, że podjechał

z nim aż pod Stawiszyn i minąwszy Rusocin, tam się dopiero od niego odczepił.

Żyd szudrał się — a potem czynił to samo, co zawsze w mieście. Biegł na przełaj przez pola i walił drągiem o ziemię jakby przytłukiwał coś uciekające.

Gdy się Dyonizy ostatni raz obejrzał — żydzisko kłaniało mu się do ziemi — a potem wzniósłszy obu rękami kij nad głową śpiewało charkliwie swe żydłackie majufesy. Widać zajechało, gdzie chciało. Dyonizemu było go szalenie żal, choć i naśmiał się wtedy co niemiara. Gdyż jak wiadomo w żydach wszystko jest śmieszne — nawet smutne jest śmieszne. Samo to jak się nazywają już warte śmiechu.

Niekiedy na wózku Dyonizego przyjeżdżał ktoś do dworu, weterynarz, rymarz, żyd Abram Fuks, albo też kto na zgodę.

Raz w przeddzień wilji przyjechał z nim Józef Michalszczak, zwany Szatan.

Nie na zwykłej swej drodze napotkał go Dyonizy — lecz wtedy, gdy jeździł po choinkę do Piątku.

Mały ostatni las tej okolicy stał śród czystego pola jak cmentarz, i prawie tak samo strach było do niego iść. Tutejszym ludziom przyzwyczajonym do gładkiej równiny, gdzie jasno widać w dzień i w noc, nie było przyjemnie błąkać się w tej płowej rosochatej głębinie, pełnej echowych dźwięków — i tak też nieosobliwie było na sercu Dyonizemu, gdy szedł do leśniczówki.

Dęby klekotały mu nad głową bronzowym twardym liściem. Niewiadome rzeczy, sęczki, albo żołędzie obłamywały się na nich i zlatywały, strzelając po ga-

łęziach. Świerki wzdymały skrzydlate ramiona, wydając krótkie niewesołe szumy. W ściółce zdawało się ciągle coś przemykać. Kiedy niekiedy liście zrywały się z ziemi i leciały skroś ciasne przesmyki gęstwiny.

Gdy Dyonizy już umocował drzewko na wozie — wyłomotał się ku niemu z hałaśliwej głuszy lasu ten właśnie Szatan, prosząc, żeby go zabrać.

Na polu był taki wiatr, że przez drogę mało co mówili. Dopiero skręciwszy na Rusocin, Dyonizy ostrożnie zagabnął.

— A gdzie cie to podwieźć?

Szatan ręką pokazał ni tak, ni owak.

— No to tu? — spytał Dyonizy, przystając niedaleko stelmacha.

— Niechta — odparł przybysz, i zlazłszy z wózka sumiennie poprawił wygniecioną w drodze słomę. Poczem ruszył przed siebie — krokiem tak słabym, jakby zeszedł z łóżka po gorączce. Zaraz też stanął. Kiedy Dyonizy wjeżdżał w bramę dworu, obejrzał się. Nieprzyjemny gość stał ciągle w miejscu i rozglądał się.

— Kto to? — pytano w podwórzu, a dowiedziawszy się, napadnięto na Dyonizego.

— Nacośta go przywieźli, tego Michalszczoka?

— Żeby kogo zarznoł?

— Żeby co ukrad?

Dzieci się nawet pozlękały, bo je straszono tym Szatanem.

— Czekaj, czekaj — mówiono przecież zawsze. — Jak bydziesz taki naprzykrzony, to cie wezne i dom tymu Szatanowi Michalskiej.

A oto dnia dzisiejszego, wobec takiego święta,

wszyscy muszą patrzeć jak ten straszak stoi na zmarzniętej drodze i ogląda się zgłupia frant.

Mówili kiedyś, że go Michalska miała z jakimś nietutejszym panem. A kto może wiedzieć, czy nie z samym djabłem.

Gdyż taki był nicpoty od dziecka, jakby nie człowiek. Nikogo tu nie było we wsi, komuby nie dokuczył, komuby się nie nasprzeciwiał.

I matkę bił — za co mu powinny były ręce uschnąć. Nie uschły jednak. Starczyło ich na to, że dwa lata temu, ludzi tu na weselu pokaleczył — niepodobnych jakichś rzeczy narobił — chociaż mu było nie więcej nad osiemnaście lat. Jak wtedy poszedł — więcej go nie widzieli. Ktoś mu dawał znać rok temu, że matka, która była we dworze oprzętką — umarła. Lecz dokąd mu znać dawali i czy go ta wiadomośc doszła — nikt nie był ciekaw.

Dwór też był niezadowolony tym razem z Dyonizego.

— Co to ten Szatan przyjechał z wami? Poco to?

— Żeby jeszcze w święta trzeba było wszystkiego pilnować?

Dyonizy sam trochę żałował, że go przywiózł. Zrobiło się tak niewygodnie naokoło.

Lecz gdy go w stajni na nowo zaczęli o to szarpać — znalazł w sobie inne rozumienie rzeczy i odrzekł, odczekawszy, aż wszyscy zamilkli:

— Żelibym go nie zabroł, toby wzion i sam przyszed. Co ta będzieta nade mnom wydziwiać — co?

I po chwili, wznosząc głos:

— Taki zawdy jak już ni mo gdzie, a wszystkie drogi pogubi, to przyndzie w swoje strony i chodzi. A co ci bez to, że chodzi? Ubydzie ci ty grudy, co po nij na zimnie tompie? Co to to? Nie człowiek jak drudzy? Ślachcic jaki? Ciarach?

— Marcypanów ta na tem świecie nie źre — ciągnął znów ostro — bo brzuch przed nim nie stoi. Jak przyjdzie co na co — a pójdziesz jeden z drugim we świat, i na złe ci się obróci — a chto ci ta po drodze snopka na wozie pod ciebie pożałuje, to powisz o niem, że krześcijan? Że świnia powisz, i dobrze powisz.

Fornale śmieli się nieco, lecz rzecz się na tem wyczerpała. Nic już nie mówiąc Dyonizemu, wywołali się przed stajnię, żeby pokurzyć. Dyonizy był nieswój. Było mu jakby się z czem związał mimo chęci — nie wiedząc, czyli tak było trzeba.

Gdy się po cichu bił ze swą myślą, usłyszał, że fornale przed wrotami komuś drogę do niego pokazują i wołają na niego:

— Dóniży — tu do wos przyszli.

Przyszedł właśnie ten Szatan i podciągnąwszy się, usiadł na skrzyni.

— Co cie tak sparło żeś to sie tak tu przywlókł? — pytał wrogo Dyonizy i wytrzeszczał oczy, żeby go zobaczyć w jego ciemnym kącie.

— Jo zdaleka ide — rzekł chłopak po długiej chwili.

— No to co, że zdaleka? Zdaleka! To jak to zdaleka?

— Z Warszawy.

— Może jeszcze na piechty?

— A coś ta mówili? Jeszcze ta takich karytami nie wożom jak jo, ani ich tyż na koleje bez bileta nie proszom

— A tu chto wos prosił? — badał mleczarz gniewnie.

Szatan odpowiedział smutnem pytaniem:

— Bo to nie moje strony?

— Wom by iść w cudze strony, żeby w takie, gdzie o wos nie wiedzom.

— A bez co? — krzyknął gość, zeskakując ze skrzyni.

— A bo jo tu komu co wzion? A bo jo tu kogo zabił? — mówił, jakby się dusząc.

Dyonizy oniemiał. Nie było jak z nim gadać, gdyż zdawał się czuć jak drudzy, wcale się do złego nie poczuwał — jeszcze krzyczał tak, jakby mu była uczyniona jaka krzywda.

Pomówili o innych zwyczajnych rzeczach.

— No ostańcie z Bogiem — rzekł wreszcie Szatan — muszę już iść.

Lecz Dyonizy wyszedł za nim przed stajnię i widział, że Szatan wcale donikąd się nie spieszył.

Obszedł sobie okólnik. Postał przy wozach. Zadarł głowę. Postraszył, tupiąc wrony.

— Jeszcze gdzie ogień zaprószy — myślał Dyonizy, patrząc na rumianą iskrę papierosa, świecącą mu z pomiędzy palców. Gdy tak za nim chytrze i skrycie patrzył, zdjął go niejaki żal. Miał teraz myśl, że Michalszczak nie chodzi po rodzinnem podwórzu, a tuła się po strasznym nieprzyjacielskim świecie. Że jest dużo nieszczęśliwszy od niego.

Fiołkowe popołudnie stało się szare i stało się ciemne, a Szatan zgubił się w kątach podwórza.

Nikt go nie widział, ani wiedziano dokąd poszedł. Lecz Dyonizy czuł go w swem sercu. Póki tu był przy nim, był daleki, obcy i źle widziany. Lecz gdy zniknął, okazało się, że wpadł mu w serce.

Nazajutrz była pogoda, mróz, ale oprócz tego i mgła. Wszystkie przestrzenie między budynkami, a zaroślami były zapchane jej różową i szarą gęstością. Drzewa obleczone w szron wynurzały się z tumanu jak białe dymy. Śniegu nie było. Strzechy potarte szronem, cokolwiek tylko posiwiały. Rumiane słońce bez promieni wisiało w nieczystem powietrzu jakby kłębek rudej wełny. Wisiało nisko po boku nieba, które było owdzie śniade i mgławe, tu nad jaskrawą białością drzew ciemno-bure, dalej różowe i żółte — jak bywa zwykle niebo króciutkiego dnia, gdy wieczorna i poranna zorza spotykają się prawie ze sobą.

Ludzie zmierzali już stopniowo ku domowi, a krok ich dudnił, jakby stąpali po sklepionych piwnicach.

Idąc do swoich na wilję Dyonizy myślał, że napróżno ludzie się kłopotali, gdyż niewdzięcznie przyjęty Szatan sam oto sobie gdzieś poszedł — oto przepadł.

Lecz tak nie było. Wziął się znów skądś i szedł naprzeciw po tejże samej drodze. Był zapłakany od mrozu, stropiony i fałszywie uśmiechnięty.

— No? — pytał Dyonizy, gdy się powitali.

— Cicho na świecie — odparł chłopiec dosyć wesoło.

— Na mróz idzie — zauważył mleczarz.

— Na mróz, abo na śnig. Ze mgły lubi śnig padać.

Szli koło siebie szarpiąco i niezręcznie, potrącając się coraz, bo szli nie w nogę.

— Idzieta na wiljom? — zagabnął Szatan.

— Nie, takem wyszed pochodzić. Jeszcze ta na to czas — odparł Dyonizy.

No bo jakże go tu było samego tak na drodze zostawić.

— Gwiozde toby już było widać — rzekł nieśmiało Szatan — ale bez te czyrwoność na niebie nie widać.

— Jeszcze wczas — mruknął Dyonizy i znów szli dalej. To coś mówili, to wzdychali, jakby się w nich działo coś cięższe, niż te nijakie słowa.

Dowlekli się tak do czerwonej kapliczki przy rozstaju. Napoprzek oczu w żelaznym zmierzchu lśniła szosa, jasna, sucha, wytężona zimno w dwie odległe strony. Drewno w słupach mocno dzwoniło. Nikt nie jechał.

Nad ciszą poczwórnej drogi, naprzeciw kapliczki stał dom Chojnackiego. Dzisiaj był ciemny od frontu, a pałający od strony podwórka.

— Czy tyż Chojnacki zamknął już sklep — zastanowił się Dyonizy i trącił luźną klamkę, mającą kształt płaskiego serca z żelaza.

— Otwarte — ucieszyli się obaj — wchodząc raźno.

W sklepie było pusto, lecz widać mieli tu jeść wilję — gdyż na środku zestawiono stoły.

Stancja nadawała się, by tu świętować uroczyście.

Była to świetlica po dawnej karczmie, cokolwiek mroczna, lecz duża, rozłożysta.

Na starym kominie palił się ogień i przez to izba zdawała się jak żywa.

— Bydziemy tu mieli ciepło — rzekł Michalszczak.

Chojnacki uchylił drzwi, za któremi szalały wesołe blaski i rozlegał się porywczy, świąteczny hałas. Odsuwano fajerki, trzaskano drzwiczkami od pieca — w donicach rzęził wiercony mak.

Ktoś krzyczał:

— Zamykać drzwi! Drzwi! Drzwi! — i widać było jak pod maglownikami spóźnione ciasto rosło i puchło.

— Kto to? — spytał Chojnacki. — To wy, Dóniży? Nie w domu?

— A tu nie dom? Dejta ociec piwa.

Butelki uderzyły o siebie, dźwięcząc.

— A kumu tam tak świadczycie. Bo po ciemku nie widze.

— Podróżny. Gość.

Nalali sobie bronzowego szumu.

Dopiero kiedy Chojnacki zamknął za sobą drzwi mieszkania, schylili się do siebie przez stół i rozmawiali.

— Posiedźta ze mnom — zaczął prosić ze strachem Szatan.

— Ady toć nie uciekom. Potom z tobom tu

przyszed, żeby ci nie był tak markotno w taki dzień.

Twarze im uciekały i ginęły, to znów nadchodziły i pojawiały się w czerwonem chwianiu ognia.

Za drzwiami przycichło trochę — i we dwa jakieś głosy śpiewano kolendę.

Słuchając śpiewu Szatan ściskał sobie nędzną odzież na piersi. I coś opowiadał, prawie płacząc. Wszędzie mu było źle. Nigdzie mu się nic nie darzyło. Drudzy mieli zawsze kogo, gdzieby się schronić w złej godzinie. On — nikogo. Wspaniałomyślnie wyznał niektóre swoje grzechy. Że się tam niekiedy upił. Że miał z kim sprzeczkę. Ale czy tak źle robił, aby mu było, jak mu jest? Żeby przyjść w swoje strony — gdzie ma familję — i żeby nikt mu głową nie kiwnął, żeby nikt na niego nie wejrzał miłosiernie?

— Żeliby nie wy, Doniży — Żeliby nie wy — to, aby ziemie gryźć z boleści.

Dyonizy prosił ze wstydem:

— Ady Józiu — Ady Józiu! — Napij się dziecko — napij sie, to cie odtrąci.

Popili, oddychając głośno w szklanki. Poczem Dyonizy rzekł nauczająco:

— Ty głupi nie płacz. Gdziebyś nie upad — żeby nie wiem i w jaki dół, zawdy ta jeszcze bydom gorsze utrapione jak ty. — Jo ci powiadom, co sie ino z tobom nie dzieje nogorszego, zawsze przyńdzie do ciebie taki, co go trza w płaczu pocieszyć.

— Żyć się nie chce, kiej tak mo tymu końca nie być — stęknął młodzieniec.

— Co ty ta wisz. Bez to nowięcy warto żyć,

że choć-byś był nobarzy spotyrany — jeszcze drugiego możesz wspomódz.

— Eee — Jo ta chce, żeby inaczy było na świecie. Żeby tak było jak nigdy nie było. Bo tu sie piekło wlecze po ty zimi. Nie dobrze tu jes człowiekowi biednemu. Żeby wszysko, a wszysko było inaksze.

Gdy mówił te słowa — odchylali się od siebie coraz w tył — a wielka piękna kolenda, śpiewana za drzwiami Chojnackich, wkraczała pomiędzy nich.

Michalszczak nie wstając nastawił ucho i zaczął śpiewać:

Wszysko sie zmieniło jak nigdy nie było
wino rzykom ciecze, ciepło jakby w lecie —
lwami drzewo wożom, niedźwiedziami orzom,
zając z chartem siedzom, z jednej misy jedzom —
liszka pasie kury, kot myszy i szczury,
wilk owcom nie szkodzi, wespół z nimi chodzi,
Bóg przez narodzenie, zmienił przyrodzenie.

Dyonizy się śmiał.

— I żeby na dębach były jabka, a na jesionach rodzynki — mówił. — To ty chcesz niepodobnych rzeczy.

Szatan znów gorączkowo bredził, aż Dyonizemu zaczęło być niemiło. Mówił, że był w szkole sztygarów, że jeździł do Petersburga. Stali za nim tacy, co mieli zrobić, że zostanie inżynierem. Co on umie, tego rozum żadnego tutejszego człowieka nie obejmie. Dyonizemu ćmiło się w oczach. Czy to możebne? Czy on nie łże? Inżynierem? Gada jak potłuczony. Mniemał, że się zbratał z nieszczęśliwym i dał mu pocie-

chę — a tu naprzeciw niego wyrastał ktoś taki niepojęty — nie szatan-li naprawdę.

Nagle niesamowite chłopaczysko zaskowyczało dziecinnie.

— Ale, bo to tu do czego dadzom dojść? — Zakatujom! Zgnojom człowieka — za szatana go uczyniom.

Obejrzeli się, gdyż coś tak chrobotało przy drzwiach. Pewno mysz.

Dyonizy pogłaskał chłopca po kruczym łbie.

Szatan coś wspominał przez nieco czasu i nakoniec wyznał ociężale, a gorzko:

— Nic nie jes moje, aby ten proch co pod nogami — i ta swoja strona — to i to jeszcze zadużo. Miejsca lo ciebie nima — powiedajom. I wyśta to samo powiedzieli.

— Naszczekałem jak ten pies, Józiuchna — mruczał Dyonizy nieszczęśliwy i zawstydzony.

— Możeśta i nie naszczekali — szeptał spocony Józef i wsparty na poręczy stołka zwieszał bezwładnie zniechęcone ramiona — zwieszał urodziwą głowę.

Ze złotych opowieści zesuwał się na takie czarne padoły, na swe prawdziwe miejsce. Dyonizy podążał za nim cierpliwie. Brał sobie jak Bóg przykazał człowieka grzesznego za brata i miał z tego błogość i słodycz — towarzysząc mu w jego doli.

Szatan, czując jak on go wspiera swem sercem, westchnął mocno i zwierzył się z ufnością:

— Jo tyż tak zrobie. Już tu długo nie byde — wezne i pojade do Ameryki. Ino nijak. Ino nijak nie moge...

Wstał i znów ściskał odziewek na piersiach.

— Wszystko śmiem bracie — stękał i łykał coś po każdem słowie.

— Wszystko śmiem. Człowieka zarzne. Na wsio póńde, jak mnie rzuci. Na jaki tylko kryminał. A tego nie śmie! Tego nie śmie! Tego nie śmie!

— Nie krzycz. — Czego nie śmisz — godej.

Szatan zawdziewał ręce za głowę — tarł niemi twarz — splatał je — dysząc, i czegoś wyraźnie się bał. Nakoniec zaczął pocichu.

— Jes tu taka... Jes tu taka... Co moje serce o ni myśli.

— No — mruknął Dyonizy i wypił duszkiem resztę piwa.

— Ta co tu była we dworze. Za mamke. Do nomłodszego dziecka. Co tu je tero za niańke do niego.

— Haźbita?

— No, no.

— Ta co je gdowom? Czy ta druga po jei siostrze?

— Ta sama. Nie ta druga po jei siostrze.

— Nie dziwota — pochwalił Dyonizy. — Ady to taka kobieta, jakby anieli w niebie. Dobra. Piękna.

Pomilczeli.

— Wszystko śmie — powtarzał zgrzany Szatan. — A tego nie śmie. Wyznać jei swojem słowem, że jak jei nie widze, to mi przed oczami noc, noc, i noc na świecie. Dwa lata! krzyknął, zalany łzami. Dwa lata!

— Toś ty bez to tyli świat przyszed?

— Bez to żem przyszed. Ale nie śmie. Bo mnie tu szatanem obezwali i bez to nie śmie.

Zaczął prosić:

— Wspomożta mnie Dóniży. Pódźma do tego dworu. Adyć to nie za górami. Jak wy ze mnom przyńdziecie, to ona to sobie bydzie uważać — i może ze mnom pojadzie.

On też mówił mu «wy»

— Ady głupi, do kogoś ty trafił? Jo ta nimom takiego słowa, żeby sie bez nie co miało odmienić — a jeszcze...

Szatan nie dał mu skończyć.

— A chto mo za wos iść! — krzyknął z rozpaczą i Dyonizy oniemiał na te słowa.

Chojnacki wsunął głowę przez uchylone drzwi.

— Zaro tu bydziemy stół nakrywać — rzekł, patrząc podejrzliwie.

— Już, już — odparł Dyonizy, i płacił niebardzo przytomnie.

— No to chodź — zwrócił się do młodego.

Na razie gdy wyszli na zimno Dyonizy milczał zadziwiony tem, że niby mieć nic z ludźmi niema, a coś go z nimi łączy. Może tam wszyscy, co głupiego robią, to się jeszcze zobaczy, lecz on jest z nimi pospołu. Nie na przedzie, ale nadąża. Jeszcze go naglą i wołają, nie chcą się bez niego obejść. Wtem zrozumiał czemu nie chcą — i zadrżał. On i oni to jedno.

— Bez to mi mówiom wy — rzekł głośno, pochłonięty zdumiewającą myślą — o której nic nie wiedział, że może się taka w głowie człowieczej urodzić.

— Co mówicie? — spytał podniecony młodzieniec.

— Jo i ty to jedno. Tak ide, jakbym lo siebie szed — tłumaczył mu Dyonizy. — Jak chto potraci wszyskie swoje nadzieje — to dopiro widzi, że nic nie stracił, bo drugich nadzieje do serca mu powchodzom — bo to co drugich je — tem żyć można — i jeszcze jak. Wszysko utracić możesz, a jeszcze dość cie zostanie — bo we wszyskiem jest twoje życie — w każdem drugiem człowieku.

Szatan nie słuchał — i Dyonizy snuł dalej pocichu w myśli swoją rzecz, o tem, że radość i nieszczęście do pary po świecie chodzą. I tego doznasz, choćbyś nie miał nadziei i tamtego nie unikniesz, choćbyś nie wiem jak chciał. Z obu plecie się twoje życie i twoje zbawienie.

Byle przed niczem nie uciekać, tylko na gwałt ze wszystkich sił swoich żyć, a żyć.

Choćbyś nie miał z czem wyjść przeciw swemu nieszczęściu, wynijdź z niczem, z samą tylko śmiałością i z samem twem sercem człowieczem.

Jest w tobie coś skrzące i ważne, Bogu do czegoś na świecie potrzebne, co walczyć będzie i niespodzianie tryumfy ci przyniesie.

Olśniony Dyonizy potknął się o kamyczek i wnet wszystkie te myśli się poplątały. Jużby drugi raz nie potrafił ich pomyśleć, ani wyrazić.

Lecz pozostało mu radosne dźwignięcie się serca.

Rozejrzał się po nocy i rzekł:

— Już niedaleko. W kuchni sie świeci.

— O lo Boga, lo Boga — szepnął Michalszczak.

— Nie bój się. Dziś Pan Jezus zbratał się z człowiekiem — a ty człowieka się boisz? Ona — a ty — to jedno. Wisz?

Mijali pośród nocy jasne okienka, grube cienie domów, blade płoty na szarym ogrodzie.

Niebo było tak jasne, że zdawało się prawie niebieskie. Niewyraźne pola tonęły nie w ciemności, lecz w gwiazdach, a księżyc pozłacał wielkie równiny. Przy płowej drodze milczały nad swoim cieniem wysokie drzewa.

NAJDALSZA DROGA

Padało tak niemiłosiernie, że Kaczmarkowie prawie przez całą drogę milczeli.

Dopiero, gdy się zaczęto zbliżać do kopczyka obrośniętego tarniną, w której stał krzyż, powychylali twarze i ożywili się cokolwiek.

— Rusocin — powiedział fornal, moknący na przodzie wozu i wskazał krzyż biczyskiem.

— Granica? — zapytali, a potem otarłszy z lic strugi deszczu przypatrzyli się polom.

— Ładnie majom pod wszystko zrobione — ucieszyli się.

Zauważyli przeszłoroczne sterty, szare od wpływów niepogody — a widząc, wyrastające na stronie bure kudły zarośli i dachy pomiędzy niemi, zaczęli się rozprostowywać i strząsać z siebie ulewę.

Julka, wstawszy nieco, zajrzała do kota, który mieścił się zawiązany w worku pod balją.

— Nic nie zmók — rzekła z tryumfem i uniósłszy balijki poklepała kotłujący się worek, w miejscu gdzie czuła ciepły bodący zgrzebną parcianę łeb.

Wóz wykręcił koło ceglanej kapliczki w lewo i prawie natychmiast stanął.

Kaczmarkowie spojrzeli bez uciechy na swoją

nową siedzibę. Osowiały czworak, popodpierany drągami stał na wydmuchu daleko za drugimi. Dlaczego tak daleko? Naokoło porozrzucane jakieś brudy i gnoje. Było zimno, wiatr szarpał wszystkiem, deszcz ciekł z każdej rzeczy, może dlatego miejsce wyglądało na osamotnione i nieprzyjemne. Jedna Julka zdawała się niczego złego, w tem co tu było nie upatrywać.

— Tośma przyjechali — krzyknęła raźno i pierwsza zeskoczyła z woza. Poczem, wyciągnąwszy ręce wołała, żeby jej podawali kota, Józia i wszystko.

— Ta sie cieszy z ty przeprowadzki jak nie wiem. Coby ino nie było, to ona rada — pośmiała się matka, ściągając z woza toboły.

Starzy radzi nie byli. Przewłóczyli się tyle razy, wiedzą, że wszędzie jest lepiej na początku, a potem wszędzie gorzej. A tu nawet odrazu nie bardzo im się podobało.

Zanim pownosili rzeczy, Kaczmarek obszedł domostwo naokoło.

— Tośmy ta mieli w Jarantowie lepsze mieszkanie — rzekł ze spóźnioną rozpaczą, powróciwszy do wnętrza.

— Nie chciołeś tam być — to musisz mieć jak mosz — przywróciła go matka do rzeczywistości. I przestraszona dodała:

— Idź do rzeczy. Trza co duch pozdymać i pownosić, bo kiej co zrobisz do wieczora.

Lepiej było, żeby się zawczas nie rozglądał po mieszkaniu i nie tracił przez to ducha.

Wyszykowano chałupę dość uczciwie, ale mimo to była taka, że aż po skórze od niej darło.

Mularz zrobił ściany za sino. Okienko zalane strugami deszczu i połatane z krzywych szkiełek zaledwie dawało co widzieć w tej stancji.

Mimo to rzeczy złowrogie prędko rzucały się w oczy. Oto na powale między belkami pokazały się jakieś plamy i piętna. Mogło to być niewyschnięte wapno, lecz prędzej wyglądało na zacieki. Klepiska nie urównali — tak niemiło było po niem chodzić. Zasówka przy drzwiach zepsuta. Jak się wszystko zrobi, poustawia, nie będzie tak znać, ale jeżeli stary teraz zobaczy, to gotów od kwartału odchodzić.

Matka miała już tego dosyć.

Nigdzie nie byli dłużej nad rok. Na wielu miejscach służyli po pół. To on nie chciał, to znów jego nie chcieli. Najlepiej mieli dwa lata temu. Już myśleli, że tam będą długo, lecz musieli odejść przez to, że ona miała wielką chorobę. No miała. Dlatego też tembardziej chciała się tak gdzie zgodzić, żeby już zostać na dobre. Nie iść ciągle do nowych ludzi ze swojem nieszczęściem. Gdzie się w kącie przyczaić i dokonać skłopotanego życia. Dzieci tylko te, co nie poumierały odchować i w świat dać, żeby na macochę nie musiały płakać. Na myśl tę o dzieciach weszła Julka, mówiąc żywo:

— Niesom łóżka i skrzynke.

— Tobie sie tu podoba? — zagabnęła ją matka. Przecież tylko o nią i o ojca chodziło. — Józio — dziecko, a ona i Zuzia niedojdy.

— Ee ludzie gorzy majom i żyjom — odparła dziewczynka i poogądała badawczo wszystkie kąty.

— A gdzieś Józia ostawiła?

— Józiu tam sobie lota kole kóni.

— Na taki dyszcz. Weź go, loboga do chałupy.

— Co mo tu zawodzać. Przecie nie zima, ino kwiecień — i Julka rzuciła się w stronę ojca.

— Ady tata. — Jak wy stowiacie to łóżko. Tak nimożno stowiać, bo sie zajmie od ognia.

— Co sie ma zajmać. Tu by się zajeno — ale tu sie nie zajmie.

— Kiej patrzta, że tu za blisko blachy. Tam je trza posujnąć.

— Jak je posujniesz, to skrzynke kaj postawisz?

— Tu jom postawie niedaleko okna — zaro kole stoła.

— Bez co tu?

— Ady tu bydzie za drugom ławke — a jak sie na nij usiędzie, to tu stąd widać bez okno.

— Widzita ludzie. Bez okno bydzie patrzała. Co ta mosz za tem oknem? Gnojówe jakom — albo co.

Julka wyglądała zapalczywie na coś bure, zagmatwane, poprzetrącane, co widać było za sztukowaną szybką.

— A nieprowda, mówiła. Tu bez okno czyjś sadek widać. — O rety, jak tyż go ładnie widać. Ino bez dyszcz sie pozamazywało.

— Gdzie ta mosz sadek? Gdzie ta mosz sadek?

Jednak wszyscy się zbliżyli i wsparci rękami o górną futrynę okienka (było tak niskie) patrzyli, a patrzyli. Tak, było widać sadek. Tak, było go widać, lecz bardzo, bardzo daleko. Było go widać między chlewikiem, a kupą chróstu za długiemi zagonkami na kartofle, aż w starej gospodarskiej wsi.

Zuzia pierwsza odeszła, jęcząc od okna.

Była najstarsza, ale od czasu jak się wkręciła w sieczkarnię, żebro jej utknęło w sercu i ciągle mglała, albo płakała na głowę. Dużo się musieli nastarać, żeby ją przy jakiem takiem zdrowiu utrzymać. — Rujnowali się przez nią na obcą posyłkę, lecz tym razem naparła się, że sama będzie chodzić na pańskie.

Patrzyli tedy z przestrachem jak znów cierpi — gdyż nie można służby zaczynać od tego, że posyłka jest chora.

— Zuzia, co cie głowa boli? — Ady trza ji co dać na te głowe, bo tak na niom płacze, a płacze.

— Zaro polete poprosić gdzie octu — aby tu się uskromię — obiecała Julka.

Ojciec wyszedł jeszcze przeszukać słomę na wozie, i przyprowadził krzyczącego wniebogłosy Józia.

— Co ty chcesz dziecko? co ty chcesz? — pytała Julka, zdejmując mu czapkę i poczesując palcami włoski.

Chciał chodzić po błocie i jechać dalej konikami

Śmiejąc się, Julka wystawiła głowę za drzwi i nawoływała:

— Konie! Koniki! Podjeżdżajcie po tegu Józia. Niech ta sobie jedzie bez mamy, bez taty, w dwa światy, w trzy światy.

Wiatr nadleciał i coś zaczęło pryskać na obłyskanych zielonemi pąkami krzaczkach, po strzesze chlewika, po chróście.

— Grad, rzekła Julka i zamknęła stanowczo drzwi.

Józio, który patrzył w milczeniu na jej zabiegi znowu zaryczał.

— Dej go Zuzi — niech go pobawi — stęknęła matka.

Wszystko już było pownoszone. Teraz zaczęli urządzać. Matka obcierała rzeczy szmatą — ubolewając, że wszystko tak zamokło. Była zmordowana i Julka patrzyła ukradkiem, czy się nie zaczną w niej złowrogie sztywności, albo kurcze. Rozpraszała nadejście tej rzeczy, hałasując gratami i snując żwawo różne zamiary na przyszłość.

— Pod ścianą ode drogi to nasieje słonecznika. Dobrze, mama?

Ojciec stropił ją — a jeszcze więcej matkę, mówiąc:

— Jakie to tu wyboje. Jakby nie w chałupie, a gdzie w polu. Tu byś mogła co nasiać, bo skopane.

— No to co, rzekła porywczo, włażąc z obrazem na stołek. Wezne gliny rozrobie, nałoże, urównom, ani znaku po tych dołach nie bydzie.

A ojciec swoje:

— Ciec to tu musi zdrowo. Dach zgnity.

— Co mo ciec — krzyknęła, zadzierając głowę. — Może to wapno nie wyskło? A po drugie — wliziemy z tatom na góre, na polepe, i tyż glinom z chróstem pozarobiamy te dziury w dachu i ju.

— Lepiej byśta słomy, tata, przynieśli. Łóżka trza popościełać, a nima co w nie wesłać.

Zahaczała obrazy, podawane przez matkę, jeden po drugim, coraz to się oglądając na ojca.

— Jak nie pódziecie, to sama musze iść po te słome.

Wyszli nakoniec oboje. Pobłąkali się po zmokniętem podwórku, przegnali czyjeś kury, i ukłoniwszy się

ludziom, którzy na nich patrzyli przez okienko sąsiada, ruszyli ku wielkim budynkom folwarku.

Po drodze dogadali się i wzajem pocieszyli.

Wszystko to, zgodzili się, człowiek by zniósł, nawet mieszkanie takie marne, żeby sobie samemu na swojem takie schronisko postawił. Niechby choć na pustyni, albo gdzie w Ameryce. Tak, wtedyby i szyby łatane nie szkodziły.

— Szyby? — zawołała gorąco Julka. — Na co szyby? Czembądź by się zasłoniło, żeby aby módz robić i do czego dońść.

Ma się rozumieć tembardziej dziury w dachu nic by też nie znaczyły.

— Organki by my jakie kupili do granio i już by było wesoło — dodała Julka niespodzianie.

Ale jak się przychodzi do ludzi, żeby na nich robić, to się chce mieć dobrze.

Niedaleko dworskiego ogrodu Kaczmarek zatrzymał się.

— Co tu takiego robiom?

Było to rozkopane miejsce, a koło niego dół z wapnem i rzędy cegieł.

— Coś tu bydom budować. Dali chodźcie tata. Ustało troche padać, to nom tera słoma nie zamoknie.

Kaczmarek popatrzył na cegły, wziął nawet jedną z nich na chwilę do ręki, poczem zaraz ruszyli dalej.

Gdy powrócili, wesołe złote szelesty zaszeptały po izbie. Słoma legła na łóżkach, opięta płachtą, i wnet w domu zrobiło się swojo — wnet się poczuło, że jednak ma się gdzie spocząć.

Nadchodzili ze strachem o matkę, tymczasem za-

stali ją w uśmiechach, na nic złego jej się nie miało. Przeciwnie. Napaliła przez ten czas ogień, nastawiła coś w garnkach. Poznała się z sąsiadami. Tu przez sień mieszkali tacy, co byli w Rusocinie już dziesięć lat. Nazwiskiem Mikołajczyk. Dali jej octu dla Zuzi i gałązek na ogień. Tylko co ich dzieci tutaj były.

Chcieli nawet wszystkiego nanieść, jako na nowym progu.

— To chwała Bogu — cieszył się ojciec — to chwała Bogu — a jak tam Zuzia?

Też jej nieco odeszło. Widać z drogi jej tak było. Józio spał na tobołach — dali mu tedy spokój i siedli, żeby zjeść, gdy wtem przysłano po Kaczmarka, że ma iść do pisarza.

Dosyć długo nie wracał, nakoniec przyszedł jak nie ten sam. Nawet jeść zaraz nie chciał, tak wielkie miał nowiny. Co sie tak namartwili o złe mieszkanie, że dostali, to nic racji nie mieli. Widział samego pana — i ten mu powiedział: — Mieszkanie, mówi dostałeś marne, ale tam nikt nie będzie mieszkał. Buduję tu pod sadem murowankę i tam was przeniosę. Będzieta mówi, mieli tam, jak żaden nimo. — Izbe z komorom — po dwa okna na zawiasach — i z górom, ze wszystkiem jak się patrzy.

— I w ceglanem domu jak w kamienicy.

Tu ojciec napadł na Julkę, klnąc się Bogiem, że jak szli koło tych cegieł, to go coś tknęło.

— Tyś ani postać nie chciała, a mnie tak jakby co do ziemi przykuło.

Siedli raz jeszcze do stołu i jedli razem z ojcem. Łyżki skrzybały o kwiaciaste dno misy, a on wciąż mówił.

— Ale żeby tak w jednem dniu kogo tknęło — i żeby mu się zaraz tego samiuchnego dnia sprawdziło — to niepodobne rzeczy.

Nagle zerwał się z ławy.

— A gdzie kot? — krzyknął strwożony.

Zakrzątnęli się dookoła.

— Chto go z worka wyjmał?

— Może uciek — na nowem miejscu trza na kota uważać.

— Może gdzie wlos.

Zuzia, która drzemała przy ciepłej kuchni, zobaczyła go pierwsza i uspokoiła ich z ubolewaniem.

— Ady siedzi kole stągwi, aby mu sie ślipia zieleniom.

Matka zaczęła obcierać łzy, na myśl, że kot stanowi ninie cały ich żywy dobytek.

— Kiedy się człowiek czego dochowa? Na te pogrzeby, na te choroby wszystko sie posprzedało. Mówiom dwór, dwór — a i tak chociaż dwór do, to swoje tyż idzie — a i co ta dwór do. — Ani mój Boże krowy tero człowiek nimo, ani proszczoka — ani żeby choć kury.

— Jak bydziemy mieli takie mieszkanie? — oburzył się ojciec — to się mamy nie dochować?

Tak. Dlaczegoby się mieli nie dochować. Mieszkanie, to ważna rzecz. Nacieszyli się niem jeszcze, pomówili nieco i zaczęli się układać do snu.

Słoma była nie połamana, prosta, chrupiąca.

Prawdę rzekłszy, teraz, gdy mieli pewność nowego mieszkania, zdało im się, że może nawet by się bez niego obeszli.

Z tego, że są tu razem, ze siebie samych, czerpią i zgryzoty, co zaciemniają dzień i siłę, co im świeci po nocy i pomaga się dźwigać z przerozmaitej klęski.

Co tam mieszkanie. Deszcz, który szumi za oknem też małowiele znaczy. Ważna rzecz, że są tu koło siebie i razem oddychają, zasypiając, a jutro się obudzą i może będzie ładnie.

Było ładnie — lecz pogoda nie trwała długo. W maju zaczęły się deszcze i już nie ustawały. Całe lato było mokre. Wszystko się świeciło jak blachą poobijane, trawy gniły, a zboża porastały. Ludzie wiecznie płachtami pookrywani wyglądali ponuro jaśniejszego dnia. Deszcze przyczyniły się mocno do tego, że budowa murowanki nie postępowała przez lato. Położono fundamenty i dalej nikt się jakoś nie chciał przy tem paprać.

Mimo to, Kaczmarkowie za nic by teraz tu stąd nie chcieli odejść. Jak tylko był kiedy wolny czas i niebo się przetarło, chodzili całą rodziną na budowę i oglądali miejsce gdzie miały być ich okna, ich sufit, ich drzwi ich komora. Rzecz do niczego niepodobna, rozkopane miejsce pełne żółtej gliny i poustawianych stosami cegieł, zdawało się być tem, czego szukali po świecie.

Na tej budowie znaleźli raz szczeniaka. który za nimi przyszedł do chałupy i już pozostał. Mimo, że tu ludzie znali każdą kurę, czyja była, nie dało się wyśledzić do kogo piesek należał. — Musiał zginąć komu po drodze — może jak kto szedł tędy do Pokucic. Kaczmarkowie poczytali to sobie za dobry znak, za początek dobrobytu.

W istocie zaczęło im się tu dziać nieostatnio. Różne pociechy przychodziły, nie z powodu murowanki, skąd wszystkiego się spodziewali — a z innych rzeczy, wcale nieprzewidzianych. Zboże tu w tych stronach było droższe niż tam, skąd przybywali. Sprzedali więc resztę starej ordynarji, z nowej też usprzedali trochę, i mało co sobie odejmując od gęby, pospłacali długi, obsprawili się nieco, bo gdy nastali, obdarci byli jak dziady. Przed Bożem Narodzeniem już mieli prosiaka, danego ze dworu na spłaty, i zbierali sobie na krowę. — Odetchnęli też, bo zdrowie zaczęło jakby powracać do ich domu. Zuzia mimo, że chodziła na śpichrz i do stodoły, obrumieniła się cokolwiek na bladem licu, mocniała w sobie — i nawet nieco poweselała. Jakie były te siły, co ją podparły tego nie wiedzieli. Trwożyło ich, że ją na wieczór febra trzęsła, i poty na nią biły — lecz może tak właśnie choroba przez nią wychodziła.

Matce także tu służyło. Raz nie mogli z Julką przypomnieć dnia, kiedy na nią ostatni raz wielka choroba przyszła. Naliczyli, że miało to wogóle miejsce nie więcej jak trzy razy do Świąt.

Na Święta zrobiły się rzeczy, które jeszcze bardziej utwierdziły ich w dobrej myśli.

Dnia jednego przyszedł do wsi Józef Michalszczak, przezwiskiem Szatan — taki świszczypała, którego tu ludzie źle pamiętali. Przestraszeni jego powrotem czekali, że komu ogień podłoży, albo czyj łeb rozrąbie. Tymczasem ów dał na zapowiedzi z niańką ze dworu, mającą już dobrze pod trzydzieści lat, ale bardzo piękną wdową Elżbietą — i zaraz po weselu miał z nią do

Ameryki jechać. Te podziwienia godne rzeczy, o których Kaczmarek nasłuchał się przy robocie, albo u Chojnackiego — nie myśląc, aby co dla niego ważyły — wtargnęły niespodziewanie do jego domu.

Nasamprzód ów Michalski dowiedział się, że Kaczmarkowie żywili chęć wyjechania do Ameryki. Tak było istotnie, zanim się tu zgodzili. Jeszcze też na początku służby Kaczmarek odzywał się z tem do ludzi — stąd wiedzieli.

Młodzieniec przezwiskiem Szatan, czy bał się tak we dwoje puszczać na morze — czy mu się Kaczmarkowie osobliwie podobali — niewiadomo — ale żarliwie ich namawiał.

Trudno powiedzieć, aby bliskość tak wielkiej odmiany nie posiała zamętu w ich sercach. Owszem, posiała. Na początku zdjęło ich przerażenie, że nagle spełnić się może to, czego rzeczywiście upragnęli przez niejedne lata, potem rozpaczali, że owo przychodzi nie w porę. Gdyby wtedy, kiedy stali nad grobem swych trojga dzieci, doprowadzeni do nędzy ostatecznej utraty! Lecz teraz rzeczy obróciły się inaczej. Szło na lepsze i sprawa ciężkiego wymagała namysłu. Chybaby z rozumu byli obrani, żeby lekko porzucać mieli tutejsze widome korzyści dla nieznanego losu.

Mieli już do stracenia rzeczy, o które by się bali.

Gdy Szatan usłyszał, że jedną z tych rzeczy była niezbudowana murowanka — śmiał się. Gdy mu wyłuszczali inne dobra — umiał im przedstawić, że bez nich by właśnie jechać nie mogli, bo by ani się za co wybrać nie mieli.

Mało więc było przyczyn, które by się tym projektom słusznie przeciwiły. Trzeba było postanowić na tę, lub na tę stronę, a oni wciąż nie wiedzieli jak zrobić, kiedy wtem Julka wszystko im przeważyła.

W samą wilję Nowego Roku przysłano ze dworu, że niańki do dzieci przez faktorów żadnej nie znaleźli, że czyby więc Kaczmarkowie swojej młodszej dziewczyny do dworu dać nie chcieli.

Julce oczy się zaświeciły. Ameryka wydała jej się rzeczą błahą i nieuchwytną, ta zaś odmiana rzeczywistą i ważną.

W strachu, że rodzice nie tak będą uważać — wyraziła swe chęci, mówiąc:

— To jo sie już zgodze do tych dzieci.

Rodzice uznali, że to jest nadto widome wskazanie losu i o Ameryce więcej mowy nie było. Julkiby przecież samej tu nie zostawili.

Teraz byt zaczął im się tembardziej szybko poprawiać. Jeżeli pierwej myśleli, że nic im do wytrwania nie potrzeba, tylko by razem byli i zdrowie mieli, gdy im potem czekanie na murowankę miało za wszystko wystarczyć — teraz widzieli, że dobrze jeszcze mieć to i owo w dodatku.

Julka z dworskiemi dziećmi się polubiła, na matkę dawała baczenie — ile razy się dało to wpadała do domu — miała zasługi, życie, mieszkanie, taka się zrobiła uważająca jak panienka, potłuściała nawet, a im od tego nie ubywało. Przeciwnie Julczyne zasługi odkładali do Kasy — nie śmiąc jeszcze powiedzieć na co to będzie — gdyż słowa tego «z i e m i a» wymówić strach przed czasem.

Zaś było jeszcze mocno przed czasem. Kaczmarek obliczał wciąż jak nieskończone lata musieliby pracować, by gruntu sobie kupić.

Błądząc myślami po nieznajomych okolicach, ukrytych za horyzontem, pytał siebie, gdzieby mogła być taka ziemia, coby nie za droga była dla biednych ludzi. Lecz wszędzie natrafiał na jedno; tam gdzie się kończy pańska, tam się zaczyna chłopska. Od kogo jej wziąć za te pieniądze, które można, choćby i z dwoma posyłkami zarobić?

Ziemia ta bliziusieńko, pod stopą ludzką leży i ludzkie poty spija — lecz droga do niej najdalsza — inaczej się nie dojdzie tylko rzeczywiście przez morza, przez tułaczki rozmaite po świecie. Tam tylko są pieniądze, których na ziemię tę potrzeba — tu ich niema.

Dobrnąwszy myślą do tego miejsca Kaczmarek smucił się po cichu, że jednak nie pojechał do Ameryki. Lecz potem przychodziły dnie większej mocy i tych było coraz więcej — zwłaszcza, że mu i dalej po myśli ciągle szło.

Oto polowy, co już tu długie lata służył podziękował od kwietnia. Po takim nie można było wziąć kogo z brzega i pan kazał Kaczmarkowi narazie być za polowego — zanim na stałe się kto znajdzie. Przyobiecał za to dodać co z ordynarji.

Komu o cudze na ręce patrzyć, chociażby tylko póki co — nie jest miłą robotą. Lecz korzec pszenicy jest korcem pszenicy, kto się o grosz napocić musi, temu taką rzeczą wzgardzić nie sposób. A po drugie Rusocin — było to miejsce, gdzie Kaczmarkowi się poszczęściło bardziej niźli gdzieindziej — więc mógł tu dla

tej ziemi dużo ze siebie dać. Żeby też nie wiem jaka prawda była, że grzech patrzeć na cudze jak na swoje, to jeśli kto jak on nie pójdzie do Prus, ani do Ameryki, tylko tu na tem robi, to na jaką ziemię ma patrzeć jak nie na tę, którą przyprawia i której teraz też strzeże. Czy z chłopskiej, czy z pańskiej, z którejś musi dla niego coś być. Nie to, że dla niego, ale dla wszystkich, którzy tu robią i po polach od rana do nocy kołują. Niepodobna żeby tylko pieniądza na to było potrzeba — może też i jakiej woli między ludźmi — jakiego tam sposobu, by się tu na tem nie jak na cudzem robiło.

Chodząc z kijem po wspaniałych niwach wiązał z niemi pomału żyłka za żyłką całe swe serce — i ciągnął z nich myśli aż gorzkie, tak treściwe. Od myśli tych, za ciężkich na jego głowę, oderwały go sprawy rodzinne.

Julka — źrenica oka — ukochana córuchna zakochała się i w niej nawzajem zakochał się nie byle kto, lecz syn pierwszego włódarza, Szczepan Posiłek.

Z początku nikt nic nie wiedział, że miała z nim znajomość, a oni chodzili ze sobą nad stawem, zaraz koło dworu, po cienistej alei — albo szli między ogrody — na gładką trawę, do zielonych ustroni.

Dnia jednego Szczepan jej rzekł:

— Jo sie już dawno do ciebie namyślił. Takaś zdarzona, raźniuchna. Co ino uczynisz, to mi sie tak podobo.

I dodał prócz tego:

— Jo bym ten twój wionyszek tysiącami płacił,

maluśka. — Do nóg bym o ciebie twoji mamie upadoł, bo jak cie nie widze, to mi sie wszystko myli.

Nie płacił go tysiącami, lecz nie były to żarty — inaczej Julka by nic nie mówiła — tymczasem wszystkim powiedziała, że miał z nią zaręczyny i że będzie się żenić. Jej ma się rozumieć nie chodziło o to czyj on tam jest, ani co ma, lecz rodzicom zadrżały serca — i bardzo czekali potwierdzenia. Przyszło niedługo. Młodzieniec był się pokłonić i obiecywał, że przyszle swaty, lecz jakoś nie przysyłał. Kaczmarkowie myśleli, że Posiłkowie się sprzeciwiają, ale Julka mówiła, że ona sama nie chce się spieszyć.

— Niech sie jeszcze mojom mamom naciesze — mówiła, więc byli zupełnie dobrej myśli i czekali.

Siedząc wobec wieczornej zorzy przed swym nędznym czworakiem radowali się teraz często nadejściem lepszych czasów.

Lub niekiedy w niedzielę szli na trawę koło murowanki, która tej wiosny podniosła się, aż po wiązanie dachu. Gdy było patrzeć z niska to czerwone mury sięgać się zdawały aż do nieba — i w środku tam gdzie mieszkać będą też widać było niebo górą przez puste okna. Na to patrząc tembardziej widzieli, że nic im tu odmówione nie będzie.

Tylko Zuzia przyczyniała im nieco smutku i zamieszania w te bardzo dobre czasy. Gdyż zaczęła niezwyczajnie słabnąć na krzyż, tak że przestała robić i ledwo chodziła — pewno będzie musiała życie swe skończyć.

— Już ona nie pożyje — mówili — i szukając dla niej pocieszenia znajdowali je w rzeczy, o którą

by się gniewać i martwić było trzeba. Zimą w tę porę kiedy Zuzia była mocniejsza zaczęła była chodzić na granie — i jak mówiono nie bardzo się tam szanowała. Pietrkowi Paterce czynić ze sobą dała, co nie przystoi panience we wianeczku.

Lecz może nie wiele już jej się należało na świecie, jakże się kto miał kłopotać, że się troszeczkę nacieszyła tem, co jej nie pisano.

Tyle mieć będzie, że się z chłopcem naradowała — choćby raz, albo ze dwa, że doznała tego, z czego się snuje nasz żywot. Rodzice by jej tego szczęścia niczem nie opłacili, a tak, doświadczyła, jaką jest owa Miłość, która sprawia, że się koło nas dom stanowi, choćby i dachu nie było. — Owa Miłość, przez którą jak pół rodziny wymrze to drugie pół na nowo do życia powstaje. Wszak miało to miejsce i u nich, gdy w latach już, syna Józia sobie zrodzili, co tu z dnia na dzień mądrzeje — i w oczach pięknie wyrasta. Jeżeli Pan Bóg w kościele nie pobłogosławił Zuzinego związku, to w miłosierdziu swojem daruje, że go posmakowała.

Nic jej więc o to nigdy nie powiedzieli, tembardziej, że z Pietrkiem źle się skończyło, bo się zapił, co też Zuzi do zdrowia nie pomogło.

Pilnie tylko chodzili do kościoła — składając dziękowanie za polepszenie bytu i paląc świece na intencję odwrócenia Zuzinej boleści i przebaczenia jej grzechu.

W tym stanie rzeczy nadeszło lato suche i bardzo gorące.

Julka pilnie tańcowała niedzielami ze swoim

narzeczonym — niczego jednak nie zaniedbując, ani domu, który wciąż nawiedzała — ani dzieci ze dworu, które miała pilnować. Dzieciom tym zachciała raz pokazać jak na graniu w niedzielę Szczepan tylko z nią będzie tańczył. — Z nią a z nią, gdyż tak już zawsze czyni. Dzieci pomyły się czysto i ładnie poubierały, żądając, żeby im dano wszystko jak do gości. Czekały od samego rana niepewne, czy zdążą zjeść obiad zanim się zacznie.

Tańce odbywały się na izbie bandosów. Sienniki uprzątnięte stały rzędem na dworze pod ścianą, ciepłe od spieki. Wewnątrz ponawieszano gałązek, przez co wydawało się chłodniej. Dzieci stały na dworze pod oknem i patrzyły do środka. Było jeszcze mało ludzi. Ktoś rozmawiał i probowano skrzypiec, które niewyraźnie bełkotały. Lecz wprędce zrobiło się tłoczno.

Julka wkroczyła w ciasnotę wesoła i śmiejąca. Dzieci widziały jej dowcipne czoło z żółtemi kędziorkami, jej promieniste oczy, czerwone usteczka o czarnych zębach, piegowaty nosek i całą drobną postać, nurtującą przez tłok.

Teraz miał Szczepan zaraz podbiedz i chwycić ją do tańca.

Nie podbiegł i nie chwycił, gdyż tańczył już z Andzią Sobczakówną.

Dzieci wołały:

— Tańcz z Julką — tańcz z naszą Julką!

Lecz jego modre oczy pod olbrzymiemi brwiami nie zdawały się widzieć nic prócz białych włosów Andzi Sobczak, wysmykających się z gładkiego uczesania leciuchnemi niciami.

Julka stała cierpliwie z uśmiechem przyrośniętym do twarzy.

Ktoś podszedł do niej i zapytał:

— Co ty tak patrzysz? Na swojego Szczepona patrzysz? Ady on mo dane już z tom Andziom na zapowiedzi.

Wtedy Julka zaśmiała się raz, czy dwa razy i zaczęła ostrożnie mijać tancerzy z błahą pociechą, że może jej w tłoku nie zobaczyli. Może tylko ten ją widział, co jej taką nowinę powiedział nie bardzo dobrą. Ludzie jak tańcują to głowy nie mają. Lecz teraz ona jej też nie miała. Nieprzytomnie patrzyła na dzieci — które ją obskoczyły. Chciała im powiedzieć: «Zyg-zyg-zyg, jo nomyślnie nakłamałam, a wyśta uwierzyli». Myślała nawet, że to mówi, lecz nie, żadnych nie rzekła słów, tylko wykonała ten znak, skrobiąc palcem o palec — i wtem zaczęła uciekać.

Słyszała, że dzieci ją gonią, lecz na szczęście odwołali je dokądś po drodze. Aż się zadziwiła jak prędko minąwszy dwór zabiegła w aleję ponad stawem

Zapytała niecierpliwie i głośno:

— Co sie zrobiło? Co sie zrobiło? lecz nikt ma się rozumieć nie odpowiedział.

Tedy w dalszym ciągu głośno rzekła:

— Co jo za głupia byłam, że takem uciekała. Zaroby my sie zeszli. Zaroby sie wydało, że nieprowda.

Tchnienia wiatru popłoszyły ciszę, jaka panowała w śniadym cieniu alei. Przez to poruszenie zieleni, dotknięta wiewiem Julka ochłonęła z gorączki.

Nic by się nie wydało. Wszak widział ją, a udał,

że nie widzi. Odrazu poprzypominały jej się rozmaite rzeczy, wszystko się razem poskładało, na co zważać nie chciała, a co się teraz potwierdziło w tych słowach, mocno prawdziwych:

— On mo już z tom Andziom dane na zapowiedzi.

Tedy chciała się skończyć z boleści. Minęła cieniste kasztany, zabrnęła w stary ogród i potknąwszy się o coś upadła, myśląc że tu zostanie na wieki.

Miejsce to, na które ją rzuciła rozpacz, było płaskim dachem starej lodowni, poszytej suchą trzciną

Przewracając się z boku na bok na tej szarej pościeli, Julka odrywała garściami trzeszczące badyle i rozrzucała je w koło. Nic to jednak nie pomagało. Myślała, że się na śmierć zapłacze, lecz i to się nie stało — choć okolne krzewiny mętniały i rozpływały się w oczach, od łez niewyczerpanych. Zmęczyła się, płacząc, jakby dzień cały na warzcie pracowała, więc niekiedy ustawała i przypatrywała się cokolwiek temu, co było naokoło. Żółty ptak przemykał pocichu w zmroku, jaki czyniły pomiędzy sobą liście. Pewno to boguwola. — Za stawem na .drodze się coś kurzyło. Widać było tamto, lub owo. Trzcina czemś pachniała. Kot przesunął się koło zarośli — nad samą wodą — wejrzał na Julkę, z lękliwą drapieżnością i otworzył paszczę. Może miauknął, lecz ptaki tak tu śpiewały, że nie było słychać. Poszedł niby to niedołężnie a w gruncie tak zgrabnie, że ani listka nie potrącił.

Julka obejrzała się i rzuciła za nim grudką ziemi, gdyż pewno przyszedł na ptaki. Uczyniwszy to, znów z całych sił płakała. Najgorzej, że do nikogo nie było

można iść z tym wstydem. — Ani do mamy, ani do kogo. Tłukła głową po ziemi, mówiąc w płaczu — o tata — tata, aż nakoniec usnęła jak zabita.

Gorące popołudnie toczyło nad nią dalej swe blaski.

Nadbrzeżne krzaki rozstępowały się tu i widać było na środku stawu kępę, na której hałasowały wróble. Woda klaskała cicho i szperała przy brzegu, wyciągając z pod niego jakieś nicie bure i złote, wiewające się w głębi. Niekiedy spokój miejsca przerywało wtargnięcie wiatru. Zaszumiał rozmaicie po liściach, dmuchnął wezbranym oddechem na wysokości drzew, przyspieszył nieco drobny ruch wody i syknął poprzez trawy. Lecz i wiatr uciszał się ku zachodowi.

Cień, w którym leżała Julka zesuwal się z niej pomału i nakoniec słońce stanęło nawprost jej twarzy między drzewem i drzewem. Wtedy obudziła się i uśmiechnęła. Zrazu nie mogła pojąć, na co tu spała koło stawu. Wtem przypomniała sobie, lecz już nie zaczęła płakać.

Roztaczanie się słońca nad światem czyni niepotrzebnem inne szczęście, wystarcza, aby człowiek pobłogosławił najtwardsze godziny bytu. Napita jego promieniami Julka doznała mocnej pociechy. Pomyślała sobie rozsądnie choć nie wcześnie, że póki się sama ze Szczepanem nie porozumie, nie trzeba jeszcze popadać w rozpacz.

Zebrała się, otrzepała ze śmieci i poszła ku dworowi. Gdyż jeśli on może kogo szuka, to nie tu, a tam szukać będzie. Po drodze zdawało jej się, że gdzieś

bardzo daleko hałas wre. Przypomniała sobie, że śniły się jej okropne krzyki. Postała nasłuchując, lecz uszy skłaniały się ku przeciwnej stronie, ku tej skąd może ktoś nadejdzie mocno skruszony.

Rozejrzała się. Naokoło klombu przede dworem każda kruszyna wygracowanego zajazdu spoczywała niepotrącona. Słońce poprzeszywało ogród cienkiemi purpurowemi promieniami i poczerwieniło śniade cienie.

Julka usiadła w progu otwartej kuchni. Tam też nikogo nie było. Widać wszyscy poszli się w pole przejść, jak zwykle czynili w święto po podwieczorku, gdy wiatr się uspokoił. Sień była wysypana grubym piaskiem, niewiele gdzie zgniecionym. W stągwi odbijał się kawałek nieba. Przed kuchnią w bzach gruchała turkawka. Jaskółki latały bardzo wysoko na pogodę. Nikt jednak nie nadchodził. Julka zobaczyła, że dwie kury zostały na noc w krzakach, utaiły się chytrze i śpią na gałęzi. Wstała, żeby je spędzić i stanęła po drodze jak wryta. To co jej się zdawało być krzy kiem — krzykiem też było i zaczęło się nagle rozlegać niedaleko. Można było już rozróżnić głos pana, ale prócz niego krzyczeli także ludzie, jakby nadchodząc z pola.

Julka poznała chrypiący krzyk stelmacha. Jaskółki skwirzyły pod wieczerniejącem niebem, a on ryczał:

— Sikawka być powinna w porządnym dworze! Sikawka być powinna!

Teraz głosy przestały się zbliżać — więc poskoczyła ku nim w stronę bramy podwórza.

Przy stawku, gdzie owce zawsze myją, stali

wszyscy: pan, pani, dzieci, ludzie — i tam właśnie krzyczeli, jakby to w wodzie się co zrobiło.

Nagle ruszyli naprzód i znów się zatrzymali, tym razem na drodze i znowu, w drogę tupiąc, wrzeszczeli.

Ci i owi odrywali się od gromady i rozchodzili się.

Julka zabiegła im drogę, pytając. Zgorączkowani, zajadli jeszcze od krzyku odpowiadali na chybił trafił, a potem odwracali się i jeszcze stojącym na drodze wygrażali.

Ci krzyczeli, że ludzkim krowom źle dają, to dlaczego ich ludzie mieli na rów nie wygnać, żeby się popasły. Tamci — że się krowy na rowie pasły, ale że koniczyny nikt nie siekł — pan sam kazał tyle wysiec. Inni się darli, że ludzie nie zbóje, by mieli pszenicę podpalać.

Lecz Julka zrozumiała dopiero coś nie coś, gdy zobaczyła ojca. Wynurzył się razem z panem z pomiędzy ludzi — i we dwóch idąc straszliwe rzeczy sobie mówili, krzycząc aż echo dzwoniło w pługach pod szopą.

— Od tego cie mam!! Na to tu jesz ten chleb! — chrapał pan. A ojciec nie inaczej, tylko w te słowa:

— Jo ta na waszem chlebie zębów nie nabyłem.

— Aleś machory nabył, żeby zboże popalić.

— A kaj som te złe krwie, co nałgali, że jo ta kurzył. Niech mi tu stanom do ślipiów te szczekocze, co człowieka chcom zgubić.

— Mnie gubisz! Z torbami psiakrew pójdę jak tak będzieta się rządzić — ale ty pierw pójdziesz!

— Ady nie byde czekoł. Już mnie tu nie oboczycie, żebym mioł na polu nocować.

— Idź nocuj na tem polu, cośta mi go spaliły! Idź nocuj.

— A chto te pole oroł? To by je ten som, co je oroł, tero polił? Jak wos tu bydom polić to nie od chleba zacznom.

— Idź nocuj! — krzyczał pan już w obrębie dworskiego dziedzińca. Z tym krzykiem na ustach zatoczył się i chwytając za krzak róży, krzak ten wyważył z korzeniem.

Wtedy nastała cisza. Jedni pobiegli ratować, inni spokojnie poodchodzili.

Julka chciała pobiedz za ojcem, lecz ją na gwałt posłano ze dwora, żeby kazała zaprzęgać i jechać po doktora.

— Pan zachorował — wołała, biegnąc do stajni.

Przy studni paru fornali poiło konie. Chodzili koło zajęcia w nasłuchującem milczeniu, spozierając uważnie w stronę dworu.

— Gdzie sie to ta pszenica spaliła?— zaszeptała Julka i płacz jej stanął w oczach.

Pokazali, milcząc, otwarte wrota pomiędzy stodołami. Wyszła tamtędy na pole i zobaczyła.

Olbrzymi łan — największe pole pszenicy w całym folwarku, zostało zdmuchnięte przez ogień— rozsypało się w czarną perzynę, nad którą zachodziło teraz słońce.

To właśnie oto działo się, to nieszczęście spadło na ludzi, gdy ona w ogrodzie sobie spała i nad sobą płakała — śniąc, że ktoś krzyczy.

Nie wróciła teraz do dworu, tylko poszła do swoich.

Siedzieli pociemku jak pobici. Zrazu nie bardzo nawet chcieli co mówić. Nie bardzo mogli. Józio spał zdrowo na pierzynie u mamy — sam jeden tylko szczęśliwy.

— Widziałaś ty, Julka—rzekła nakoniec matka— ani sie człowiek nie spodzioł jak znów musi wiatru po polu szukać. — Drogo my to drogo zapłaciemy, że my sie tu troche odgryźli — stęknęła. Bodaj by my sie tu wcale nie przytłukli.

Julka podeszła do ojca i zapytała ostrożnie:

— Ale bez co sie tak zrobiło? Bez co sie ta pszenica zapoliła?

— Zeby jo to wiedzioł — odparł. Ludzie leżeli w chłodzie pod gruszkom i paśli swoje krowy na rowie, — chto ta kómu zabroni kole swojego pochodzić. Jo sie układem z drugi strony między kwieciem, aby żem może ze dwa pacierze pospał, a tu jak nie weznom krzyczeć: gore! Obróciłem się, a tu ogień tylko aby tak fyr—fyr—fyr— nad zagonami, i tak zaro zaczeno w tem ogniu hukać—takie darcie sie w niem porozlegało — tak niem zaczeno chlastać. Ady w okamgnieniu poszło.

— Tata — A wyśta... nie kurzyli?

Na te słowa milczenie zaległo ze wszystkich stron.

— Nie wiem — rzekł nareszcie Kaczmarek głosem ciężkim jak z grobu.

Wstał i uderzył się w pierś.

— Mnie tak zamroczyło, że aż mi pamięć ode-

brało. Nic a nic nie moge przypomnąć cożem robił zanim to sie tak zrobiło. — Ale bo to jo by taki był ostatni — żeby jo kurzył przy dostałem zbożu? Żelim tak ogłupioł, żem to zrobił, tom tak uczynił, jakbym wom wsiem garła popodrzynoł — bo mi to pole tak samiuchno było za familje jak i wy. No!

Płakali, mówiąc, że coś złośliwie się między ludźmi rozpościera — życie im targa i plącze. Z nieobeschniętemi na oczach łzami, Julka odeszła do dworu. Noc była jasna. Słychać było przepiórki.

Nie zaraz — dopiero po niejakim tygodniu, gdy panu zrobiło się lepiej, Julka zapytała ojca, gdzie teraz pójdą. Może to nadszedł czas, że trzeba się wynosić za morze, albo do Prus. Ojciec na te słowa odparł, że nie, a nie.

— A przódzi żeśta chcieli?

— Jo tero inakszy — rzekł twardo. — Jo ta niejedno sobie przełożyłem, jakem tu za tego polowego chodził. To wom powiem — żyć by nie było warto, jakby nie wierzyć, że tu przyńdom lepsze czasy na ludzi. A jak wszyscy wyńdom, to chto je uczyni?

— Co ty myślisz — że ta po drugich wsiach plotów na ciebie nie narobiom? — A to, że sie za ciebie zboże spoliło a toto? To oni nie jeżdżajom po dworach z wizytami? Kaj cie potem zgodzom? — ostrzegła matka.

— Jo tyż już na wsi miejsca szukać nie byde.

— To kaj sie chcesz dziać? — jęknęła.

— A do miasta — jeszcze my tego nie probowali — no to czemu nie?

— Loboga — w mieście ludzie majom dobrze,

ale ta sie jeszcze gorzyj źrom, jedni drugich wygryzajom — rzekła słabiej.

— Do wszystkiego dobrego droga daleka, to i do tej jakiej zrozumiałości między ludźmi tyż nie blisko. Ale żeby nojdalij, to ludzie nie som złe, tylko pourządzane majom wszystko tak, że niech ręka Boska broni. Jak ino co, zaro człowieka o człowieka ćpo, zaro sie źrom. Ale tak nimoże być. Żeli nie jo, to ty Juluchna doczekosz, abo ten Józio, że ludzie do ludzi dońdom.

Te słowa ponawlewały nieco pociechy do skołatanych serc. Zapalili światło, poocierali łzy. Julka nabrała w kwartę wody i podlała kwiaty na oknie.

Ojciec rzekł jeszcze:

— Jo ta na niego, na pana, tyż nic nie mówie— choć my w złości na siebie warli. Jo bym sam nie wiem co zrobił — żeby mi sie taka pszenica spoliła. Ale co robić? Roz, że jo sobie ubliżyć nie dom. A po drugie, żelim spalił tom lepij nie wart jak iść stąd na zawdy. Niechta drudzy do ty ziemi dotrwajom. Mówiom, że wielgo wojna ma być. To sie może bez to wszystko przeczyści.

Pogadali jeszcze cokolwiek—aż się zrobiło późno.

— Idź już, Julcia, idź — nastawali na córkę.

Lecz gdy była przy drzwiach odwołali ją nazad.

— Julcia.

Obróciła się.

— Julcia — szak ty tu musisz ostać? Miejsce tu mosz...

Na to pytanie podłubała koło zasuwy, a wkońcu odrzekła pomału:

— Jażem myślała dziękować i z wami odjechać.

— Adyś tu serce związała, córuchna. To jak mo być z tem Posiłkiem?

Trwało dość czasu, zanim odrzekła głosem grubym od przykrego duszenia w gardle.

— Żeli on mnie mo na myśli, to za mnom przyńdzie i do miasta, a żeli nimo — to mnie i tu nie najdzie.

Ucieszyli się i odetchnęli.

— Toś mądrze powiedziała—pochwalili ją, a gdy odeszła zgodzili się, że im będzie milej mieć ją jeszcze choć parę lat przy sobie.

— Bo nom bydzie nie letko. Trza wszystko zaczynać od nowa — prawdziwie drugie życie— a ona taka młoda, zdrowa, wesoluchna jak to światło po nocy. Jeszcze tyż na niom czas do ślubu.

Do drugiego tego życia nie wybrali się zaraz. Mimo odgrażań zostali do kwartału, i odjechali na jesień

Musieli przyznać, że wóz był teraz ładowniejszy niż kiedy tu nastali. Przyodziewku wieźli już nieskąpo, kury mieli, trochę pieniędzy za prosiaka i na krowę— a oprócz kota był też pies. Mimo to było im jakby znów mieli tylko siebie samych — i oto patrzyli mężnie, co z tego dalej wyniknie:

Ojciec, szary na licu, stał przy wozie i naglił.

— Spieszta się spieszta, bo aby darmo czas trudzita.

Nie trudzili go tedy więcej i wrzuciwszy między graty kota w worku — powchodzili nakoniec— i poumieszczali się z hałasem na pościeli. Julka usiadła na przedzie.

— Zuzia, trzymej psa! Kury ta nie wyletom? — krzyknęła obracając się.

— No już? — zapytał fornal.

— Jazda — odparli. — W imie Ojca i Syna...

Kiedy skręcali na szosę poodwracali głowy, żeby nie widzieć murowanki. Była już skończona i wysychała sobie w blaskach ostatniej pogody.

Nie jechali daleko—miasto było nie o całą milę. Lecz krótka ta droga szła w nowy świat, między drugich ludzi, na obce obyczaje. A oprócz tego nie wiodła już do ziemi, tylko do czegoś, czego przewidzieć nie mogli. Tedy wydawała im się dalsza niż do jakiejbądź wsi, dalsza niż do Prus, niż za morze — najdalsza.

ZEGAR Z KUKUŁKĄ

Przez długie lata roiło się tu od ludzi. Przychodzili, tłocząc się, jak do cudownego miejsca.

Lecz teraz jedynie dziki ogród hałasował koło starej plebanji. Krótkie szumy wstrząsały drzewami owocowemi. Czyjeś koty łasiły się do mchami poobrastanych pni, kury z całej wsi przychodziły grzebać pod stosem chróstu i między łopianami, a zimą jedynie gromadne szczękanie kawek i dzwony kościelne gościły tu na przemiany.

Ze zdrowiem księdza było coraz to gorzej.

Bolały go nogi, darło go po rękach i po plecach. Jakby cierpienia wybrane z ludzi ponawchodziły w niego. Z ludzi, którym widać zrobiło się lepiej na świecie, choroby przestały ich utrapiać. Bo już tylko po mszy, ktoś niekiedy zachodził po jakie smarowanie, lub ziółka.

Ksiądz nie wychodził nigdzie, żeby czasem nie minąć się z jakim chorym. Prosili go do dworów, lecz nigdzie nie chciał bywać i ciągle czekał.

Raz o szarej godzinie kroki zatętniły na ganku i przyszła dziewka Marcjanna z zębami. Naniosła zimna, błota, śniegu. Rozpowinęła się z olbrzymiej chustki, furknąwszy grubą frendzlą po sprzętach. Miała twarz

zaognioną i spłakaną i mówiła, że chodzi jak kołowata.

Nasłuchując bacznie, ksiądz łowił brewiarz, który mu wypadł z rąk.

Widząc to dziewczyna weszła pod stół i podała mu, jęcząc, starą księgę. Proboszcz upuścił ją poraz drugi, sam ją pozbierał i przerażony zaczął przyrządzać lekarstwo.

Zrobił rzecz łagodną, jak dla dziecka. Prawie, że nic do tego nie brał prócz olejku leszczynowego i bukszpanowego. Dodał tylko cokolwiek zielonej skórki z tarniny i jakichś kropel.

Marcjanna zaczęła pić, stukając zębami o szklankę, dźwięcząc w nią oddechem i patrząc na księdza z bolesną wdzięcznością, Wtem szklanka wyprysła z rąk, chora zaczęła podnosić to jedno, to drugie kolano, targać się ręką za ucho, latać palcami po włosach, bić się w piersi, — nie wydając jednakże głosu. — Zanim ksiądz się wyszarpał z fotela, upadła bez ducha na ziemię.

Starzec uczuł, jak nogi znikają z pod niego. Chwytał rękami za jakieś rzeczy, za stół, za fotel, ale wszystko złośliwie miękło i gięło się pod palcami. Z dzbankiem zrobiło się coś takiego, że wszystka woda klasnęła o podłogę.

Cucąc w kałuży dziewkę, proboszcz błagał, ażeby przemówiła słowo. — Marcjanno — mówił — przemów słowo.

Gdy dalej, milcząc leżała, pobiegł do drzwi, otworzył je, postał na wichrowatem zimnie, zawołał — ho, ho! — i znów powrócił. Ponure szumy zimowej niepogody zaszeleściły w pokoju.

Ksiądz kładł chorej coś pod nos, lecz ręce nie

trafiały na twarz, suwając się niezręcznie, to ku nodze stołu, to ku ścianie.

Niewiadomo, czy kto słyszał, czy też ta dziewka naplotkowała wyzdrowiawszy, ale potem w całej parafji, nawet po dworach opowiadano sobie, jak proboszcz się omylił, jak stał potem i wołał:—Marcjanno, przemów słowo!

W parę tygodni później ksiądz wychodził raz na nieszpory. Było to chyba w marcu. Ludzie na drodze wołali do siebie zdaleka, że już w kościele dzwonią. Koło muru cmentarnego bawiły się dzieci. Krzyczały, tryskając naokoło cienkim głosem. Ciemne równiny odmarzały. Słychać było niewidzialne koguty — każda zagroda piała. I przed każdą na płocie wyprane szmaty fukały na porywistym wiaterku.

Ksiądz teraz, jak był słaby w nogach, musiał bardzo uważać przy chodzeniu. Patrzył bacznie na drogę i przed oczyma przeciągały mu zmurszałe drewienka, paprochy, kamyki, z pod których ciurkała woda, bure szczerby, grudki, wyrwy, pozanoszone zmoczonem śmieciem. Stąpnął na kępkę rudej trawy i wycisnął z niej nieco wody, która cmoknęła. — Cuk, cuk — powiedział stary ksiądz, śmiejąc się do gołej, pooranej roztopami ziemi, nad którą brzmiał krzyk dzieci, a jeszcze wyżej krzyk wróbli.

W pląsach zabawy jedno z dzieci upadło. Inne zaczęły je ciągać i krzyczeć:

— Marcjanno! Przemów słowo! Przemów słowo! Przemów słowo! I śmiały się tak, że podostawały czkawki.

Ksiądz usłyszał to wszystko i natychmiast z niedołężnym pośpiechem zawrócił na plebanję.

— Ksiądz! — wrzasnęły dzieci — i zrobiło się cicho.

U siebie w pustym domu proboszcz usiadł na fotelu z czarnego włosia i zamknał oczy.

Przyszli zapytać, czy będą nieszpory. Powiedział, że nie będzie, gdyż mu nogi odjęło, i musi trochę posiedzieć w cieple. Czekał aż odejdą. Odeszli, a potem dzwony przestały dzwonić. Wtedy proboszcz rozciągnął swoją czerwoną zatabaczoną chustkę, rozłożył ją sobie na twarzy, przycisnął rękami i pod tą chustką bardzo płakał.

Ale w niedzielę wszystko się odprawiło, jak zawsze.

O pierwszej w kościele przestali grać.

Ludzie powychodzili. Stare baby wywlekały się z kruchty, mówiąc głośno pacierze. Za murem, na drodze, ktoś pytał:

— To już po sumie?

Kościół zaczął milczeć, zrobił się lekki, jakby uczyniony z popiołu, przetykanego niebieskiemi oknami.

Mnóstwo kroków stąpało naokoło. Głosy dzwoniły w czystej donośnej przestrzeni.

Proboszcz wyszedł z zakrystji i stał koło furtki na rozmowie z panem z Borkowa.

Jedni ludzie już poszli, poodjeżdżali, drudzy bałamucili jeszcze, przypatrując się na swojego księdza. Zaczęli mu wyliczać lata. Niektórzy pamiętali, że jak nastał do Tykadłowa, to już był wtedy stary. Więc ile mógł mieć teraz?

Drudzy mówili, że nie tak stary jest, jak zmarnowany.

— Mało się nachodził, do ludzi, za zielem i wszędzie.

— A nogów nimioł jak ino dwie. No to je wychodził.

— Jak to drugim pomogoł, a pomogoł, a sobie nimoże. —

— Chto ta sobie pomoże, jak starość na niego bije. Na starość to ta nima nic takiegu, żeby pomogło.

— I drugim tyż już nie pomoże. Jakby mioł te siły co mioł, to czyby tamtego roku tak zrobił, jak zrobił z Nikodemem z Rusocina?

Przypomnieli sobie tak, jakby na to patrzyli. Chory na dworską chorobę Nikodem z Rusocina przyszedł był w samo południe do Tykadłowa. Idąc rzucał kamyszkami w chałupy, a potem na cmentarzu zaczął grób kopać. Ludzie się zbiegli, przyszedł ksiądz, a on wołał, że chce iść do ziemi i nie żyć więcej na świecie. Drogą przejeżdżał akurat doktór ze Stawiszyna, jakby był umówiony. Stanął i zeszedł na cmentarz. Zaczęli z księdzem różne rzeczy mówić i doktór powiedział, że jakiś jeden mądry wymyślił sposób na tę chorobę, co ma Nikodem. Żeby Nikodem pojechał chociażby do Poznania, to możeby mu jeszcze coś takiego zastrzyknęli od czegoby mu się polepszyło. Ksiądz odszedł na te słowa.

Nikodem ponamyślał się i ruszył za nim, jak dziecko, i wszyscy poszli patrzeć, co to będzie. Naraz w księżym ogrodzie ten nieszczęśliwy ukląkł i prosił proboszcza, żeby go posłał do Poznania do tego jakiegoś, co zastrzyka lekarstwo na jego chorobę, żeby mu dał na to pieniędzy. Mówił do niego wtedy: o kanoniku, kanoniku — choć proboszcz nie był kanonikiem.

I wszyscy wiedzą, że ksiądz dał mu pieniędzy i posłał go do tego doktora.

Przypomniawszy to, zaczęli się wzajem siebie pytać o Nikodema. Ludzie z Rusocina zawiadomili od niechcenia, że wiedzą o nim.

— Zagoili mu te wieczne rany i już tam został. Służy teraz koło Pleszewa.

— Nogami ta ledwo powłóczy, ale tych takich krwawiących wrzodów to już nimo,

— Te ludzie powynajdali takie rozmajte rzeczy — że rany Boskie! Co ta ziele — naprzeciw tego!

Rozchodząc się, postawali jednak i przypominali wszystko o starym proboszczu. O tem, jak powymyślał różne płókania, maście, drjakwie, picia i plastry. I jak owczarzy przeszedł na całe mile wokoło.

I że nietylko na takie choroby, które na ciele widać, ale i na takie, co się pokazują w mówieniu, w jakich uczynkach, niespokojach — też bardzo pomagał.

Przyprowadzali do niego urzeczonych, co się mieli za garnek z uszami, albo rozumieli się w szaleństwie glinianymi, to znów, że są ze szkła. Wszystkich wyleczył.

Z wyrobnicy Antośki, której już niema na świecie, lecz była i tu niedaleko służyła, na oczach ludzi wypędził siedmiu djabłów. Ludzie widzieli je w okropną burzę, lecące przez pole, aż gwizdało. — Zaś proboszcz sam spotkał je potem w Taczanowie. — Z panem Taczanowskim, który należał do masonów, jadły obiad w takiej czarnej sali, w okropny upał, a jabłka same z drzewa przez okna skakały im na talerz.

Wszystkie te sprawy przyszły ludziom na pamięć przez to, że gospodarze z Helenówka podali prośbę do biskupa o wikarego.

Ksiądz nie wiedział o prośbie.

Stał zwieszony ciężko nad laską, a niewyraźne dyszenie pierwszego ciepła owiewało go rozpaczliwą nadzieją.

Wszędzie naokoło złote gałęzie grzały się w bławem powietrzu, a zamknięte pąki świeciły na nich, jak iskry.

Pan z Borkowa powiedział do widzenia i pojechał. — Ksiądz czekał.

Wróble szamotały się po drzewach, strząsały się z wyższych gałęzi na niższe — nikt nie nadchodził.

Nagle dzieci zaczęły hałasować w pobliżu. Ksiądz żywo schronił się za furtkę do swego sadu. Wtedy nadszedł syn organisty, mówiąc:

— Mama już zaniesła obiad, proszę księdza proboszcza. —

Czy to już nikogo niema? — zagabnął starzec.

— Gdzie? spytał chłopiec — i zaczął gwizdać na niebieskie gołębie, staczające się na koralowych nóżkach po pochyłości kościelnego dachu.

Ksiądz nie trzymał nikogo już parę lat, od tego czasu, jak odjechała jego siostra Tekla.

Organiścina mu posługiwała i zawsze czekała, póki nie zje.

Przez ten czas rozmawiali. Ksiądz pytał

— Pani, kiedy to ja znów bedę dobrze chodzić?

Organiścina była pewna, że najpóźniej na świętą Katarzynę ksiądz będzie chodzić jak fryga.

Na świętą Katarzynę był odpust — jedyny dzień, w który ksiądz przyjmował gości. Panna Tekla, która tak wogóle nie mogła tu już wytrzymać, wtedy jednakże przybywała. Brali dziewuchę ze wsi, piekli torty i szynki — najeżdżało ze wszystkich stron ludzi, panów, księży.

Siwa panna Tekla po odpuście szukała win, co zostały, lecz ksiądz zdążył już zawsze ponalewać niemi swe najdroższe lekarstwa. Inne resztki znikały także. Panna Tekla nie dawała się wtedy odwozić na stację. W taką nieraz chlapę listopadową szła, płacząc śród gałęzi obwieszonych kroplami deszczu i po drodze widziała, jak dzieci wysysały papier nasiąknięty rumem i wygryzały z niego resztki szarego tortowego ciasta.

Ostatnim razem, jak była — powiedziała, że przy bracie mogą się wyżywić tylko złodzieje, i że jej noga tu więcej nie postanie.

Przypomniawszy sobie te rzeczy, ksiądz zaszeptał:

— Już teraz to już nikt nie przyjedzie.

— Co niema kto przyjechać, odparła niepewnie organiścina.

Po chwili zawiadomiła, że jej chłopiec nierazby przyszedł — tylko nie śmie. Zamilkła, akby coś odkładając. Potem rzekła ostrożnie:

— Jakby wikary był, toby zawsze miał kto zajrzyć.

Ksiądz wytrzeszczył oczy. Wtedy zaśmiała się.

— Tak mówię, żeby mówić. —

Ksiądz milczał i stukał palcami w stół

Patrząc na to, organiścina oburzyła się:

— Panie Boże broń, żeby tu miał kto drugi rządzić.

Nakoniec wyszła, mówiąc:

— Zapałki są na murku.

Proboszcz kiwnął głową. Otworzył brewiarz i wodząc ręką przez czerwone litery, czytał:

— Chwalcie Pana na niebiesiech i chwalcie go na wysokości.

— Chwalcie go wszyscy aniołowie jego i wszystkie wojska jego.

— Chwalcie go niebiosa nad niebiosy...

— Niebiosa nad niebiosy, powtórzył, i przez niejaki czas milczał.

Wyciągnął rękę, wiodąc ją przez powietrze, jak przez oporną gęstość. Wziął z okna starą niedużą książkę. Była zmarznięta, gdyż z okna wiało. Miała ze trzysta lat. Ciemna gładka skóra na okładce wyschła i zrobila się podobna do łupiny świętojańskiego chleba. Robaki powydłubywały w niej bruzdy. Suche lekkie stronice trzymały się grzbietu, jak stos żółtych liści, podartych i pokruszonych na brzegu. Ksiądz poszukał miejsca o boleniu zębów. Umiał je na pamięć, ale dlaczego nie przeczytać jeszcze raz.

Przeczytał i wzdychając, odłożył książkę z powrotem. W czem wtedy się omylił — nikt już wiedzieć nie będzie.

Za ścianami pokoju dzień mijał niepostrzeżenie.

Czarna zimnawa ziemia wciągała w siebie kroplistą jasność nieba.

Coś lśniło na gałęziach, coś na drodze, i lśnienia te wzmacniały ciszę, opitą przeźroczystym chłodem.

Na plebanji robiło się tembardziej ciemno, że okna były niskie i stały za niemi drzewa.

A jednak zdradzieckie blaski wiosny wchodziły i tam, niewiadomo którędy. Coś jasnego trwało na

łysej głowie księdza. Stara książka lekarska miała na sobie błade światełko, leżące jak opłatek.

W słoikach, stojących rzędem na stole, porobiły się białe karbowane strużki.

Ksiądz, mrucząc modły, zaczął brać te słoiki i oglądać.

Gdy się wychylał z fotela, suche zioła, leżące wszędzie pękami, szeleściły podotykane mimowoli.

Na pamięć wiedział, co jest w którym słoiku.

To co teraz trzyma, to są ziółka od suchot. Nie z czego jednego zrobione, ale ze wszystkiego, co najmocniej pomaga. Wchodziły tutaj: przetacznik, podbiał, hyzop, dryakiew polna, mięta, krwawnik z kwieciem. Ostatni raz pił to Doniży z Rusocina. Tak. On.

Poprzestawiał słoiki. W tym z brzega był proszek na żółtaczkę. Robiło się z niego picie na miodzie. Nasturcja i orliki, szafran, rozmaryn, korzeń jaskółczego ziela i także mięta. Mięta jest na wszystko bardzo dobra.

Właściwie było to picie dla bogatych. Ale czy go kiedy komu żałował? Dla najbiedniejszych, najostatniejszych ludzi taki sam dobry miód brał, jak dla drugich. Ile już na to wydał. Mógł im przecież dawać glizdy suszone — to też pomagało, ale chciał, żeby mieli dobrze, chciał, żeby mieli tak, jak panowie.

To oni teraz woleli mieć jeszcze jakoś inaczej.

Za oknem coś mijało bez przestanku. Czyjeś głosy gadały, śmiały się i odciekały w stronę wsi. Wóz kołatał niesporo po ciężkiem błocie. Teraz przeminął. I znowu ciągle ktoś dokądś szedł. Jedne kroki stąpały ku wsi, drugie kroki stąpały ku miastu. Nie-

które kroki były ciężkie i blizkie, tak, że odbijały się echem w ścianach. Już były jakby na progu i nagle znikały. Drugie były dalekie, prędkie -- kroki dzieci, wracających do domu. Księdzu przedstawiało się, jakby to jego nogi porzuciły go i same chodziły po świecie. Zaś on już nigdy nigdzie — nie nadąży.

Gdy drętwiał w myślach tak ponurych, za oknem rozległ się przenikliwy głos ptaszka. Wróble już milczały, ale jeszcze nie zmierzchło się zupełnie. Ptaszek coś zawołał i dał się ciszy rozpostrzeć naokoło swojego głosu. Nie wiadomo było, czy zawoła po raz drugi. Zawołał wkrótce, sam jeden w całym ogrodzie. Powtarzało się to raz po raz, jak się powtarza niektóry ból.

Starzec zaledwie wiedział, czy cierpi, czy cieszy się, lecz chciałby jeszcze długo doznawać tego głosu. Nasłuchiwał go z czułym strachem. Gdyż każdy okrzyk mógł być ostatni — lecz nie był. Czysty, namiętny, jak dźwięczna kropla, tryskał znowu za cienką szybą. Nakoniec milczenie wydłużyło się i już się nie przerwało.

Raz, kiedy ksiądz siedział tak nad wieczorem nasłuchując i modląc się, organiścina przyszła wcześniej, niż zwykle.

— No co tam? — zapytał ksiądz.

— Może ksiądz proboszcz co poradzi, bo ja już sama nie wiem — rzekła, szukając na murku zapałek. Chrobotnęły pod ręką, biały klosz lampy zgrzytnął i dźwięknął na złotej obręczy, płomień zatoczył się około palnika.

Organiścina wynurzyła się z cieniów, mówiąc,

że przyszła dziewczyna, imieniem Józefka, nazwiskiem Szara.

— Ona u mnie służyła, ale teraz jest za posyłkę w Rusocinie — ksiądz proboszcz będzie co jadł?

— Nie. — Ale czego ona chce?

— To ziółek zaparzyć?

— Można trochę.

— Tych, co tu są na murku?

— Tych, co tam są. — Ale co ona powiada — ta — co przyszła? Ta Szara?

— Nic, tylko mówi, żeby do księdza i do księdza... Mówię jej, powiadam, że późno tak przyszła. — Że ksiądz już śpi, a ona wkółko swoje.

— No dali — no to niech przyjdzie. — No przecież nie śpię.

Organiścina obejrzała się.

— To ma przyjść?

— No tak. — Mówiłem, żeby ją przysłać.

— To zaraz?

— No zaraz.

— Myślałam, że jej ksiądz każe co powiedzieć.

I organiścina krzyknęła:

— O la Boga. Tak tyż po nocy tych ludzi nosi, a nosi.

Zostawszy sam, ksiądz coś na stole porobił, poprzesuwał, postrzepywał. Bardzo się tem zmęczył. Zaczął zmiatać ręką z krzesła coś białe — lecz to samo pokazało się na stole i na oknie. Były to jakby czyje zęby, które prędko znikły. Wystraszony proboszcz wezwał Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, żeby wróciła udolne siły, które miał był dawniej w rękach. Mimo to rąk zdawało się nie być wcale.

Może się co zrobi, że dziewka ta nie przyjdzie.

Lecz kiedy długo jej nie było, ksiądz o mało nie płakał. Widać nie dosyć nakazał, żeby organiścina przysłała tę dziewczynę. A jeśli organiścina nie dosłyszała? Jakby zastukać w okno — możeby usłyszała. Albo znak jaki czem dać. Albo kogoś zawołać i tam do nich posłać.

Lecz dziewka już nadciągała. Słychać było kroki pod oknem. Coś tam trzasło, jakby się gałąź pod nogą złamała. Niewyraźne hałasy roznieciły się naokoło w pustym domu.

Powitawszy księdza, rzekła ze strachem, że się o mało nie przewróciła w sieni.

— Trzeba uważać — ostrzegł ksiądz i spytał ją, po co przyszła.

Józefka zesunęła z głowy na ramiona chustkę, zgładziła ręką włosy i z powrotem chustkę na nie nadziała, zawściągając ją na piersiach.

Zapytana po raz drugi, znów jęła czynić nieokreślone przygotowania. Śród nich podeszła i objąwszy księdza tęgiem, pięknem ramieniem za nogi, pocałowała go w kolano. Chustka spadła, więc zatoczywąszy nią po pokoju, zawdziała ją ponownie.

Ksiądz poddawał jej różne cierpienia i pytał na wszelkie sposoby, lecz conajwyżej pociągała w odpowiedzi nosem, jak ludzie, którzy tylko co płakali.

Tedy zażywał tabakę i czekał.

Przez ten czas było mu coraz gorzej. Było mu tak, jakby był cały z jakich szarych myszy, które się porozlatywały wszędzie i nie było jak ich połapać. Ukradkiem spoglądał na dziewczynę — i nakoniec za-

pytał, po co w takim razie przyszła. Może tak samo stać jak bałwan gdzie bądź, u organisty, albo gdzie.

I puknąwszy wieczkiem tabakierki, dodał ze wzgardliwą rozpaczą:

— No to idź sobie. Idź już sobie.

Wtedy Józefka zaczęła pobieżnie i niechętnie skarżyć się na różne rzeczy. Na bolenie głowy takie, że nie może patrzeć na oczy. — Na gorączkę, przez którą nie śpi w nocy. Na zmorę.

Na to, że jak uśnie, to się zaraz budzi ze strachu, bo tak jej się robi, jakby ją zboże przysypywało.

— Jakby chto wzion i szuflom na mnie ziarno sypał — dodała żywiej.

Ksiądz spytał, skąd jej się takie rzeczy wzięły, czy jej kto czego nie zadał. Ruszała obojętnie ramionami i jakby myśląc o drugiem, wodziła pytającemi oczyma po wszystkich sprzętach.

— Na ciebie szaleństwo przyszło? — rzekł wreszcie stary proboszcz i wytrzeszczył blade oczy na jakiś przedmiot.

Po chwili zaczął potwierdzać to pytanie różnemi opisami choroby.

— Tak, tak, tak, tak! — odpowiadała bez przekonania, kiwając głową.

Ksiądz pootwierał szuflady, poodtykał słoiki i sypał szare kruszyny dzikiego ziela, a one sunęły z szeptem w głąb torebek.

— Bukwica... — mruczał przytem — Macierzanka... Rozmaryn...

— I melissa — zakończył triumfująco.

Józefka śledziła to niecierpliwem i bolesnem

wejrzeniem. Przyzwano ją do stołu. Proboszcz nadawał jej paczuszek z lekarstwami, wyłuszczając kolejność użycia.

— W największej torebce są zioła do kąpieli. Balję macie?

Józefka nie miała nic. Powtórzyła to skwapliwie, kilka razy i nawet zaczęła trochę płakać.

— Nic a nic, mówiła. Człowiek się nawet nima w co przeodziać.

— Polowi majom balję, to mi dadzom wziąść, dodała na pocieszenie, gdyż drapał się kłopotliwie w łysinę wielkim palcem.

Z tego, co było w drugim papierku, miała sobie robić odwar do picia i pić zawsze przy zachodzie słońca.

— Tak jak tak słońce do pół zajdzie. A jeśliby nie było widać, to jak się takie jasne chmurki nad zachodem pokażą, wtedy wypić.

Trzecia rzecz to były liście, które miała sobie w co zawinąć i namoczone przykładać na głowę.

Jeżeli do tygodnia lepiej się nie zrobi — przyjść.

Józefka pobrała wszystko w fałdy chustki, i omal, że w pół księżego słowa powiedziała stanowczo:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki. Na wieki. Na wieki — mruknął zaskoczony proboszcz.

W sieni stała tak długo, że zaczął na nią wołać:

— Drzwi na prawo. Na prawo!

Zdawało się, że wyszła, gdy nagle powróciła z rozpaczliwą śmiałością.

Teraz wyraźnie płakała. Zaczęła mówić i szeptać na przemiany, że tak żyć dłużej nie może.

— No to masz, co ci dałem. Masz, co ci dałem — bronił się ksiądz.

Powiedziała smutno, że ona się już jakiemi tylko ziołami naparzała, i co tylko jest, wszystko piła.

— U mnieś nie była — rzekł pobłażliwie. Może ci jaki owczarz co napaprał.

Nie była, ale ludzie mają od księdza proboszcza przepisy i niemi się leczyła.

Lecz teraz przyszła prosić o co innego. O coś, czego za nic nie może powiedzieć, bo nie śmie.

Mimo to zaczęła wyznawać jakieś rzeczy zawiłe i niegodne. Mówiła, że ani żyć nie może, ani robić, ani chodzić, ani spać — i że miłość jej wszystko to odebrała, czem drudzy żyją na świecie.

Ksiądz spytał, czy ją ten jakiś zwiódł i czy miała z nim dziecko.

— Skrzywdził cię?

Milczała i spazmatyczne łkania przeskakiwały niekiedy przez jej bolesny oddech.

Potem rzekła pocichu, że dziecko miała z drugim. Już umarło. Trochę się uspokoiła. — To było tak — westchnęła i opowiedziała o pogrzebie swojej córeczki.

Pomilczeli nieco, a czas kołatał w zegarze.

Po chwili zaczęli mówić coś razem. Józefka mocno przeczyła. Aż nakoniec wywlekła ze siebie:

— My z niem nigdy nie byli. On — mnié — nie chce.

Powiedziała to jakby wyznawała zbrodnię — zbrodnię cudzą. Potem wyjawiła już wszystko.

— Czego jo ze sobom nie robiła, o Jezu, Jezu.

I tak byłam i tak byłam. I dobro byłam. I zło byłam. I robiłam jak nikt drugi. I kozokom dałam za sobom lotać, żeby widzioł. — Jo u mamy taka nie była — a w tem Rusocinie taka żem się zrobiła ostatnio, — a ostatnio — wszystko bez to. Co na niego powiedzieli, że ukradł, to żem na siebie wziena.

Po chwili krzyknęła z gniewem.

— Dziewuche mioł takom, to jom odbroniłam, jak jom drugie chciały zajeść. Bo mówiłam, że już bez co, jak bez co, ale bez to musi do mnie serce mieć. To on przyszedł roz na tańcach, zemby ścion i tak powiado:

— Ty sie patrz. — Tobie co do moji Stasi. — Bo jeji jest Stasia.

Księdzu głowa opadała na stół. Bardzo by chciał wejść pod łóżko, albo za szafę. Żeby się schować i przeczekać to coś straszne i płomieniste, co się szamotało po pokoju. Może przez ten czas zrobi się tak, że tej dziewki tu już nie będzie.

Ona tymczasem gadała.

— Żeby choć wejzdrzoł. — Nie wejzdrzy. Chodził ze mnom, i na muzykę my się razem tamtego roku zmowiali i tak się od jednego razu coś z niem porobiło, jakby go chto odmienił. Żeby choć jakie przyjacielstwo okazał, nie i nie. Nie mało razy przeńdzie, aby sie o mnie otrze i ani nie wi, że jo tu gdzie stoje.

— A jo bym po jedniuchnym włosie z głowy rwała i na ziemi bym te włosy kładła, żeby go ta zimia nie uwierała. To się bez to człowiek tak rozgraniczy, że dzień mu już nie dzień, że noc mu już nie noc...

Nic więcej nie mogła powiedzieć. Wszystko zalał szalony płacz.

Ksiądz zbierał się i zestawiał ze swego strasznego rozbicia i krzyczał na nią:

— To nie choroba żadna, tylko djabeł przez ciebie mówi. — O Boguś zapomniała.

— Nie — rzekła, przez łzy. Wszystko uczyni. Przyjdzie do spowiedzi. Ile tylko dni będzie krzyżem leżeć. Lecz teraz prosi o pomoc. — Prosi o pieniądze.

Upadła na kolana.

Nie chce tu być. Pójdzie sobie w świat, gdzie okropnie daleko.

— Co! co! — gdzie? gdzie? — Do spowiedzi, do kościoła! Nie do świata!

Na to ona znów swoje. Że pójdzie gdzie do miasta na zgodę, albo do Prus, albo do Warszawy, żeby mu z oczu zejść i wyratować się z tej boleści.

Ale jak iść — gdzie się komu pokazać — takiej dziadówce. I kto ją, kto ją wspomoże.

W ostatniej nadziei, jak z jakiej przepaści przyszła tu prosić pomocy, śmielej niżby do ojca.

— I ludziom tu na śmiech żyje i sobie na takom wzgarde. Ja nic nie mówie nikomu, ale ono za mnie mówi, i pokazuje, co sie we mnie wyrabia. — To niemało razy — jak ide, to ludzie na mnie wołajom i mówiom: — Józefka, patrz, jak tam Deresz z drugom śpi. — Bo on sie Deresz nazywa. Deresz...

— Cicho bądź! — wrzasnął ksiądz. — Co mi tu wygadujesz świństwa takie. — Módl się — ratuj duszę.

— No to tyż. — No to tyż!

Przyczołgała się do nogi stołu i objąwszy ją rękami, zaczęła szeptać:

— Może jak do czego dońde. — Jak nie byde tako ostatnio od gnoju – jąk tu kiej przyńde — byde miała takie jasne odzienie. Może się do mnie nawróci ten Deresz. Chto może wiedzieć, w czem się ta chto drugi pokocho? — Może przyńdom te czasy....... Chto ta wi.

Ksiądz musiał dostać gorączki, gdyż wydawało mu się, że siedzi z tą dziewką na ziemi i trzyma się stołowej nogi i też mówi: Kto to wie — Kto to wie.

Jak się czegoś twardego złapać, jakiego sprzętu mocnego — to mniej boli, co boli.

Przywołał jednak na siebie przytomne siły, wyciągnął chudą rękę, położył ją na głowie Józefki i mówił:

— Exuat te Dominus veterem hominem cum artibus suis. Induat te Dominus novum hominem.

A ona, nie rozumiejąc, modliła się po swojemu o niemożliwe, niepodobne rzeczy.

— O żeby Pan Jezus dał, żeby moja mama z grobu wstała i drugi raz mnie na świat wydała, nie takom jak wydała — ino jemu do serca, jemu do myśli.

...Jemu do serca... Jemu do myśli.

Gdy się nareszcie uspokoiła, zaczęli razem wyciągać kufereczek z pod łóżka i otwierać różne pudełka.

— He — he, — śmiał się stary. — To ci mówili, że u mnie są pieniądze?

— Mówili, — rzekła, ocierając łzy. — Mówili, że

się księdzu proboszczowi płaci za posługi, i że się to musi gdzie podziewać.

— A księżych pieniędzy się nie boisz — drwił ze smutkiem...

— Jo ta w to nie wierze — odparła.

Okazało się jednak, że wszystkiego było mało. Czyby jeszcze gdzie były schowane? Może pod podłogą.

Tu był stary pierścień, a tu groszaki. Troszkę srebra. Jedniutka sztuka złota.

Wszystko, co się znalazło, ksiądz jej dał. Ucałowała go pieczołowicie w obrzępaną sutannę, w rude pofałdowane buciska — ryła się przez chwilę po ciemnej sieni, nakoniec poszła.

Ksiądz wodził nosem po szybach, zasklepionych nocą.

Zdało mu się, że ktoś tam za oknem śpiewa. Lecz chyba nie.

Po chwili patrzenia między gałęziami dały się widzieć gwiazdy.

Odczłapawszy od okna, ksiądz usiadł na łóżku.

Nagle coś zobaczył, i ociężale wyruszył ku drzwiom.

Przy progu leżały trzy torebki z papieru. Popodnosił je, poocierał. Potrzymał je w rękach, a potem wsunął sobie pod poduszkę. I naraz bardzo się zatrwożył. Czyli z ziemi, gdzie się schylał, czyli skąd, przyszła na niego obawa, że jest w śmiertelnym grzechu. Był w nim nie wiedząc o tem od dnia, kiedy posłał Nikodema w ręce doktorów, którzy leczą pod wezwaniem djabła. Nikodema posłał do djabła i tę Józefkę, co tu dzisiaj była, posłał w to samo miejsce.

Teraz na darmo, klęcząc, odmawia akty skruchy i jakie tylko pacierze. Złe jest przy nim ciągle i podsuwa mu straszne myśli, gorsze jeszcze od tamtych grzechów. To mówi mu, że stary Pan Bóg odjął ziołom i stworom ziemi swoją moc.—To mówi mu, że się w tę rzecz djabły wdały. — To mu szepcze, że Pan Bóg sam się wyniósł w drugie strony, i ludzi za sobą woła, zaś jego samego tu zostawia.

Od myśli tych zaczęło księdzu być niedobrze, bał się, żeby nie umrzeć dzisiejszej nocy w tym stanie ubogiego ducha. Nie wiedział, czy się położyć, jak przetrwać tę noc pełną trwogi, czy ją przesiedzieć — czy może kogo zawołać — żeby łatwiej doczekać rana. Wreszcie zaczął się kłaść. Nie mógł się rozebrać. Tak jakby mu kto zawsze w tem pomagał, a teraz przestał. Spocił się, zanim dotarł do siwych prześcieradeł. Pudełkiem od zapałek zgasił świecę przy łóżku. Jak tylko zrobiło się ciemno, zaczął trzeźwieć. Zdawało mu się, że zioła pod poduszką za mocno pachną. Zasunął torebeczki między poręcz łóżka i siennik, ale od tego nie zrobiło się lepiej. Przeciwnie. Zrobiło się gorzej.

Niespokojna trzeźwość nie dała mu leżeć. Usiadł na łóżku i struchlał. Z sercem zaczęło się coś dziać niedobrego. Zdawało się, że nie bije w zimnej piersi, tylko w pościeli łóżka — w prześcieradle, w kocu, w poduszce. Nagle znikło. Nastała na mgnięcie oka straszna cisza organizmu, kiedy człowiekowi zdaje się, że już umiera.

Poczuwszy to, ksiądz zawołał słabo: — hop! — hop! —

Głos, który się rozległ, zdawał się stwarzać w pokoju kogoś drugiego. W zegarze przesunął się natężony chrzęst. W drugim pustym, zawsze zamkniętym pokoju coś miękko skoczyło — jakby kot z okna.

Przejęty grozą starzec wołał raz po raz: — Hoop! Hoop! Hoop!

W odpowiedzi za oknem pomiędzy gałęziami jabłonki zgasło w czyimś domu ostatnie światełeczko.

Proboszcz przyczaił się i po cichutku badał, co się z nim dzieje.

Może uwija się koło niego djabeł? Może już widzi siebie samego leżącego na łóżku, coby znaczyło, że już umarł — bez sakramentu. Wytężał oczy w stronę okna i chciał wiedzieć, czy ta bladość za niem to jest już dzień, który nadchodzi. Czy ona się ściemnia czy rozjaśnia. Lecz bladość ta trwała i była nocą, rosnącą bezustanku.

Żeby kto przyszedł, lecz nikt już nie usłyszy — Czy nikt by nie mógł tu pobyć, jak człowiek przy człowieku? Czy jest gdzie kto na tym świecie?

— Hoop! Hoop! Hoop!

Ksiądz był pewny, że jeżeli nie zaśnie to nigdy nie zrobi się jasno. Lecz jeśli zaśnie, to umrze we śnie.

Nakoniec śród nocy zaczęło coś jakby ćwierkać. Jakby samo powietrze w ten sposób przemieniało się z nocy na dzień. Ksiądz nie wiedział, czy słyszy, czy to w nim tak ćwierka. Ale zrobiło mu się lepiej i nawet dziwił się swej męce. Jeszcze raz pomyślał o Nikodemie i o Józefce, ale już wcale się nie bał, nic się nie martwił. Wszystko co było, było jak trzeba. No, pomógł im tak, jak prosili — dał, co chcieli. —

Pomógł im — bo pomógł. Teraz może sobie nareszcie zasnąć.

Spał dobrze, a kiedy otworzył oczy, na ścianie przy jego głowie rozpościerał się w kształcie okna czerwony blask słońca, które wschodziło.

Potem nareszcie zjawiła się organiścina. Hałasowała nie bardzo przyjemnie. Była zła. Mówiła niepytana, że mogłaby do księdza proboszcza przysyłać służącą, bo ma, jednak przychodzi sama.

Nie dobrze robi, gdy za takie rzeczy nikt nie jest wdzięczny. — Kto drugi przyjdzie po nocy, nic nie zrobi — jeszcze może co weźmie — albo dostanie.

Ksiądz usiłował otworzyć ścierpniętą pięść — i nie mógł.

Zapytał, kiedy przyjedzie wikary.

Wikary przyjedzie pojutrze. Jutro mają dla niego pokój szykować, bielić. Ten obok.

Przekręciwszy się pod kocem, ksiądz spytał, czy Karol może przyjść wieczorem posiedzieć.

— Bo ja to już pewno nie wstanę, dodał.

Organiścina ścichła i zaczęła chodzić na palcach. Wszystko pourządzała, zaopiekowała się chorym. Naturalnie, że przyjdą oboje z Karolem.

— Dziecku to zawsze tak trzeba co dać, to jest śmielsze i więcej chętne, — poradziła z dobrocią, poprawiając koce.

— A tak, — tak — potwierdził chory i prosił, żeby posłali po księdza z Pamięcina.

W południe kościelny dał znać, że ksiądz z Pamięcina wyjechał i że konie pusto wróciły.

Na wieczór organiścina przyszła z Karolem.

Zaczęli się krzątać i wesoło ze sobą rozmawiać.

Wszystko posprzątali, poukładali, ziele powiązali w pęczki, popowieszali ładnie rzędem na ścianie.

Organiścina zapaliła maszynkę i nastawiła rumianek.

Na świecie jest więcej kłopotów, niż czego dobrego. Ale to dobre potrafi się pokazać w takich błahych rzeczach — i ze swego małego kąta rozpościera się na wszystkie strony świata. Z tego, że w pokoju było posprzątane i że ludzie przychylnie po nim gospodarzyli, szła niepohamowana radość, która księdzu płaciła za wszystko, aż grał sobie palcami po kocu z zadowolenia. Czuł znowu obecność Boga, pałającą w nim i we wszystkiem teraz i zawsze i na wieki.

— Żebym tylko — powiedział żartobliwie — ten rumianek z tej torby zdążył wypić przed śmiercią.

Organiścina rzekła, że chciałaby mieć tyle pieniędzy, ile torebek rumianku ksiądz proboszcz jeszcze przed śmiercią wypije.

Starzec popatrzył cicho z niezrozumiałem zastrzeżeniem.

Potem obróciwszy się do Karola i coś sobie przypomniawszy, powiedział:

— Karol! Tam koło słoików leży zegarek. Znalazłeś? No to weź go sobie, weź. Na pamiątkę. —

— Jak ty teraz podziękujesz? — pytała organiścina i zaczęła z żywością czynić piękne projekty.

— Tak słońce codzień ładnie świeci. Ludzie już pobielili, porobili wszystko. — Przyjemnie popatrzeć, jak się wszystko zieleni. Jak tylko księdzu proboszczowi zrobi się lepiej, to wystawimy z Karolem fo-

tel, będzie sobie ksiądz proboszcz w słońcu siedział. Będzie sobie spoczywał.

Proboszcz marszczył się, patrząc w okno. Nagle zaczął mówić:

— A gdzież to ci ludzie poszli?

— Jacy ludzie?

— No przecież nikogo we wsi niema — odparł znudzony i odwrócił głowę od okna. Potem roześmiał się.

Wtedy i oni się roześmiali. Starzy ludzie mają takie swoje dowcipy.

Karol siedział przy łóżku proboszcza i trzymał splecione ręce między kolanami. Niekiedy tak złożonemi rękoma przeciągał się, a potem je rozplatał i wyjmował z kieszeni swój nowy zegarek.

Raz wyciągnąwszy go, powiedział: — Dochodzi siódma.

W starym zegarze na ścianie zarzęziły ciężkie chroboty. Szary ptak wychylił się przez okieneczko nad cyferblatem i zaczął wołać:

— Ku — ku. Ku — ku. Ku — ku.

Za oknem przez granatowe niebo śmignęły z zachodu aż na tę stronę różowe pręgi. W kościele zadzwoniły świeżemi głosami wieczorne dzwony.

Organiścina zaczęła patrzeć na kukułkę i wołać:

— O to to jest zegar! To to jest zegar!

I to samo zaczęli czynić we dwoje z Karolem raz po raz, lecz coraz ciszej.

Proboszcz nie mógł rozeznać, czy głuchnie, czyli rozpada się, rozsycha na takie odrobiny, od których wszystko jest już daleko i które już nie dosłyszą. Czuł się tak, jakby był we wszystkiem naokoło, a najmniej

w łóżku. Było go nieco w krześle, było go nieco w stole. Jakąś częścią siebie wdał się w okno, a nawet poza okno — aż w łąkę, leżącą za ogrodem. Lecz to, co z niego zostało w pokoju, widziało, jak zegar z chrzęstem zesunął się wzdłuż ściany, rozprostował płaskie łańcuszki i na złotych swych wagach wkroczył między jabłonki za oknami.

Karol mówił:

— Dochodzi — siódma —

a organiścina wołała:

— To to jest zegar! To zegar!

i mówili to już za ogrodem, za kościołem, za cmentarzem.

Chytrzy ludzie nie dadzą się przegonić. Odchodzą coraz dalej, tam gdzie ich woła ten głos:

— Ku — ku. Ku — ku. Ku — ku —

dotkliwy, namiętny głos czasu, co już nie dla nas, co już dla drugich w sercach zegarów godziny swoje szeleści.

SPIS RZECZY.